

Ciemnia

Masterton Graham

Książka VI z Rook



calibre 0.9.43

Ciemnia

(Rook VI Darkroom)

Przełożył Piotr Roman

WEST GROVE COMMUNITY COLLEGE

II KLASA SPECJALNA

Jim Rook Angielski i nauczanie specjalne

Vanilla King

Freddy Price

Sue-Marie Cassidy

Edward Truscott

Ruby Montes

George Grave

Pinky Perdido

Randy Bullock

Sonny Powell

Brenda Malone

wolna ławka

Dehlah Bergenstein

Roosevelt Jones

David Robinson

Sally Broxman

Philip Genio

Rozdział 1

Tak się śmiali, że Bobby omal nie spadł z drewnianych schodków prowadzących na taras

plażowego domku i dwa razy upuścił klucz do drzwi salonu. Byli podnieceni, ale także zdenerwowani, a Bobby czuł upajające działanie czterech pina colada i dwóch piw oraz długiego, głębokiego macha z jointa, którego dał mu Freddy Price: „Abyś był nie do pokonania, stary”.

W końcu Bobby’emu udało się otworzyć drzwi. Wieczorny wiatr wyciągnął firankę na zewnątrz, ażurowa tkanina wydeła się i owinęła ich jak całun. Bobby objął dłońmi twarz Sary i pocałował dziewczynę; kiedy całował ją ponownie, znowu o mało nie stracił równowagi.

– Wiesz co, Saro Miller? Jesteś... księżniczką. Księżniczką w różu. I czerwieni! Z żółtymi plamkami...

– Ty też nie jesteś najgorszy, Bobby Tubbsie. Pocałowała go żartobliwie w czubek nosa, potem w brwi i na koniec w usta. Owinięci „całunem” z firanki, obejmowali się mocno i patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami, jakby chcieli sprawdzić, które z nich pierwsze się roześmieje. Sto metrów od domku, w szarpanym bryzą mroku, fale oceanu z chłupotem uderzały o pirs tak mocno, że zacumowane tam jachty i łodzie waliły o siebie burtami, wydając głuche dźwięki, przypominające stukot zderzających się trumien.

– Niesamowite... – mruknął Bobby.

– Co jest niesamowite?

– Los. To, co człowieka spotyka. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy wparowałaś do klasy w obcisłym białym T-shircie i dzinsowej mini, pomyślałem sobie: „Ale laska!”.

– Naprawdę tak pomyślałaś?

– Dokładnie tak. Nigdy bym jednak nie uwierzył, nawet za milion lat, że...

Sara uśmiechnęła się i przyłożyła Bobby’emu dwa palce do ust.

– Ciii... musisz uwierzyć, inaczej się nie stanie.

– Jasne – odparł Bobby. – Jeżeli w coś nie wierzymy, to po prostu... nie istnieje, tak?

– Chodź do środka – powiedziała Sara, wyplątując się z firanki. – Twoi starzy mają coś

mocniejszego?

– Żartujesz sobie? Moi starzy mają w żyłach nie krew, a martini. W lodówce zawsze jest mnóstwo towaru. Wino, piwo, rum. Ojciec uwielbia rum. Twierdzi, że dzięki rumowi rosną włosy na klatce i ma się głos jak Johnny Cash. To znaczy taki, jaki miał Johnny Cash. No wiesz, zanim się wy-cash-ował.

– W takim razie poproszę o wino. Jest tu jakieś światło?

Bobby potknął się o fotel, zrzucił na podłogę mosiężną popielnicę i w ostatniej chwili uchronił przed upadkiem stojącą przy fotelu lampę. Po chwili udało mu się znaleźć kontakt.

– Proszę bardzo. Witam w moim skromnym mieszkanku. No... w skromnym mieszkanku rodziców.

Ściany plażowego domu rodziców Bobby'ego były zrobione z bielonych bali, a podłoga z szerokich, wyblakłych od wiatru i deszczu desek. W salonie stały obite surowym płótnem krzesła, fotele i kanapy, a na podłodze leżały luźno plecione maty. Wszędzie wisiały ryciny w dębowych ramach, przedstawiające żaglowce i sztormy, a między nimi kompasy, mapy i posplatane w marynarskie węzły liny.

– Mój ojciec twierdzi, że gdyby nie został księgowym studia filmowego, byłby kapitanem trzymasztowego szkunera. Kapitan trzymasztowego szkunera, też coś... dostaje choroby morskiej, kiedy myje włosy.

– A mój zawsze chciał zostać zawodowym szulerem karcianym – powiedziała Sara. –

Powinieneś go zobaczyć, jak gra z przyjaciółmi w pokera. Zawsze ma wtedy na głowie zielony plastikowy daszek, rękawy koszuli spina gumkami, a w kąciku ust trzyma cygaro. Żalotne. Jeżeli tak bardzo chciał zostać szulerem, dlaczego nie pojechał do Las Vegas i nim nie został?

Bobby wszedł do kuchni i zapalił światło.

– Coś ci powiem: ja zostanę dokładnie tym, kim chcę – oświadczył. – Zero kompromisów.

Otworzył lodówkę i wyjął butelkę chardonnay Stag's Leap. Była otwarta, ale w trzech czwartych pełna. Wyciągnął zębami korek.

– A kim chcesz zostać? – spytała Sara.

– Sokolnikiem.

– Kim?

– Takim facetem, który chodzi z sokołem na dłoni. – Bobby uniósł rękę i ułożył ją w odpowiedniej pozycji.

Sara zmarszczyła czoło.

– Są w tym jakieś pieniądze?

– Nie wiem, ale podoba mi się pomysł, żeby coś takiego robić. Podbiega do ciebie z jazgotem czyjś pies, chce ugryźć cię, w kostkę, a ty wtedy musisz tylko ściągnąć sokołowi kaptur. Sokół pikuje na psa – niuuuuuu – wzbija się w powietrze, trzymając go w dziobie, przez chwilę szybuje dwadzieścia metrów nad ziemią, po czym wrzuca psa do najbliższego śmietnika.

Wzzziuummm-plach-bach!

Sara pokiwała głową, nic jednak nie powiedziała. Bobby nie był jedynym uczniem Drugiej Specjalnej z nieco ekstrawaganckimi pomysłami na temat tego, co będzie robić po skończeniu szkoły. David Robinson nie żartował, mówiąc, iż byłby dobrym papieżem, a Sally Broxman zamierzała tresować miniaturowe kucyki, z których pomocy korzystałoby niewidomi.

Ona sama chciała zostać masażystką gwiazd filmowych. Kiedy przyjmowano ją do szkoły, napisała w formularzu w rubryce dotyczącej przyszłego zawodu: MASAŻYSTKĄ GWIAZD.

Bobby napełnił dwa duże kieliszki wina.

– Za to, co istnieje – powiedział.

– Za to, w co wierzymy – odpowiedziała Sara.

Do tej pory nie zwracała zbytnej uwagi na Bobby'ego – aż do dzisiejszego wieczoru. Był

wysoki i chudy, a jego kończyny tak luźno poruszały się w stawach, że przypominał marionetkę o rozmiarach człowieka – marionetkę o zadziwiająco błękitnych oczach, z postawionymi na sztorc włosami o rozjaśnionych końcach. Stale sprawiał wrażenie, że wszystko go bawi. Nawet gdy pytał, czy może wyjść do toalety, robił to tak, jakby mówił dowcip: „Proszę pani... naprawdę... uczciwie... muszę...” – i cała klasa zrywała boki.

Kiedy w ostatni czwartek czytał partię z *Hamleta* i doszedł do słów: „Gdyby nie to, że strach przed czymś po śmierci, że nieznany ów kraj, z którego nie powrócił żaden wędrowiec...”* [*Z monologu Hamleta, przełożył Władysław Tarnawski.] – wszyscy płakali ze śmiechu, łącznie z nauczycielką, która przyszła na zastępstwo, panią Lakenheath.

Dziś wieczorem poszli w trzynaście osób do Papa Picciolino’s Pizza House świętować dziewiętnaste urodziny Kerry’ego Lansinga i Bobby – bez żadnego szczególnego powodu, może poza tym, że siedział naprzeciwko niej – ściągnął na siebie uwagę Sary. Nagle dostrzegła, jaki jest przyjacielski i jak bardzo się stara, by wszyscy dobrze się bawili. Do każdego się uśmiechał, z każdego trochę kpił, obdarowywał wszystkich śmiesznymi komplementami, a kiedy któraś z dziewczyn zostawała sama, podchodził i przez chwilę z nią rozmawiał. Sprawiał, że każdy czuł się szczęśliwy. Sara uznała, że jest dość przystojny – oczywiście jeżeli komuś nie przeszkadzają spiczaste nosy.

Nie umawiała się z nikim od zerwania z Bradem Moorcockiem, co nastąpiło w czasie ferii zimowych. Chciało się z nią umawiać wielu chłopaków, bo należała do najładniejszych dziewczyn West Grove Community College. Była drobna i żywa, miała szopę ciemnych włosów i brązowe oczy, wielkie jak u postaci z kreskówek, zawsze nosiła ogromne kolczyki, a na rękach bransoletki. Miała też figurę, która sprawiała, że chłopcy wpadali na latarnie. Ale po Bradzie straciła ochotę na poważniejsze związki. Brad był przystojny – co do tego nie było najmniejszej wątpliwości – miał szerokie ramiona, mocną, lekko wysuniętą szczękę i kręcone włosy i był

kapitanem najlepszej drużyny futbolowej, jaką kiedykolwiek miała West Grove. Był jednak także próżny i obsesyjnie zazdrosny – do tego stopnia, że Sara nie mogła porozmawiać z żadnym innym chłopakiem, bo Brad natychmiast wpychał się między nich i groził, że połamie tamtemu nogi w pięćdziesięciu czterech miejscach. Ciągle jeszcze czuła ulgę, że się od niego uwolniła.

– Puśćmy muzykę – zaproponował Bobby. – Na co miałabyś ochotę? Na „Największe gnioty Perry’ego Como” czy „Pieśni harpunników”?

– Dlaczego sami czegoś nie zagramy? – spytała Sara, obejmując go.

– Masz na myśli coś w rodzaju duetu?

– Aha... duet...

Znów się pocałowali – tym razem trwało to tak długo, że Bobby musiał odstawić kieliszek, aby nie rozlać wina. Potem bez słowa wziął Sarę za rękę i zaprowadził ją do głównej sypialni. Także i tu było pełno morskich motywów – wielkie mosiężne łoże przykryte granatową narzutą w mewy, na ścianach wisiały obrazy przedstawiające uśmiechające się uwodzicielsko syreny z nagimi piersiami o niebieskich sutkach, otoczone rozpalonymi pożądaniami, wymachującymi szczypcami homarami.

– Przepraszam cię za te obrazy – powiedział Bobby. – To wyobrażenie mojego ojca o porno. Krewetkowe porno.

Opadł plecami na łóżko, a Sara położyła się obok niego. Pocałowała go, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Podciągnęła różowy T-shirt i ściągnęła go przez głowę. Miała biustonosz z prześwitującej białej koronki. Bobby zamknął oczy.

– Co się stało? – spytała.

– Zamykam oczy na wypadek, gdyby to się nie działało naprawdę.

Roześmiała się, znów go pocałowała i zaczęła rozpinąć mu pasek w spodniach.

– Powinieneś otworzyć oczy. Wtedy niczego nie stracisz.

Popatrzył na nią i oboje uśmiechnęli się do siebie.

– Masz rację. Kogo obchodzi, czy to się dzieje naprawdę? W każdym razie takie sprawia wrażenie. Nic poza tym się nie liczy, prawda?

– Nie. Jesteśmy tylko ty, ja i to wielkie niebieskie łóżko.

– O Boże! – krzyknął Bobby, gwałtownie usiadł i rozejrzał się. – Moi rodzice!

– Co „moi rodzice”? Nie pojechali na weekend do Phoenix?

– Pojechali, ale chodzi o to łóżko! Robili w nim... no-wiesz-co...

– Co?

– No-wiesz-co. Rozumiesz? To, co rodzice w dalszym ciągu robią, choć trudno w to uwierzyć.

– Co to cię obchodzi? Gdybyśmy poszli do hotelu, byłoby jeszcze gorzej. Tam leżelibyśmy w łóżku, w którym no-wiesz-co robili całkiem obcy ludzie. Setki całkiem obcych ludzi. Ludzi; obok których nawet byś nie usiadł w autobusie. Bobby popatrzył na granatową narzutę.

– Chyba masz rację.

– Chodź... – wymruczała Sara. Usiadła okrakiem na kolanach Bobby'ego i pchnęła go na materac. – Sądziłam, że zamierzasz mi pokazać, iż życie nie kończy się na Bradzie Moorcocku. Bobby wyciągnął ręce i rozpiął haftki jej biustonosza. Zaczął pieścić ciało dziewczyny, delikatnie gryzł ją w ucho i pociągał zębami kolczyki.

– Pokażę ci, jak wspaniale dzięki tobie się czuję – szepnął jej do ucha. – Sprawiasz, że czuję się jak król Bobby Pierwszy... – Przetoczył ją na materac obok siebie, pogłaskał ją po włosach i sięgnął do kieszeni. – Prezerwatywa – powiedział, pokazując Sarze małą paczuszkę. – Trzymałem ją na wypadek, gdybym miał zostać zauważony przez najwspanialszą dziewczynę w Drugiej Specjalnej.

– Tylko w Drugiej Specjalnej?

– Przepraszam... w całym wszechświecie.

Wymacał suwak z boku jej krótkiej białej spódniczki, ale kiedy miał go otworzyć, nagle uniósł głowę i zaczął nasłuchiwać.

– Co się stało?

– Nie wiem... zdawało mi się, że coś słyszałem.

– To pewnie tylko wiatr. Albo zasłony. Zostawiłeś drzwi otwarte?

Bobby wyteżył słuch. Z oddali dobiegał cichy poszum oceanu, kłapanie wody o nabrzeże i stukot łódek, był jednak pewien, że słyszy coś jeszcze. Cichy, terkoczący dźwięk, jakby wytwarzany przez owada. Kerr-czikk – a potem długa cisza. Znow go usłyszał. Kerr-czikk.

– Nie słyszysz? – spytał, patrząc na Sarę. – Chyba to jakiś owad.

Dziewczyna wsłuchiwała się, ściskając go mocno za rękę. Tym razem cisza była znacznie dłuższa, ale po chwili dziwny odgłos rozległ się ponownie. Kerr-czikk. Znacznie bliżej.

– To kapanie kranu w kuchni – powiedziała Sara.

– Nie sądzę. Jestem pewien, że to jakiś owad.

Sara objęła Bobby'ego i zaczęła podskakiwać na łóżku.

– Czy to ważne? Jeżeli to owad, to tylko owad, a jeśli kapiący kran, to tylko kapiący kran!

Kerr-czikk. Tym razem brzmiało to tak, jakby dźwięk dochodził zza drzwi sypialni. Bobby złapał Sarę za nadgarstki i syknął:

– Ciii!

– Daj spokój... – zaprotestowała. – Nic tam nie ma...

– Ktoś jest w salonie.

Sara natychmiast złapała T-shirt i zakryła piersi.

– Żartujesz, prawda?

– Nie jestem pewien... ciii...

Minęło kilkadziesiąt sekund. Ocean nadal klaskał – KLAP, KLAP, KLAP – ale po chwili chlupot wody został przerwany przez kolejne kerr-czikk. Tym razem odgłos był nieco inny – przypominał ciche brzęczenie jakiegoś precyzyjnego mechanizmu. Na pewno nie był to owad.

– Hej! – wrzasnął Bobby. – To teren prywatny i jeżeli go natychmiast nie opuścisz, mam prawo strzelać!

Czekali. Nie było odpowiedzi. Sara przytuliła się do Bobby „ego i mruknęła:

– Chyba nikogo tam nie ma. Na pewno tylko wiatr czymś porusza. Może sprawdzisz?

– Już idę – odparł Bobby, ale się nie poruszył.

– No to idź. Sprawdź, co się dzieje. Założę się, że to tylko klosz lampy albo coś w tym stylu.

– Pewnie masz rację – mruknął Bobby.

Właśnie zamierzał wstać z łóżka, kiedy dziwny dźwięk rozległ się ponownie.

Kerr-czikk.

Gdy zamilkł, nagle zgasło światło.

– Kto tam?! – krzyknął Bobby. Jego głos zabrzmiał znacznie bardziej piskliwie, niżby sobie życzył.

Przez chwilę panowała cisza, po czym chłopak spróbował ponownie:

– Kto tam?! Ostrzegam, mam broń! Jeżeli natychmiast nie opuścisz domu, będę strzelał!

Znów nie było odpowiedzi. Sypialnię spowijała nieprzenikniona ciemność. Bobby ścisnął dłoń Sary.

– Idę zapalić światło – powiedział cicho.

– Nie idź! – zawołała Sara, nagle przerażona. – Może zadzwoń na policję...

Bobby przepelzł po łóżku i wymacał nocną szafkę. Przesuwał ręką wokół budzika, aż natrafił na telefon. Podniósł słuchawkę, ale gdy to zrobił, rozległo się kolejne kerr-czikk i sygnał zamilkł.

– Telefon jest odcięty... – szepnął.

– Nie masz komórki?

– Zostawiłem w kuchni. Masz swoją?

– W torebce. Jest w salonie.

– Cholera!

W sypialni było tak ciemno, że Bobby’emu zaczęły krążyć przed oczami czerwone plamy.

Wyglądały jak wypływające z głębin oceanu mątwy i meduzy, zamieszkujące czarne otchłanie, do których nigdy nie dociera słońca i gdzie ciśnienie jest tak wielkie, że człowiek w ułamku sekundy zamieniłby się tam w bezkształtną, spłaszczoną masę. Macając rękami, Bobby wrócił do Sary, odnalazł jej bark, a potem plecy.

– W dalszym ciągu nie sędzę, aby ktoś tam był – powiedziała szeptem. – Po prostu wyłączono prąd, i tyle.

– Jeśli uważasz, że nikogo nie ma, to dlaczego szepczesz?

– Na wypadek, gdyby to nie była przerwa w dostawie prądu... ale nie, to tylko jakiś problem z prądem.

– Idą poszukać kontaktu.

– Bądź ostrożny...

Bobby wymacał skraj łóżka, złapał za mosiężną poręcz, po czym zaczął machać drugą ręką, próbując wymacać ewentualne przeszkody.

– Dlaczego jest tak ciemno? – zdziwiła się Sara. – Z zewnątrz powinno wpadać choć trochę światła z drogi.

– Jestem już prawie przy drzwiach – poinformował ją Bobby. – Czuję framugę. Czuję... włącznik...

Pstryknął kilka razy, ale nic się nie wydarzyło. Płazowy domek w dalszym ciągu tonął w ciemnościach, przez zamknięte okiennice nie przebijała się nawet najmniejsza smuga światła.

Zazwyczaj nocne niebo rozjaśniały lampy sodowe oświetlające Pacific Coast Highway, dziś jednak było inaczej.

– Może nawaliło coś w instalacji?

– Jeśli nie ma światła w całej okolicy, musi to być wina elektrowni...

Kerr-czikk, Dziwny odgłos był teraz naprawdę blisko – zaledwie centymetry od Bobby’ego.

– Ostrzegam cię! – wrzasnął chłopak. – Mam broń i kiedy doliczę do trzech, strzelam!

– Jeśli to owad, nie masz co na niego krzyczeć – stwierdziła Sara.

– To nie owad! Nie wiem, co to takiego, ale jest tutaj! Tuż przede mną!

Zamachał dziko rękami, niczego jednak nie wyczuł.

– Nic tu nie ma! Niech to jasna cholera... nic tu nie ma!

– Przestań! – krzyknęła Sara. – Przestań, straszysz mnie! Bobby cofnął się dwa albo trzy kroki i wpadł na łóżko.

Macając mosiężne obramowania, obszedł łóżko i wgramolił się na materac. Poszukał ręki Sary. Ciężko dyszał z przerażenia.

– Jeżeli niczego nie ma, to nie mamy się czego bać – oświadczyła Sara, nie zabrzmiało to jednak przekonująco.

– Coś tam jest, ale jest niczym.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Ale wiem, że tam jest. Słyszymy to, prawda? Nawet jeżeli nie możemy tego dotknąć.

Odczekali kolejną minutę. Należałoby się spodziewać, że ich oczy przyzwyczają się do ciemności, ale nawet po tak długim czasie nadal nic nie widzieli. Kompletnie nic. Czuli się niemal jak zakopani żywcem.

– Co się dzieje z tą elektrownią? – syknął Bobby. – Dlaczego nie włączają światła?

W tym momencie ujrzeli w otwartych drzwiach niewyraźny, migoczący kształt. Przesuwał się i falował, jakby znajdował się za taflą płynącej wody.

– Co to jest? – szepnęła Sara. – Wygląda jak ćma. Bobby uważnie wpatrywał się w dziwny kształt. Po jego obu stronach widział białe plamy, które najpierw wziął za skrzydła, ale po chwili stwierdził, że to oczodoły. Migoczący kształt był ludzką twarzą – wyglądającą jak negatyw – z białymi włosami i czarną skórą.

– O mój Boże... – jęknęła Sara. – Co to jest? Chyba nie duch?

– Hej ty, kimkolwiek jesteś! – zawołał Bobby najgroźniejszym tonem, na jaki było go stać. – Widzę cię teraz, jasne? Masz się stąd wynosić! Ta posiadłość należy do pana Johna D. Tubbsa i pani Tubbs i nie masz prawa tu przebywać. Natychmiast odejdz!

Nikt mu nie odpowiedział, ale po chwili rozległo się ciche kerr-czikk i nagle twarz znalazła się znacznie bliżej. Ponieważ patrzyli na negatyw, nie potrafili określić, czy jest to (warz kogoś młodego, czy starego, ale białe oczy były szeroko otwarte i wpatrywały się w nich uważnie, a czarne zęby szczyrzyły się groźnie.

Sara tak mocno ścisnęła dłoń Bobby'ego, że jej doklejane paznokcie wbijały mu się w skórę.

– Co to jest – wymamrotała. – Boże, przegoń to...

Bobby nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Negatywowa twarz przypomniawszy mu koszmary nocne, które budziły go, gdy był młodszy. Była to twarz wszystkiego, co straszne i co chowało się za dnia, by wyjść z ukrycia po zapadnięciu zmroku. Wszystkiego, co czaiło się w głębi ciemnego zaułka, wewnątrz starego, zardzewiałego zbiornika na wodę. Były to twarze dziwnych ludzi, patrzących na niego z przejeżdżających autobusów albo odbijających się w oknach sklepowych wystaw. Gdy się odwracał, znikwały; może tak naprawdę wcale ich nie było, budziły jednak przerażenie i paraliżowały myśli, ponieważ ci ludzie go znali, wiedzieli, gdzie go znaleźć i czego najbardziej się boi.

Rozległo się kolejne kerr-czikk i twarz doskoczyła do łóżka. Bobby odruchowo szarpnął się do tyłu. Serce waliło mu jak przestraszonemu królikowi.

– Idź sobie! – wrzasnęła Sara. – Odejdź i zostaw nas w spokoju!

Twarz nie poruszyła się, białe oczy uważnie się w nich wpatrywały. Po chwili rozległ się bełkotliwy, stłumiony głos, jakby ktoś mówił zza ściany:

... żebyście mogli odejść, tak? Nikt nie odejdzie... nie żałując. Nie płacąc...

– O czym ty gadasz? – spytał Bobby. – Nawet cię nie znamy!

Znacie mnie lepiej, niż się wam wydaje... i teraz to odcierpicie...

– Czego chcesz? Powiedz tylko, czego chcesz. Pieniądzy? Moi rodzice mają pieniądze. Weź, co chcesz, i idź sobie.

Wiesz, czego chcę. Chce zobaczyć, jak płacicie cenę.

– Cenę? Jaką cenę? Co takiego zrobiliśmy?

Cenę za brak lojalności, moi drodzy. Cenę za pogardę.

W bełkotliwym głosie dziwacznej zjawy było coś, co Bobby'emu wydało się znajome.

Jeszcze uważniej przyjrzał się negatywowej twarzy, po czym kucnął na piętach.

– To jakaś sztuczka, prawda? To cholerna magiczna sztuczka!

– Jaka sztuczka? – spytała Sara.

– Oszukali nas. – Bobby zamachał dłonią przed twarzą, ale białe oczy nawet nie mrugnęły. –

Założę się, że Dudley to zorganizował. Obserwują nas teraz i prawdopodobnie leją w majtki z radości. „Cenę za... pogardę”. Ale numer...

– Mówisz poważnie? To tylko żart?

– Oczywiście.

– A skąd wiedzieli, że będziemy dziś razem? Skąd wiedzieli, że tu przyjedziemy? I jak udało im się sprawić, żeby było tak ciemno?

– Nie mam pojęcia, ale na pewno się tego dowiem, kiedy usiądę Dudleyowi na głowie.

Myślisz, że to sztuczka? – spytała negatywowa twarz.

– Owszem, tak właśnie myślę. A to z tej prostej przyczyny, że nie wierzę w duchy ani demony, ani twarze unoszące się nad łózkami. Słyszysz mnie, Dudley? Ostrzegam cię, zrobię sobie z twoich bebechów torbę na kije golfowe!

Myślisz, że to żart? – spytała ponownie twarz.

– Jasne.

W takim razie uśmiechnij się.

Bobby otworzył usta, ale w tym momencie cały świat gwałtownie pobieleł. Sypialnia eksplodowała intensywnym, oślepiającym światłem, jakby wybuchła w niej bomba wodorowa. Chłopak poczuł zalewającą go falę niesamowitego gorąca, a kiedy się odwrócił, ujrzał ostatnią rzecz w swoim życiu – Sarę z płonącymi włosami i zwęglającą się twarzą.

Rozdział 2

Jim wszedł do Drugiej Specjalnej, nawet nie patrząc na piętnastu uczniów siedzących z opartymi o ławki stopami, rzucających papierowymi samolocikami, słuchających walącej ze słuchawek garażowej muzyki, piszących SMS-y do kolegów i koleżanek z innych klas, czytających komiksy *X-Men*, poprawiających błyszczki na ustach i ćwiczących kroki modnych tańców.

Usiadł za biurkiem i położył obie dłonie na blacie, wnętrzem do dołu, niczym barowy pianista, który nie jest w stanie sobie wyobrazić, że jeszcze raz uda mu się zagrać *Strangers In The Night*. Wyglądał na zmęczonego i był wymizerowany, a jego policzki i brodę pokrywała nie golona od dwóch dni szczecina. Jego myszowate włosy były potargane, jakby od dawna ich nie czesał, a błękitna koszula wygnieciona. Na lewej nogawce jasnobrązowych sztruksowych spodni miał plamę, która mogła pochodzić od różnych produktów – od keczupu po kocią karmę.

Rozwiązał sznurek trzymający zepsuty zamek teczki. Wyjął książkę z pozaginanymi rogami, otworzył ją i zaczął w milczeniu czytać. Po chwili uczniowie uświadomili sobie jego obecność i choć nie wszyscy przerwali to, co akurat robili, odwrócili się ku niemu i zaczęli mówić nieco ciszej, a ćwiczący taneczne kroki powoli zamierali.

Minęło dziesięć minut, zanim Jim się odezwał.

– Dziś porozmawiamy o czasie – oświadczył i zdjął pełne odcisków palców okulary. –

Zastanowimy się, czym jest czas, co z nami robi i jak wyrażamy wobec niego swoje emocje.

– Najwyższy czas – powiedział Freddy Price i cała klasa się roześmiała.

– No cóż, przepraszam... spóźniłem się dwa tygodnie – powiedział Jim. – Mam nadzieję, że pani Lakenheath pozwalała wam się dobrze bawić. Prawdę mówiąc, wcale się nie spodziewałem, że tu wrócę, ale czasem tak bywa. Wyruszamy w przyszłość, pogwizdując pod nosem, i zanim zdążymy się zorientować, z powrotem jesteśmy tam, skąd wyruszyliśmy.

Sonny Powell uniósł swoją długą czarną rękę.

– Proszę wybaczyć, proszę pana, ale nie wygląda pan na szczególnie szczęśliwego z tego powrotu. – Sonny miał dwa metry wzrostu i wszyscy wołali na niego „Cień” z powodu jego obsesji na punkcie butów sportowych Saucony Shadow* [* *Shadow* (ang.) – cień.], a także dlatego, że wszyscy uczniowie Drugiej Specjalnej zawsze stali w jego cieniu. – Jeśli nie ma pan ochoty niczego nas uczyć, to chcielibyśmy dalej robić to, co robimy. Nie wywołujmy wilka z lasu, że tak powiem – dodał i dla podkreślenia swoich słów trzy lub cztery razy odbił piłkę do koszykówki o podłogę.

Jim wstał i podszedł do okna.

– Przyznam, że to nęcąca propozycja, problem jednak w tym, że wróciłem do West Grove Community College, ponieważ muszę dowiedzieć się czegoś o sobie. Chyba jeszcze pilniej niż wy potrzebuję nauki. Być może nikt z was nie jest zainteresowany nauczeniem się czegokolwiek

i jeśli mam być szczery, nie bardzo mnie to wzrusza. Jeżeli chcecie pozostać ignorantami i półanalfabetami, to wasz wybór, ja jednak muszę się czegoś nauczyć. Przykro mi, jeśli to dla was niezbyt wygodne, ale potrzebna mi do tego wasza pomoc. – Odwrócił się w stronę ławek. – Co prawda jest to kurs języka angielskiego, ale nie będziemy mówić o wymowie, czytaniu ani pisaniu. Zajmiemy się życiem w świecie, który nie daje ludziom równego startu, zastanowimy się, co robić, kiedy szczęście się kończy... o ile w ogóle kiedykolwiek się je miało... i porozmawiamy o wszystkich sztuczkiach, pułapkach oraz drobnych okrucieństwach życia, które sprawiają, iż często zastanawiamy się, czy warto wstawać rano z łóżka.

Udało mu się zdobyć ich niepodzielną uwagę. Nawet Vanilla King przerwała malowanie paznokci, zatrzymując w pół ruchu pędzelek z lakierem Tangerine Sparkle.

– Będziemy rozmawiać o tym, jak zachować życie i zdrowie na tej bardzo niebezpiecznej planecie – dodał Jim.

– Będzie nam pan mówił, jak należy zachowywać się w ruchu drogowym i tak dalej? – spytał siedzący z tyłu klasy Roosevelt Jones. Był niski i krępy, miał błyszczącą łysą czaszkę i nosił lustrzane okulary.

Jim pokręcił głową.

– Niczego wam nie będę mówił. To wy będziecie mówić różne rzeczy. Jeżeli chcecie wiedzieć, zapomniałem, jak powinienem żyć. Straciłem wiarę, że wszystko zmieni się na lepsze, że nadejdzie jeszcze jeden słoneczny dzień.

– Nie możemy pana niczego nauczyć – oświadczył Cień. – To pan jest Wielkim Nauczaczem. Pan ma nas uczyć.

Edward Truscott pokręcił głową.

– Nikt nikogo nie „uczy”, ale „naucza”. Gdyby było inaczej, nie nazywałbyś pana Rooka „Wielkim Nauczaczem”, a „Wielkim Uczycielem”.

– Znów chcesz mi namieszać we łbie, cwaniaczku? – wycedził Cięń, udając, że bardzo się złości. – Jeżeli to właśnie edukacja ma zrobić z ciebie człowieka, ty kluchowaty wałku, nie chcą mieć z nią nic wspólnego.

– jak powiedziałem – przerwał im Jim – jeżeli nie chcecie się niczego nauczyć, to wyłącznie wasza sprawa, ale mylicie się, twierdząc, że nie możecie niczego mnie nauczyć. Możecie.

Jesteście młodzi i nieskażeni. Wiecie jeszcze, kim jesteście i co przyniesie jutro, a ja właśnie tego chcę się nauczyć.

– Uczył pan tu przedtem, prawda? – odezwała się Ruby Montes. Miała górę sfalowanych czarnych włosów i kolczyki jak choinki bożonarodzeniowe.

– Tak, uczyłem. Trzy lata temu, ale zaproponowano mi bardzo interesującą pracę w Waszyngtonie, w Ministerstwie Edukacji, więc odszedłem.

– Dlaczego pan wrócił? – spytał Roosevelt. – Kiepsko płacili?

– Nie, pensja była dobra. Praca też była dobra. Po prostu coś się stało, to wszystko.

– Co? Złapano pana w szafie z jakąś młodą nauczycielką?

Jim uśmiechnął się słabo.

– Powiedzmy, że... stało się coś bardzo złego. A nawet tragicznego. Coś, co mi uświadomiło, że w życiu można uciec od wszystkiego z wyjątkiem samego siebie.

– To prawda – mruknął George Graves. Miał źle ostrzyżone włosy i długą, końską twarz. –

Nieważne, gdzie człowiek rano się budzi, bo przecież... no cóż... zawsze tam jest, prawda?

– A gdzie indziej miałbyś być, głupolu? – spytał Cięń.

– Nie wiadomo – wtrącił się Freddy Price. – Gdy kiedyś obudziłem się rano po sylwestrze,

zdecydowanie mnie nie było. Jako kolejna podniosła rękę Sue-Marie Cassidy – nerwowo, z wahaniem. Miała długie, proste błyszczące włosy i twarz o klasycznych rysach, która byłaby bardzo piękna, gdyby oczu nie otaczała gruba warstwa tuszu, a warg nie pokrywały kilogramy

szminki – i gdyby nie wydymała tak ust. Na ostatnie urodziny matka zafundowała jej zastrzyki kolagenu w wargi i teraz Sue-Marie wyglądała nie jak madonna z obrazu Botticellego, a jak dziewczyna z serialu *Słoneczny patrol*.

– Co dokładnie stało się panu w Waszyngtonie? – spytała lekko zachrypniętym głosem. – Powiedział pan, że to było tragiczne...

– Było, przyznaję – odparł Jim. – Wolałbym jednak o tym nie mówić, przynajmniej nie w tej chwili. Chcę popchnąć moje życie do przodu, więc... będę udawał, że nigdy nie wyjeżdżałem do Waszyngtonu. Będę udawał, że wciąż mam trzydzieści cztery lata i nigdy nie wyjeżdżałem z West Grove.

– Czy nie powinien pan raczej, bez względu na to, co to było, stawić temu czoło? – spytała Delilah Bergenstein. Tak naprawdę nie miała na imię Delilah, ale miała ciemne kocie oczy i pieprzyk na policzku i była przekonana, że wygląda jak starotestamentowa uwodzicielka.

– Interesujesz się psychiatrią? – spytał Jim.

Delilah entuzjastycznie pokiwała głową.

– Zamierzam zostać psychiatrą, ale... rozumie pan... najpierw powinienam trochę popracować nad angielskim.

– Pewnie... musisz przecież umieć przeliterować słowo „psychiatra” – mruknął Randy Bullock, który siedział tuż przed nią.

– Założę się, że ty też byś tego nie umiał zrobić – prychnął pogardliwie Edward Truscott.

– Bo nie muszę, geniuszu. Ja idę robić w fast foodzie.

– Wygląda na to, że tymczasem to fast food sporo z tobą zrobił, grubasie.

Jim wrócił do swojego biurka.

– No dobrze, dość już tych wolnych skojarzeń. Jeżeli macie mnie czegokolwiek nauczyć, musimy określić punkty wyjścia dyskusji. Zacznijmy od zdefiniowania czasu...

Uczniowie Drugiej Specjalnej patrzyli na niego, nic nie pojmując. George Graves hałaśliwie wydmuchał nos w kawałek papieru toaletowego, a Ruby Montes z niesmakiem pomachał w jego kierunku zaciśniętą pięścią.

– Właśnie jem śniadanie, więc wolałbym nie słuchać twojego charkotu – syknął.

– Zaczynamy – powiedział Jim. – Co rozumiemy pod pojęciem czasu? Czy ktoś ma na ten temat coś do powiedzenia?

Roosevelt mocno odchylił się do tyłu, jakby chciał przewrócić krzesło.

– Czas to takie coś, co pozwala przestać robić jedno, na przykład jeść pizzę, i zacząć robić co innego, na przykład kimać przed telewizorem – oświadczył. – Gdyby nie czas, człowiek tylko by jadł pizzę, bo nie miałby czasu robić niczego innego, i w końcu pochorowałby się na żołądek.

Poza tym zaczęłyby wyglądać jak Randy... jak trzech ludzi, wepchniętych w jedno ciało.

– Chwileczkę! – zaprotestował Raudy. – Gadasz tak tylko dlatego, że sam wyglądasz jak ogłoszenie o klęsce głodu.

W ostatnim rzędzie siedział David Robinson. Kiedy wstawał, słońce rozświetliło jego jasnorude, ostrzyżone na jeża włosy i czerwone uszy.

– Czas to różnica między istotami ludzkimi a Bogiem... – zaczął z wahaniem i zamilkł.

Reszta klasy demonstracyjnie udawała, że ziewa.

– Mów dalej – zachęcił go Jim.

– No, my się starzejemy, a Bóg nie. Dlatego Bóg wie tak bardzo dużo. Przez całe życie uczymy się różnych rzeczy, ale kiedy umieramy, wszystko, czego się kiedykolwiek nauczyliśmy, zostaje zapomniane.

– To prawda – mruknął Cień, marszcząc czoło. – Jaki sens męczyć się napychaniem sobie głowy tym, jak przeliterować słowo „psychiatria” albo jakie miasto jest stolicą Paryża, jeżeli człowiek i tak umrze i wszystkie te informacje na nic się zdadzą? Na cmentarzu nie ma

konkursów poprawnej wymowy.

Jim otworzył leżącą na biurku książką z pozaginanymi rogami.

– Przeczytam wam wiersz o czasie i losie. Chcę, żebyście się nad nim zastanowili

i powiedzieli mi, czy ma jakiś związek z waszymi poglądami na różne sprawy. Jest zatytułowany

Droga, a napisał go Edwin Muir.

Droga wijąca się w nieznane

Przecina kraj o nazwie Znowu.

Po bokach jej łucznicy stoją -

Jelenie łowy czas rozpocząć.

Vanilla King zaczęła malować paznokcie prawej dłoni, wysuwając koniuszek języka

spomiędzy zębów. Randy Bullock wsadził palce do ucha, chwilę nim powiercił, po czym zaczął

oglądać urobek. Słysząc było liczne pokastywania i szuranie nóg, ktoś w głębi klasy mówił coś

głośnym szeptem, ale Jim nie przerywał czytania.

Lew rozciągnięty w samym środku,

Z głową jak góra, brwią mroczniejącą,

Toczy się w dół zboczem bez końca.

Kości, odarte z mięsa przed eonem

Wstały i w pogoń poszły.

Statek bezpiecznie do portu wpływa.

Wiele ich poszło w dół otchłani.

Płonący w jego trzewiach skarb

Bliski, lecz nie do odszukania,

Zapadł za strefę dźwięku.

Mężczyzna w letnim popołudnia żarze

Układa się na swym nagrobku.

Jego śmiertelny wizerunek

Tkwi w głębi łona. Więzienia losu.

Jim zamknął książkę i rozejrzył się.

– Czy ktoś mnie słuchał?

– Ja słuchałem – odparł Edward Truscott.

– Słuchałeś, przyglupie, czy słyszałeś? – próbował go obśmiać Cień.

– A co z tobą? – spytał Jim. – Słuchałeś tego wiersza? Cień był zaskoczony.

– Nie wsłuchiwałem się w każde słowo, ale zauważałem go.

– Więc jeżeli go „zauważyłeś”, to co on według ciebie wyrażał?

Cień pociągnął nosem i wzruszył ramionami.

– Aż tyle nie zauważyłem.

Jim zaczął iść między szeregami ławek. Kiedy doszedł do Sally Broxman, wziął do ręki

leżącą na ławce pluszową lalkę przedstawiającą SpongeBoba SquarePantsa, i zaczął ją obracać.

SpongeBob SquarePants był postacią z komiksu o istotach żyjących w morzu, wydawanego przez Nickclodeon.

– Lubisz SpongeBoba SquarePantsa?

Sally zaczerwieniła się, wyraźnie zawstydzona. Była ładna, choć trochę zbyt pulchna, i miała szopę ufarbowanych na kolor siana włosów.

– Jest moją... maskotką.

– „A żółty, chłonący i porowaty jest...” – zacytował Jim fragment piosenki SpongeBoba

i podniósł lalkę wyżej, aby mógł ją widzieć każdy w klasie. – Widzicie tego gościa? Jest

chłonący. Może warto wziąć z niego przykład? Chłonać. Wchłaniać, co się da. Jeżeli czegoś nie

lubicie, bo uważacie to za nudne, nie jesteście w stanie zrozumieć albo po prostu nie chcecie

zrozumieć, nie oznacza to, że się kiedyś wam nie przyda. – Wrócił do swojego biurka. – Wiersz, który przeczytałem, mówi o czasie i o tym, co czas dla was znaczy. Osobiście dla każdego z was. Każde z was, leżąc w kołysce, leżało już w trumnie. Wszyscy umrzecie. Ty umrzesz... ty też... i ty. Każdego z was to czeka, i mnie również. Za sto lat może ten budynek i ta kasa będą jeszcze istnieć, ale nas już nie będzie, zostaniemy zapomniani, a ktokolwiek tu wejdzie, nie usłyszy nas... bez względu na to, jak bardzo by się wsłuchiwał. Wszyscy uczniowie Drugiej Specjalnej milczeli i wpatrywali się w niego z otwartymi ustami.

– To dla was nowość? Naprawdę ktoś z was sądził, że będzie żył wiecznie?

– Cholera... – wymamrotał Freddy Price, przerywając milczenie. – Obudziłem się rano i wydawało mi się, że jestem w chmurach. A teraz czuję się tak, jakbym zaraz miał się powiesić. Kiedy Jim szedł do pokoju nauczycielskiego, zatrzymała go Sue-Marie.

– Chciałam tylko powiedzieć, że witamy pana z powrotem – powiedziała, pokazując swoje idealnie białe zęby.

– Jesteś bardzo miła. Rosemarie, prawda?

– Sue-Marie.

– Przepraszam. Dajcie mi dwa dni na zapamiętanie waszych imion.

– To, co powiedział pan dziś na lekcji... naprawdę dało mi do myślenia. No wie pan, o życiu, śmierci i tych innych rzeczach...

– Mam nadzieję, że cię to nie zdołowało.

Sue-Marie tak energicznie pokręciła głową, że jej blond włosy rozleciały się na boki.

– Skądże. To było takie... karmiczne, rozumie pan? Poczulałam się, jakby mnie pan doskonale rozumiał.

– Miło mi. Przynajmniej jedną osobę zrozumiałem...

Sue-Marie popatrzyła mu w oczy i zamrugała. Jej długie rzęsy wyglądały jak dwa motyle

zawisaki.

– Ciągłe pana to boli, prawda? To, co się wydarzyło w Waszyngtonie.

– Przepraszam cię, Sue-Marie, ale jak mówiłem na lekcji, nie jestem gotów o tym rozmawiać; przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Gdybym mogła panu w czymkolwiek pomóc... gdyby potrzebował pan kogoś, kto pana wysłucha...

– Dziękuję. To bardzo mile z twojej strony i takie... empatyczne.

Patrzył, jak Sue-Marie odchodzi, kręcąc tyłeczkiem ściśniętym przez małą niebieską plisowaną spódniczkę. Dziewczyna odwróciła się i uśmiechnęła do niego kokieteryjnie.

Odpowiedział jej poważnym i nieco smutnym uśmiechem, który miał świadczyć o tym, że nawet gdyby usiadła mu na kolanach i zaczęła dmuchać w ucho, mogłaby mieć pewność, że Jim nie nadużyje jej zaufania. Tak naprawdę wcale nie był zainteresowany flirtami z uczennicami – nie teraz. Znacznie bardziej zależało mu na poskładaniu do kupy kawałków, na jakie rozprysnęło się jego życie, i znalezieniu sobie miejsca na ziemi, w którym mógłby normalnie funkcjonować.

Pchnął drzwi do pokoju nauczycielskiego pełnego zniszczonych foteli, zapadających się kanap i nieznanymi mu nauczycieli. Jego stary ulubiony fotel pod oknem zajmowała potężna Murzynka w sukience pokrytej nadrukowanymi afrykańskimi zygzakami. Rozmawiała z Hectorem Lo, zastępcą kierownika wydziału nauk ekonomicznych, i podkreślała każde zdanie wbijaniem palca w podłokietnik.

– Musimy to uzmysłowić każdemu naszemu uczniowi – mówiła – białemu, czarnemu, Azjacie, lesbijce i gejowi: mają prawo być bogaci!

Hector Lo kiwał potakująco głową, Jim wiedział jednak, że wcale nie słucha.

Ruszył do krzesła w przeciwległym kącie pomieszczenia, ale nagle usłyszał głośne wołanie:

– Jim! Hej, Jim! Wreszcie ci się udało!

Odwrócił się i ujrzał Vinniego Boschetta z wydziału historii. Vinnie bardziej wyglądał na statystę z *Policjantów z Miami* niż na nauczyciela specjalizującego się w polityce XIX wieku. Miał czarne, starannie uczesane włosy, opaloną twarz, z której wystawał kulfoniasty nos, i był ubrany w jedną z będących jego znakiem firmowym hawajskich koszul – w orchidee, kolibry i ananasy.

Objął Jima i zaczął go klepać po plecach. Pachniał mocno wodą po goleniu Armaniego.

– Kiedy nie pokazałeś się w zeszłym tygodniu, myśleliśmy, że wymiękasz! Nikt by nie miał o to do ciebie pretensji! To miejsce nie zmieniło się nawet na jotę! W dalszym ciągu ślepy prowadzi kulawego, a zaraz za nimi kuśtyka przygłupi.

– Miło cię widzieć, Vinnie. Co u Mitzi?

Vinnie zakaszłał teatralnie w pięść.

– Hm... Ze wstydem muszę się przyznać, że po Mitzi były już trzy inne. A może cztery?

Kochana dziewczyna, ta Mitzi. Wspaniała. Ma niezrównane nogi. Ale wiesz, jak jest... nie bardzo się zgadzaliśmy co do pewnych rzeczy dotyczących amerykańskiej konstytucji... takich na przykład, jak mojego konstytucyjnie zagwarantowanego prawa do copiątkowej gry z chłopakami w pokera.

– Kto jest teraz?

– Alana. Jest cudowna. Będziemy musieli kiedyś pójść gdzieś we trójkę. Odkryłem przy Pico niesamowitą namibijską knajpkę. Nie masz chyba nic przeciwko jedzeniu mrówek?

– Mrówek? Uważasz, że jestem mrówkojadem?

– Jim, daj spokój. Nie mówimy o tych małych żyjątkach,

które wyłazą chmarami z pęknięć chodnika. Mówimy o wielkich, tłustych, specjalnie hodowanych na cukrze. Są doskonale z sosem chili. Kiedy się je zgryza, robią ciche PYKKK...

Pycha!

– Jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu, pozostanę przy *burrito*. – Jim usiadł, wyjął z kieszeni telefon i kawałek zmiętej kartki. – Właśnie szukam mieszkania. Książki mam w przechowalni, a mój kot prawdopodobnie już zapomniał, jak wyglądam.

– Potrzebujesz mieszkania? Nie musisz szukać. W zeszłym miesiącu zmarł mój stryj i jego mieszkanie stoi puste. Zamierzałem je wynająć, ale nie miałem czasu się do tego zabrać. Alana, rozumiesz... jest nieco wymagająca. Co ja mówię, nieco wymagająca? Ha! Nie daję mi chwili spokoju! A mieszkanie na pewno ci się spodoba. Jest całkowicie umeblowane, trzeba je tylko posprzątać, przewietrzyć i może lekko musnąć ściany farbą.

– Gdzie się znajduje? – spytał podejrzliwie Jim.

– W Venice, kilka przecznic od twojego dawnego mieszkania. W Benandanti Building. Są tam cztery sypialnie, olbrzyyyyymi salon, jadalnia, kuchnia i łazienka jak u Nerona!

– Przykro mi, Vinnie, ale na coś takiego chyba mnie nie stać. Nie mogę miesięcznie płacić więcej niż osiemset.

– Nie wygłupiaj się! Dam ci je za siedemset pięćdziesiąt! Pod warunkiem, że będziesz płacił gotówką. Bez papierów, bez pytań. I będziesz utrzymywał je w dobrym stanie. A ja będę miał lokatora, któremu można ufać!

– Siedem i pół stówy? – Jim schował telefon. – Mogę rzucić okiem?

– Oczywiście. Jutro o dwunastej?

– Załatwione – odparł Jim.

Miał zamiar zapytać Vinniego, co się zmieniło przez ostatnie trzy lata w West Grove College, nie zdążył tego jednak zrobić, bo w tym momencie uchyliły się drzwi i do pokoju nauczycielskiego zajrzała panna Frogg, sekretarka dyrektora. Kiedy zobaczyła Jima, dała mu dyskretnie znak dłonią, że ma podejść – jakby nie chciała, aby ktoś inny ją dostrzegł.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedział Jim do Vinniego. – Meduza mnie woła.

Nazywano pannę Frogg „Meduzą” z powodu siwych, splątanych jak węże włosów i bladozielonych wylupiastych oczu. Vinnie twierdził, że wszystkie figury z białego marmuru, które wspierały fronton szkoły, to byli członkowie ciała nauczycielskiego, którzy ośmielili się odpysknać pannie Frogg – zamienieni przez nią w kamień.

– W czym mogę pomóc? – spytał Jim.

– Doktor Ehrlichman życzy sobie, aby pan przyszedł do jego gabinetu, panie Rook. Jest u niego detektyw z policji, który chciałby zamienić z panem słówko.

– Detektyw z policji? O co chodzi?

Jim odwrócił się i machnął Vinniemu, po czym postukał w szkiełko zegarka, przypominając dyskretnie, że są na jutro umówieni. Panna Frogg w milczeniu ruszyła przodem. Kiedy szli korytarzem, gumowe podeszwy sekretarki cicho popiskiwały. Jej obecność sprawiała, że Jim czuł się, jakby znów miał trzynaście lat i został wezwany do dyrektora, który miał go zrugać za zapychanie bibułą fontann z wodą do picia.

Panna Frogg zapukała do drzwi gabinetu i ze środka doleciał zirytowany głos:

– Tak, jestem! Proszę wejść!

Kiedy Jim wszedł, doktor Ehrlichman siedział za biurkiem – w samej koszuli, z przekrzywioną zieloną muchą – i wyglądał na zaniepokojonego. Był niski i łysy. Nosił staromodne okulary w grubych oprawkach, miał wielki haczykowaty nos i małe szczeciniaste wąsiki. Wyglądał, jakby okulary, nos i wąsy – połączone w całość – kupił w sklepie z magicznymi akcesoriami. Uwagę Jima natychmiast przyciągnął mężczyzna przy oknie, odwrócony plecami do gabinetu. Był niemal kwadratowy – miał tak szerokie ramiona, że prawie rozrywały szwy wymiętej jasnobrązowej marynarki, i krótkie, grube nogi. Jego włosy koloru piasku były okropnie potargane, a ramiona pokrywały płatki łupieżu.

– No, no... – mruknął Jim. – Porucznik Harris. Wydawało mi się, że przeszedł pan na

emeryturę.

Porucznik Harris odwrócił się. Choć gabinet doktora Ehrlichmana był klimatyzowany, miał purpurową twarz i pocił się niemiłosiernie.

– Postanowiłem popracować jeszcze trzy lata. Gdyby pan znał moją żonę, zrozumiałby pan dlaczego. A co z panem, panie Rook? Zdawało mi się, że oszedł pan na dobre.

– Wyjechałem do Waszyngtonu, zgadza się, ale nie za dobrze mi tam poszło.

– Przykro to słyszeć. Choć nie mogę powiedzieć, żebym był zachwycony pańskim widokiem.

– Dziękuję. Pana też miło znów oglądać. Porucznik uśmiechnął się blado.

– To nic osobistego, panie Rook. Chodzi tylko o to, że gdy jest pan w okolicy, zaczynają się dziać jakieś... upiorne rzeczy.

– Upiorne rzeczy zawsze się dzieją, poruczniku. Właściwie całe życie jest upiorne. A kiedy jestem w pobliżu, jest pan bardziej wyczulony na upiorność życia, ponieważ uważa pan, że ja sam jestem upiorny... – Jim przerwał, ale gdy porucznik nic nie odpowiedział, spytał: – O co chodzi tym razem?

Porucznik wyjął notes, polizał palec i przewrócił dwie kartki.

– O dwoje pańskich uczniów... Roberta Tubbsa i Sarę Miller.

– Przepraszam, ale jestem dziś pierwszy dzień w szkole i jeszcze nie miałem okazji poznać nazwisk wszystkich uczniów.

– Tych już pan nigdy nie pozna. O wpół do dziesiątej rano znaleziono ich martwych.

– Boże! Jak to się stało?

– Bardzo upiornie... i właśnie dlatego chciałem z panem porozmawiać.

– Czemu akurat ze mną? Nie widziałem tych dzieciaków na oczy.

– Wiem, ale może będzie pan mógł nam pomóc.

Jim uniósł rękę w obronnym geście.

– Poruczniku... nie chcę być więcej wplątywany w żadne tego typu sprawy. Wróciłem do West Grove, aby prowadzić normalne, nudne życie i wykonywać źle płatną pracę. Bardzo mi przykro, że tych dwoje młodych ludzi zginęło, ale uważam, że to pański problem, nie mój.

Porucznik Harris wyjął z kieszonki na piersi gumę do żucia, rozpakował jeden listek, zwinął go powoli i wsunął sobie do ust. Potem zrobił ze sreberka od gumy małej model samolociku.

– *Spirit of Saint Louis* – powiedział i uniósł samolocik. – Umiem też zrobić *Enolę Gay**

[*Samolot, z którego zrzucono bombę atomową na Hiroszimę.] , ale do tego potrzebne są przynajmniej cztery papierki.

– Jak zginęli? – spytał Jim.

– Zdawało mi się, że nie interesuje to pana.

– Oczywiście, że mnie interesuje, nie chcę tylko znów się wplątać w coś dziwnego.

Dziwnego i niebezpiecznego.

Porucznik odchrząknął.

– Roberta i Sarę znaleziono w domku na plaży w Santa Monica, należącym do rodziców

Roberta Tubbsa. Pan i pani Tubbs nie mieli pojęcia, że ich syn się tam wybiera... Robertowi nie wolno było korzystać z domu bez ich wyraźnej zgody. Nie wiedzieli, że ma klucz. Ciało znalazła służąca Tubbsów. Miała posprzątać przed przyjęciem, które właściciele domu zamierzali urządzić podczas weekendu. Zaraz po wejściu poczuła wyraźny zapach dymu. Kiedy weszła do sypialni, znalazła ciała. Były spalone.

– To straszne... – westchnął doktor Ehrlichman. – Rodzice są zdruzgotani.

– Czy to był wypadek? – spytał Jim. – Palili w łóżku albo coś w tym rodzaju?

Porucznik Harris pokręcił głową.

– Więc co? Morderstwo? – Jim niedowierzająco potrząsnął głową. – Niech mi pan tylko nie mówi, że specjalnie się podpalili.

- Nie, nie wygląda to na wspólne samobójstwo. W domu nie znaleziono żadnych łatwo palnych środków, niczego, co mogło być przyczyną takiego gwałtownego pożaru. Trudno mi wyjaśnić, co się tam naprawdę stało.
- Nie jestem pewien, czy byłbym zainteresowany szczegółami.
- Panie Rook, doskonale rozumiem, że nie chce pan zostać w nic wplątany, i jeżeli odmówi nam pan pomocy, będę musiał się z tym pogodzić, ale... jest w tej sprawie kilka aspektów, z którymi nawet specje z jednostki zabezpieczania śladów materialnych zupełnie nie wiedzą, co począć, nie wspominając o mnie.
- Na jakiej podstawie sądzi pan, że ja będę wiedział? Nie jestem policjantem.
- Wiem, ale jest pan *au fait* z różnymi nadprzyrodzonymi zjawiskami, prawda?
- Jim zdjął okulary i potarł oczy.
- Poruczniku, kiedy miałem dziesięć albo jedenaście lat, dostałem zapalenia płuc, od którego omal nie umarłem. Od tego czasu jestem bardziej wrażliwy na pewne sprawy... na przykład na obecność „zjaw”: duchów, dusz, czy jak to tam zwać. Widuję rzeczy, których nie widzą inni ludzie, choć może raczej należałoby powiedzieć: których nie zauważają. Ale to jeszcze nie czyni ze mnie światowej sławy eksperta w zakresie wszelkich niewytłumaczalnych wydarzeń. Jestem pewien, że wkrótce znajdzie pan logiczne wyjaśnienie śmierci tych dwojga młodych ludzi...
- Nie widział pan miejsca zdarzenia.
- I wcale nie mam ochoty go oglądać.
- No cóż, pańska decyzja. Ja w każdym razie nie znajduję logicznego wyjaśnienia tego, co stało się z Robertem Tubbssem i Sarą Miller... absolutnie żadnego... i jestem gotów założyć się o podwójne *enchilada* w Tacos Tacos, że pan także nie zdoła go dostrzec.

Rozdział 3

Jim zjechał za porucznikiem Harrisem na plażę i zatrzymał swojego starzejącego się lincolna

continentala na piasku. Było ciepłe, wietrzne popołudnie, mewy wisiały w powietrzu jak zatrzymane na fotografii. Przed domem stały cztery radiowozy, ambulans z wydziału koronera, dwa pojazdy ekipy zabezpieczającej ślady oraz trzy furgonetki z antenami satelitarnymi na dachach – z trzech różnych stacji telewizyjnych.

Kiedy Jim i porucznik Harris szli w kierunku domu, rzucił się na nich tłumek reporterów i kamerzystów.

– Poruczniku! Czy może pan podać jakieś szczegóły? Patolog twierdzi, że zwłoki są bardzo mocno spalone. Jak mocno? Czy ogień podłożono rozmyślnie? To podpalenie czy tragiczny wypadek?

Porucznik Harris zatrzymał się i uniósł dłonie.

– Przepraszam wszystkich, ale na razie nie mogę przekazać, dodatkowych informacji poza tym, co już wiecie od koronera i inspektorów pożarowych. Proszę mi uwierzyć, kiedy dowiemy się czegoś więcej, zostaniecie natychmiast poinformowani.

– Kto to jest, poruczniku? – spytała Nancy Broward z CBS News, wskazując na Jima.

– Pan Jim Rook z West Grove Community College. Zgodził się pomagać nam w śledztwie.

Jest nauczycielem Bobby’ego i Sary... to znaczy, byłby nim, gdyby żyli.

– Jak wymawia się pańskie nazwisko? Rook jak ptak?

– Nie, jak figura szachowa* [*Gra słów *rook* to po angielsku zarówno „gawron”, jak i „wieża szachowa”.] – odparł Jim.

– W czym dokładnie ma pan pomagać policji? – pytała dalej Nancy Broward.

Porucznik Harris wyglądał na nieszczęśliwego.

– Pan Rook ma szczególne umiejętności, które mogą nam pomóc ustalić, co się tu właściwie wydarzyło.

– Szczególne umiejętności? Jakiego rodzaju?

– Nie mogę nic więcej na ten temat powiedzieć. Jeżeli bylibyście teraz państwo uprzejmi nas przepuścić...

Jim przerwał mu i oświadczył:

– Przez niemal dziewięć lat uczyłem młodzież. Oznacza to zarówno przekazywanie wiedzy, jak i wskazywanie kierunku. Mogą tu być ślady, które pomogłyby nam ustalić, czy Bobby i Sara mieli jakieś problemy. Na przykład z narkotykami. Może nie dogadywali się z rodzicami... rozumie pani, jak w przypadku Romea i Julii.

– Sądzi pan, że mogli popełnić rytualne samobójstwo zakochanych?

– Nic nie sędzę. Jeszcze ich nie widziałem.

– No dobrze – burknął porucznik i ujął Jima za ramię. – Na razie wystarczy. Już im pan dał tytuł.

Poprowadził Jima w górę drewnianych schodów i do salonu. Przy drzwiach wartę trzymał mundurowy policjant, a cały dom był pełen specjalistów od zbierania dowodów, fotografów, techników zdejmujących odciski palców, inspektorów pożarowych oraz ludzi, którzy zdawali się nie mieć nic lepszego do roboty niż wydzieranie się do telefonu komórkowego.

– Jak pokazują takie rzeczy w telewizji, wygląda to inaczej – zauważył Jim, kiedy obok niego przepchnęła się barczysta blondyna z aparatem cyfrowym w rękach, a zaraz potem został potraktowany łokciem przez młodego Murzyna w plastikowym kombinezonie.

– To dlatego, że producenci telewizyjni starają się oszczędzać. A tu wszystko pokrywane jest z pańskich podatków.

Jim rozejrzał się po marynistycznym wyposażeniu wnętrza. Przyjrzał się posplatany w węzły linom, kotwicom i malowidłom przedstawiającym czteromasztowe klipry.

– Jezu... kto mieszka w czymś takim? Długi John Silver?

Porucznik Harris poprowadził go do sypialni. Jim przygotował się wewnątrz na widok

dwóch spalonych ciał, a wiedział z doświadczenia, że będzie to okropny widok. Kiedyś widział na San Diego Freeway wypalonego kempingobusa – z tatuśkiem i mamuszką w fotelach, z których pozostały jedynie sprężyny. Zwłoki wyglądały jak ludziki ze zwęglonych patyków. Najgorsze było to, że ogień wykrzywił usta ofiar i wyglądali, jakby się uśmiechali i świetnie bawili.

Kiedy wszedł do sypialni, z początku nie był w stanie zrozumieć, na co patrzy. Ściany i sufit pokrywała cienka warstewka woskowatego żółtego nalotu – jakby sadzy. Dywan był cały czarny i kiedy się po nim szło, głośno chrzęścił. Z łóżka pozostały jedynie dymiące warstwy spalonego materiału, co przypominało wielkie zwęglone ciasto i śmierdziało spaloną wełną, gumą i nylonem.

Jim podszedł bliżej i zobaczył leżące na łóżku kości. Miały zwęglone końce – jak zbyt długo przypieczone na grillu żeberka – i były tak pomieszane, że na pierwszy rzut oka nie dałoby się powiedzieć, że to szczątki dwóch osób, gdyby nie było dwóch czaszek, stykających się wzruszająco czołami, wpatrujących się nawzajem w swoje puste oczodoły.

Wokół kości leżały kupki wilgotnego szarego popiołu. Technik pobierał małą szpatułką próbki i wsypywał je do przezroczystych plastikowych torebek.

– Harris! – zawołał wielki mężczyzna z ogromnym rzymskim nosem i srebrnymi lokami, obszedł łóżko i przywitał się z nimi. Był ubrany w workowaty granatowy kombinezon z nadrukiem MEDYCYNA SĄDOWA na plecach.

– Jak idzie, Jack? – spytał porucznik Harris. – Jack, to jest Jim Rook. Panie Rook, to Jack Billings, szef zespołu zbierania dowodów materialnych.

Jack Billings kiwnął Jimowi głową i grzbietem ubranej w rękawiczkę dłoni otarł pot z czoła.

– Zostali skremowani – powiedział chrapliwym głosem, który robił wrażenie, jakby z trudem wydobywał mu się z gardła. – Ale właściwie to coś więcej niż kremacja... Aby zredukować ludzkie ciało do takiego stanu w zwykłym piecu krematoryjnym, gdzie temperatura osiąga dwa

tysiące pięćset stopni, należy je palić przez ponad cztery godziny. Moim zdaniem temperatura w tym pomieszczeniu była ponad pięć razy wyższa, choć utrzymywała się tylko przez krótki czas. Prawdopodobnie wszystko trwało sekundy.

– Jak to się mogło stać? – spytał porucznik Harris.

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz. Jak mówiłem, nie ma żadnych dowodów świadczących o podpaleniu... nic nie wskazuje na użycie jakiegokolwiek łatwo palnego materiału: benzyny, kerozyny czy terpentyny. Nie znaleźliśmy spalonych zapalek ani zapalniczki. Nie mógł to też być wybuch gazu, bo dom nie ma instalacji ani na gaz ziemny, ani na butan. Lampa łukowa może wytworzyć temperaturę do dwudziestu tysięcy stopni, ale obejmuje bardzo małą przestrzeń, podczas gdy tutaj sadza jest rozproszona po całej powierzchni ścian, a dywan i łóżko są równomiernie spalone.

– Bomba? – spytał porucznik Harris. Jack Billings pokręcił głową.

Było bardzo dużo ciepła, ale bez fali uderzeniowej po eksplozji. Popatrz na te kości i popiół... leżą na kupkach. Bomba, byłaby w stanie wytworzyć tak wysoką temperaturę, rozprószyłaby wszystko w promieniu dziesięciu kilometrów, znaleźlibyśmy wtedy fragmenty kości nawet w Anaheim.

– Błyskawica?

– Cóż... być może piorun kulisty mógłby zabić dwie osoby, leżące na dobrze izolowanym łóżku, ale to mało prawdopodobne. Zresztą nie było doniesień o burzach w jakiegokolwiek części wybrzeża.

– To wszystko? Nie masz więcej pomysłów?

– Na razie nie. Znasz mnie jednak: jeszcze nie zostałem pokonany, jeszcze nie. Aha, mamy jeszcze coś, co powinniśmy rozważyć.

– Co?

Jack Billings dał im znak ręką, aby podeszli do garderoby. Po lewej stronie, oparte o ścianę sypialni, stały białe szafy z ażurowymi drzwiami, a po prawej stolik, zastawiony flakonikami perfum i słoiczkami kremów. Ściana na wprost wejścia od podłogi do sufitu była wyłożona lustrem, toteż gdy weszli do pomieszczenia, znalazły się tam także ich odbicia. Jim stwierdził, że wygląda na wymiętego i wyplutego. Naprawdę potrzebował odpoczynku. Potrzebował miłości jakiejś dobrej kobiety i trzech tygodni na wyspie Oahu.

– No dobrze – mruknął porucznik Harris. – Co tu jest do oglądania?

Jack Billings otworzył drzwi pierwszej szafy i powiedział:

– Znaleźliśmy to tylko dlatego, że zaczęliśmy sprawdzać, czy nie było spięcia w przewodach elektrycznych.

Wiszące na drążku ubrania odsunięto na prawo, dzięki czemu widać było ścianę tworzącą plecy szafy.

– Boże drogi... – wyszeptał Jim.

Podszedł bliżej i zdjął okulary. Porucznik Harris stanął tuż za nim.

Na farbie pokrywającej ścianę namalowano naturalnej wielkości czarno-białe wizerunki Sary i Bobby'ego. Leżeli obok siebie na łóżku, półnaczy. Sara miała uniesione prawe ramię, jakby próbowała osłonić twarz, jej włosy płonęły, a z czubka głowy wystrzeliwał snop iskier. Bobby mocno zaciskał oczy i zagryzał zęby – i chyba nie miał już uszu, choć trudno było to z całą pewnością stwierdzić.

– To wygląda zupełnie jak zdjęcie – powiedział Jim z nieukrywanym zdziwieniem. – Boże... to jest zdjęcie...

Jack Billings kaszlnął i skinął głową.

– Powiedziałbym, że to dokładny obraz chwili, w której Bobby Tubbs i Sara Miller zginęli.

– Z czego jest zrobiona ta ściana? – spytał porucznik Harris, stukając w nią kostkami dłoni.

– Z sosnowych desek mających sześć centymetrów grubości i pomalowanych standardową białą emulsją. Pobraliśmy próbki, ale nie sądzimy, aby pokryto ją jakimiś odczynnikami fotograficznymi.

Jim odsunął się od ściany.

– Dokładnie taki byłby widok, gdyby stać w chwili śmierci Bobby’ego i Sary w nogach łóżka

– stwierdził. – Jakby ktoś zrobił wtedy zdjęcie, a potem przeniósł je na ścianę...

– Ale kto? – spytał porucznik Harris.

Jack Billings wzruszył ramionami.

– Osobiście nie słyszałem o żadnej technice fotograficznej, która umożliwiałaby

wykonywanie tego rodzaju obrazów. Mamy jednak taki obraz przed oczami, musiał więc istnieć sposób stworzenia go. Według mnie, poruczniku, kiedy dowiemy się „jak”, blisko już będzie do „kto” oraz „dlaczego”. To bardzo skomplikowany technicznie, wysoce specjalistyczny produkt...

w całym kraju nie może być więcej niż kilku ludzi, dysponujących technologią pozwalającą tworzyć takie obrazy.

Jim nie mógł oderwać wzroku od wizerunku Bobby’ego i Sary. Na ich twarzach nie było

przerażenia, tak charakterystycznego dla ludzi, którzy nagle zrozumieli, że zaraz umrą. Była to

jedynie reakcja na eksplozję światła i gorąca – zaciskanie powiek i szczęk, odruchowe

zasłanianie się ręką. Ale kiedy zrobiono to zdjęcie, było już dla nich za późno. Wrócił do

sypialni. Gryzący odór spalenizny podrażnił jego śluzówkę i ciekło mu z nosa. Znalazł

w kieszeni serwetkę z Roy’s Rib Shack i wytarł nos. Serwetka pachniała sosem do potraw z grilla.

– Coś pan czuje? – spytał z nadzieją w głosie porucznik Harris.

Jim pokręcił głową.

– Żadnych wibracji ani czegoś podobnego? Żadnego duchowego echa? Żadnej aury?

– Nie... nic takiego tu nie ma.

– Słyszał pan kiedyś o czymś podobnym? O kremowaniu ludzi w łóżku?

– Słyszałem o samoistnym paleniu się... zdarza się, że nagle człowiek z nieznanых przyczyn staje w płomieniach i spala się na popiół. Naukowcy nazywają to SIP.

– Sądzi pan, że mogło tu mieć miejsce coś podobnego?

– Nie wiem – odparł Jim. – Ale to znane zjawisko. Pisał o nim także Charles Dickens. Jeden z bohaterów jego powieści *Break House*, handlarz starzyzną Krook, spala się na kupkę popiołu, siedząc na krześle przy kominku. Wątpię jednak, aby przeprowadzano jakieś poważniejsze badania w tym zakresie.

– A co z obrazem na ścianie? Niech mnie cholera, jeśli wiem, co o tym sądzić.

– To jak ja. Przykro mi.

– No cóż, w każdym razie, gdyby miał pan jakiś pomysł, jakieś przeczucie, nawet gdyby przyszło panu do głowy coś śmiesznego... wie pan, jak się ze mną skontaktować. Proszę tylko o niczym nie rozmawiać z mediami... zwłaszcza o tym „zdjęciu” na ścianie. Nie chcę, aby zainteresowali się tym jacyś wariaci. Wic pan, tacy, co to w oknach sklepów z zabawkami widzą wizerunki Matki Boskiej.

– W porządku – odparł Jim. – Ale będzie mnie pan informował na bieżąco, dobrze? Jeśli pojawią się nowe ślady, dowody... coś, co mogłoby mi pomóc ustalić, jak te biedne dzieciaki zginęły.

Wrócił do swojego lincolna i wsiadł. Natychmiast otoczyli go reporterzy i kamerzyści, podsunęli mu pod nos mikrofony.

– Widział pan ciała? Jak pana zdaniem zginęli? Będzie pan rozmawiał z rodzicami Bobby’ego i Sary? Jak przyjęli to ich koledzy i koleżanki z klasy? Założę się, że byli wstrząśnięci.

Jim przekręcił kluczyk i wcisnął pedał gazu, ale tylne koła samochodu zakopały się w piasek.

Próbował się cofnąć, potem podjechać do przodu, znów się cofnąć i tak dalej, ale koła zakopywały się coraz bardziej. W końcu odwrócił się do sępów z mediów i popatrzył na nich.

– W porządku. Poddaję się. Jeżeli pomożecie mi wyjechać z tego piachu, dam wam coś do zacytowania.

– Naprawdę? A skąd mamy wiedzieć, czy można panu zaufać? – spytał Roger Frick z CNN.

– Wypchniemy samochód, a pan wdepnie gaz i więcej pana nie zobaczymy.

– Jestem nauczycielem. Jeżeli nie wierzyć nauczycielowi, to komu?

Wokół przodu samochodu zebrało się sześciu albo siedmiu reporterów, po chwili dołączyło do nich dwóch policjantów. Kiedy Jim krzyknął, zaczęli pchać. Wcisnął mocno pedał gazu, obsypując wszystkich fontannami piachu, nagle jednak lincoln skoczył do tyłu i wjechał na betonowy podjazd.

– Dzięki! Wielkie dzięki! Bardzo wam dziękuję!

Do samochodu podeszła Nancy Broward i wyciągnęła ku Jimowi mikrofon.

– No dobrze, Jim. Teraz poprosimy o cytat.

– Oczywiście. Nikt mi nie zarzuci, że nie dotrzymuję umowy. – Zaczekał, aż wszyscy reporterzy zbiorą się wokół niego i powiedział: – „Ludzie mówią o zabijaniu czasu, podczas gdy to czas po cichu ich zabija”. Dion Boucicault, tysiąc osiemset dwudziesty – tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty.

– Co takiego? – zdziwił się Roger Frick.

– Obiecałem cytat i przytoczyłem cytat. – Jim ruszył w górę podjazdu, zawrócił samochód i wjechał na Pacific Coast Highway.

Wszedł do Drugiej Specjalnej pięć minut po rozpoczęciu ostatniej tego dnia lekcji – nauki kreatywnego pisania. Wszyscy uczniowie byli zajęci, choć żaden nie miał otwartej książki. Cień

przerzucał piłkę do koszykówki z nosa na czubek głowy i z powrotem, Brenda Malone pochylała się nad powiększającym lusterkiem i wyciskała sobie wągry, a Randy Bullock przebijał się przez największą kanapkę, jaką Jim widział w życiu. Jim wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył, że wystają z niej krowie kopyta.

Klasę wypełniał jazgot nowoczesnej muzyki tanecznej, wydobywający się z kilku par słuchawek. Jim miał wrażenie, że znalazł się na polu pełnym świerszczy.

Położył książki na biurku i stanął przed klasą.

– Proszę o uwagę! Chciałbym, abyście przez chwilę mnie posłuchali!

Cień w dalszym ciągu podbijał piłkę, Randy Bullock żuł, a Ruby Montes kiwała się w rytmie salsy, której słuchała przez słuchawki.

Jim jeszcze chwilę poczekał, patrząc w podłogę przed swoimi stopami. Edward Truscott przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem, George Graves siedział odwrócony plecami do tablicy, a Vanilla King niemal cała zniknęła w wielkiej torbie z plecionki, szukając czegoś niezbędnego jej w tej właśnie chwili do życia – prawdopodobnie kredki do brwi.

Po mniej więcej minucie Jim podszedł do tablicy i wielkimi wyraźnymi literami napisał:

BOBBY TUBBS I SARA MILLER NIE ŻYJĄ.

Klasa natychmiast ucichła. Powyłączano odtwarzacze płyt CD, a Cień chwycił piłkę i wsadził ją sobie między kolana. Jim odwrócił się do swoich uczniów i otrzepał dłonie.

– Wielka jest siła słowa pisanego – stwierdził. – „Myśli, które oddychają, i słowa, które palą”* [*Z wiersza Thomasa Graya *The Progress Of Poesy*].

– To prawda? – spytała Pinky Perdido słabym, piskliwym głosikiem. – Bobby i Sara... nie żyją?

Jim skinął głową.

– Zginęli razem zeszłej nocy w domku na plaży, należącym do rodziców Bobby’ego.

Ogromnie mi przykro. Nie miałem okazji ich poznać, ale doktor Ehrlichman powiedział mi, że oboje byli bardzo lubiani.

– Co się stało? – spytał mocno zaniepokojony Freddy Price. – Chyba nie przedawkowali?

– Z tego, co wiem, ich śmierć nie została bezpośrednio spowodowana przez narkotyki ani alkohol. Doszło do gwałtownego pożaru. Policja nie umie jeszcze powiedzieć, co go wywołało, ale wasi koledzy nie mieli szans ująć z życiem. Prawdopodobnie stracili przytomność od dymu, zanim płomienie do nich dotarły.

– Rany... – jęknął Philip Genio. Był bardzo chudy i wyglądał na Latynosa, miał zaczesane do tyłu włosy i był ubrany w jasnoróżową jedwabną koszulę. – Jeszcze wczoraj wieczorem wygłupiałem się z Bobbym...

– Sara była moją najlepszą przyjaciółką – chlupnęła Sue-Marie. Łzy rozpuszczały jej tusz do rzęs, który spływał strużkami po policzkach. – Byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami od podstawówki. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego dziś rano nie przysłała mi SMS-a, kiedy nie przysłała do szkoły...

Jim odchrząknął.

Przykro mi, że przyniosłem wam takie złe wieści. Kto może dziś wcześniej wyjść. Nie sądzę, abyście byli w nastroju do nauki angielskiego.

Zostali uwięzieni? – spytała Sally Broxman.

Raczej nie – odparł Jim. – Wszystko wskazuje na to, że stało się to bardzo szybko.

– Widział ich pan?

Jim kiwnął głową.

– Policja chciała, abym obejrzał miejsce zdarzenia... na wypadek, gdybym był w stanie rzucić nieco światła na przebieg wydarzeń. Ale nie umiałem im powiedzieć nic przydatnego.

– Bardzo strasznie wyglądali? – spytał Randy Bullock. – No wie pan... byli cali upieczeni

i tak dalej?

Jim pokręcił głową.

– Wyglądali na spokojnych, prawda? – dopytywała się Sue-Marie. – Nie cierpieli?

Jim przywołał obraz czaszek Bobby’ego i Sary, wpatrujących się sobie nawzajem w puste oczodoły.

– Chyba można powiedzieć, że wyglądali na spokojnych.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał, nikt nie wstawał. Sue-Marie płakała cichutko w chusteczkę, jak kociak, który się zgubił. Z całej klasy dolatywały chlipnięcia, a David Robinson mocno zacisnął powieki, złożył dłonie i mruczał słowa modlitwy.

– Kiedy ktoś umiera tak wcześnie i tak nagle, zawsze jest to dla wszystkich straszliwym szokiem – powiedział Jim. – Na pewno zadajecie sobie pytanie, co to za świat, który pozwala, aby młodzi ludzie, których przyszłość jest wielką obietnicą, mogli tracić życie. O tym właśnie rozmawialiśmy dziś rano, prawda? O czasie. Bobby’emu i Sarze odebrano największy dar, jaki istnieje: czas na dorastanie, na zakochanie się, na cieszenie się wszystkimi przyjemnościami życia. Dla Bobby’ego i Sary czas zatrzymał się na zawsze, podczas gdy my pędzimy dalej minuta za minutą, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a każda sekunda, która mija, pozostawia ich coraz dalej za nami.

Podszedł do tablicy i pod napisem: BOBBY TUBBS I SARA MILLER NIE ŻYJĄ dodał pytanie: GDZIE SĄ TERAZ?

– Ponieważ nie wygląda na to, by ktoś z was chciał wcześniej wyjść, a mamy teraz lekcję pisania, proponuję nieco twórczej terapii. Spróbujcie wyrazić na papierze, co czujecie do Sary i Bobby’ego. Możecie napisać, co chcecie: esej, wiersz, nawet słowa piosenki. – Postukał wskazówką w tablicę i dodał: – Chcę tylko, abyście odpowiedzieli na to pytanie.

– Może są duchami, zjawami? – zasugerował Edward Truscott.

– W klasie jest tylko jedna zjawia, a jesteś nią ty – stwierdził Ciebień.

Jim usiadł.

– Jeżeli uważasz, że są duchami, napisz to. Napisz wszystko, co chcesz... byle było to mądre, uczciwe i płynęło z serca.

Vanilla King podniosła rękę.

– Panie Rook... wierzy pan w duchy?

Jim patrzył na nią przez długą chwilę, nie odpowiadając. Ale kiedy otworzyła usta, zamierzając powtórzyć swoje pytanie, niemal niezauważalnie skinął głową.

Rozdział 4

– Pokochasz to miejsce – powiedział Vinnie, gdy zaparkował swojego jasnoczerwonego pontiaca GTO i wyłączył arię *Nessun Donna** [* *Turandot* Pucciniego], którą wciąż puszczał podczas jazdy z West Grove do Venice.

Jim wysiadł i popatrzył na ponury apartamentowiec z lat 30. XX wieku, zajmujący całą przestrzeń między ulicami Willard i Divine. Kiedy mieszkał przy Electric Avenue, przejeżdżał tędy niemal co dzień, ale mimo potężnych rozmiarów budynku nie zapamiętał go. Wielka kamienica sprawiała wrażenie, jakby chciała się odciąć od życia i kolorowego otoczenia. Czteropiętrowy budynek był zbudowany z ciemnej czerwono-brązowej cegły, miał wielkie okna o małych, oprawnych w ołów szybkach i brązowe kręcone kolumny. Kiedy Jim podniósł wzrok, ujrzał nad gzymsami dziesiątki rzygaczy i sterczące nad kominami wymyślne odgromniki – jakby mieszkańcy domu chcieli się w ten sposób ochronić przed boskim gniewem.

Umieszczona nad głównym wejściem zniszczona tabliczka z brązu informowała, że jest to BENANDANTI BUILDING, zbudowany w 1935 roku.

– Mój stryj Giovanni mieszkał tu przez czterdzieści lat – powiedział Vinnie i pchnął ciężkie dębowe drzwi. – Był stary i chory, mieszkanie było dla niego za duże, ale nie chciał słyszeć

o przeprowadzce. Twierdził, że musi doczekać tu śmierci. Nie powiedział tylko dlaczego, głupi stary dziadyga.

Kiedy masywne drzwi zamknęły się za nimi, Jima zdziwiła nagła cisza, jaka ich otoczyła. Była taka... absolutna. Nasłuchiwał przez chwilę, nie słyszał jednak ani telewizorów, ani odgłosów ulicy.

– Tu jest jak w kościele – mruknął i ruszył w głąb holu. Jego kroki odbijały się echem, a ich echo drugim echem.

Hol nie tylko wyglądał jak wnętrze kościoła, ale także podobnie w nim pachniało. Był ośmiokątny, sufit podierały kolumny z czerwonego marmuru z ciemniejszymi pasmami, podłoga również była marmurowa. Ściany wyłożono panelami z rzeźbionego dębu – z mnóstwem winogronowych kiści, dzikich róż i ludzkich twarzy. Były to wyłącznie twarze mężczyzn, najwyraźniej Włochów – o haczykowatych nosach i wyniosłych minach. Nawet drzwi windy ozdabiały płaskorzeźby przedstawiające drzewa, krzewy jeżyn i oddalone zamki.

Z boku holu stała wykonana z jasnożółtego materiału rzeźba nagiego mężczyzny niemal naturalnej wielkości – jedną rękę unosił przed oczami, jakby chciał je osłonić przed oślepiającym słońcem, a w drugiej trzymał sześciennie pudełko o boku mniej więcej dziesięciu centymetrów.

– Ciekawa rzeźba – powiedział Jim. – Co to ma być? Dawid Michała Anioła, głęboko rozczarowany prezentem otrzymanym z okazji bar micwy?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że matka zawsze odwracała się do tego plecami, kiedy czekała na windę. Sądzę, że była zażenowana rozmiarami jego węża.

– Cóż, rzeczywiście jest dość pokaźny. Z boku jest jakiś napis... ŚWIATŁO CHWYTA DUSZĘ. Co to znaczy?

Nie pytaj – odparł Vinnie. – Zapytałem kiedyś o to o stryja Giovanniego i odpowiedział:

„Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz znać odpowiedzi”.

– Skąd miałeś wiedzieć, że nie chcesz znać odpowiedzi, skoro jej nie znałeś?

– To samo mu powiedziałem. Zbył mnie krótko: „Zamknij się gówniarzu, i jedz makaron”.

Nadjechała winda, zatrzymując się z takim hukiem, że aż odskoczyli, po czym jej drzwi otworzyły się z klekotem. W kabinie mogły się zmieścić trzy, najwyżej cztery osoby, ale ponieważ wszystkie ściany były wyłożone lustrami, wydawała się wypełniona dziesiątkami Vinnich i Jimów.

– To na trzecim piętrze – powiedział Vinnie. Wcisnął klawisz, nic jednak się nie wydarzyło.

– Ten budynek jest może stary, ale ma charakter – mruknął i ponownie wcisnął guzik.

Po chwili drzwi się zamknęły i ruszyli w górę. Jim mógłby się założyć, że słyszy, jak jeden po drugim pękają kolejne druciki liny nośnej.

Wysiedli i poszli korytarzem, który zdawał się ciągnąć kilometrami. Dywan, kiedyś kasztanowy, mocno wyblakł i składał się głównie z dziur i pagórków. Kiedy doszli do mieszkania stryja Giovanniego, Vinnie długo manipulował przy zamku, w końcu jednak udało mu się otworzyć masywne dębowe drzwi. Weszli do mrocznego przedpokoju, w którym unosił się przenikliwy zapach używanych butów. Vinnie namacał kontakt i zawołał:

– *Presto!*

Po prawej stronie przedpokoju stał wielki mahoniowy wieszak, obwieszony kilkudziesięcioma kapeluszami – fedorami, homburgami, panamami i melonikami. Wisiało tam też kilka płaszczy i szale na wszelkie możliwe okazje – od jazdy na motocyklu po wizyty w operze – a w pojemniku stał gąszcz lasek i parasoli.

Z lewej strony holu piętrzył się stos obuwia – sandałów, dwukolorowych oksfordzkich pantofli, wieczorowych półbutów, mokasynów z frędzlami i domowych kapci. Wyglądało na to, że stryj Giovanni od chwili przybycia do Kalifornii nie wyrzucił ani jednej pary butów, które kiedykolwiek miał na nogach.

– Przepraszam za ten smrodek – powiedział Vinnie. – Mama nazywała stryja „gorgonzolową stopką”.

Kiedy szli do salonu, Jim musiał przyznać, że Vinnie nie przesadził, jeśli chodzi o rozmiary mieszkania. Było ogromne, godne arystokraty, ale ponure, duszne i pełne kurzu. Na ścianach salonu trzymały się jeszcze tapety z 1935 roku – wyblakła zieleń z falującymi brązowymi wzorami – choć wisiało tu tyle obrazów, że ledwo je było spod nich widać. Niemal sześciometrowej wysokości okna zdobiły butwiejące zasłony z aksamitu kołom mchu.

Dominującym elementem pokoju był wielki marmurowy kominek, z którego wysypywały się niedopalone resztki listów i dokumentów. Wokół kominka ustawiono nadającą się w sam raz do garażowej wyprzedaży zbieraninę mebli: zapadające się kanapy, obite wypłowiałym złotym brokatem, pomalowane na turkusowo krzesła Lloyd Loom z lat 30., antyczne hiszpańskie stoliczki i nabijane ćwiekami skórzane stołki. W kącie stał wyglądający jak tron fotel z wysokim oparciem, flankowany przez dwie wysokie kręcone kolumnienki do stawiania statuetek lub kwiatów.

Nad kominkiem wisiał duży, utrzymany w ciemnej tonacji obraz, przedstawiający człowieka w wieczorowym garniturze. Mężczyzna stał przed lustrem, ale na głowie miał udrapowaną czarną tkaninę. Obrazowi przydałoby się oczyszczenie, bo pokrywała go warstewka żółtawego tłustego brudu, nadającego mu jeszcze bardziej ponury wygląd. Kojarzył się Jimowi z twórczością surrealisty Rene Magritte’a, który malował ludzi, spoglądających w lustro, ale widzących w nim tył własnej głowy.

– To dość upiorne malowidło...

Owszem. Kiedy byłem dzieciakiem, zawsze na jego dostawałem sraczki. Nie mam pojęcia, dlaczego ten ma szmatę na głowie. Był tak skromny, że nie chciał, aby ktokolwiek na niego patrzył? Jeśli tak, to po co kazał się malować? Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak wygląda

twarz pod materiałem, więc przystawiałem nos do płótna i próbowałem tam zajrzeć.

– Pytałeś stryja?

– Oczywiście.

– I powiedział ci: „Jedź makaron”?

– Nie, tym razem nie – odparł Vinnie i zaczął mówić z topornym neapolitańskim akcentem: –

„Uważaj na tego goszcza, dżeczaku. Jak zobaczysz tego goszcza, nie rozmawiaj z nim, nie pacz na niego i nie zatrzymuj sze nawet na szekundę. Biegnij do mnie tak szybko, aż zapalą ci sze buty”.

– Nie powiedział ci, kto to jest?

– Nie. Zawsze jednak miałem wrażenie, że traktuje ten obraz tak, jak inni ludzie listy gończe.

Siadał w fotelu, palił cygaro i bez słowa wpatrywał się w to malowidło.

Jim podszedł do kominka i przyjrzał się prawemu dolnemu rogowi obrazu. Było tam napisane: SEBASTIAN DELLA CROCE, 1853.

– No cóż, kimkolwiek ten mężczyzna był, raczej na pewno przeniósł się już do wyższych sfer.

Vinnie tak ustawił lewą dłoń przy twarzy, aby nie widzieć obrazu.

– Nienawidzę tego malowidła. Powiniennem je pociąć, spalić – albo wyrzucić do najbliższego śmietnika. Miałem przez nie koszmary nocne. Leżałem w łóżku i wyobrażałem sobie, że zaraz otworzą się drzwi, a ten gość z czarną szmatą na głowie będzie stał w korytarzu. Wiedziałem, że tak bym się bał, że nawet nie byłbym w stanie krzyczeć. Leżałbym bez ruchu i patrzył. A on by wszedł do mojego pokoju, jego nogi z każdym krokiem robiłyby się dłuższe i dłuższe, jak teleskopy po czym pochyliłyby się nade mną i wiedziałbym, że zaraz mnie zabije.

Jim cofnął się dwa kroki. Obraz był przerażający, ale tak dobrze namalowany, że niemal widać było ruch czarnego materiału, unoszącego się i opadającego w rytm oddechu mężczyzny.

– Nie powinieneś go niszczyć, Vinnie. To cenna rzecz. Spróbuję dowiedzieć się czegoś na jego temat. Mam znajomą w domu aukcyjnym, na pewno będzie mogła wycenić obraz i prawdopodobnie zgodzi się go sprzedać, jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko zapłaceniu jej prowizji.

Vinnie popatrzył na niego.

– Proszę bardzo, ale jeżeli okaże się, że nie ma żadnej wartości, spal go...

Jim rozejrzał się. Na ścianach wisiało pełno obrazów, lecz mężczyzna nad kominkiem był jedynym prawdziwym obrazem, pozostałe były fotografiami. Głównie czarno-białe, kilka ręcznie kolorowanych, mocno wyblakłych. Wszystkie oprawiono w heban albo matowane srebro. Były to bardzo dziwne fotografie. Niepokojące. Jedna ukazywała rozpadającą się szopę i stojących przed nią farmerów ze zmarszczonymi czołami. Na drugiej trzech rowerzystów jechało pustą drogą – jeden miał na sobie źle dopasowany kombinezon, zrobiony najwyraźniej z papieru pakowego. Inne zdjęcie przedstawiało pulchną młodą kobietę, ubraną jedynie w koronkowy gorset, z którego wylewały się piersi – stała w oknie, za którym było widać wieżę Eiffla ze spowitym mgłą szczytem. Na jeszcze innym zezowały bosy chłopak siedział w rowie obok martwego, na wpół zgniłego psa, w którego brzuchu kłębiły się robaki.

– Twój stryj miał dość niezwykły gust.

– Wiem, ale chyba każde z tych zdjęć było dla niego ważne.

Jim przeciął salon i podszedł do oprawnych w metal podwójnych drzwi, wychodzących na wąski balkon. Wyglądały, jakby nie otwierano ich od lat, a sam balkon pokrywała warstwa zwiędłych liści eukaliptusa. Stał na nim jedynie stół z kutego żelaza i drewniane krzesło.

Z balkonu widać było wewnętrzne podwórze z wyschniętą studnią i pięcioma albo sześcioma staromodnymi rowerami. Jimowi przypomniały się włoskie filmy z lat 60., *Złodzieje rowerów* i *Osiem i pół*.

– To miejsce tkwi w błęku czasu.

– W pewnym sensie tak – przyznał Vinnie. – W dalszym ciągu należy do Spółki

Powierniczej Benandantich... ludzi, którzy zbudowali ten dom. Mieszkają we włoskim Piemencie, więc nie bardzo się wszystkim przejmują... no, może poza pobieraniem czynszu. Jest tu dozorca, który odetka ci toaletę, jeżeli mu zapłacisz, a dwa razy w tygodniu przychodzi sprzątaczką, by na nowo wzbudzić kurz, który zdążył osiąść od ostatniego razu, kiedy go wzbijała. Zaprowadził Jima do jadalni, gdzie stał stół z dwunastoma różnymi krzesłami i potężna dębowa komoda. Na stole piętrzyły się książki – zarówno stare, oprawne w skórę, jak i nowe, tanie wydania kieszonkowe z pozaginаныmi rogami stron. Na dwóch poobijanych skrzynkach był napis: PŁYTY DAGEROTYPOWE. W powietrzu unosił się kwaśny odorek – jak w antykwariacie, Jim czuł tu jednak jeszcze inny zapach, chemiczny, który z czymś mu się kojarzył, choć nie umiał określić z czym.

Wziął jedną z książek i zdjął okulary, aby przeczytać tytuł. *Wymarłe plemiona południowej Kalifornii*, autorzy Charles Oppenheimer i Leonard Flagg. Przekartkował do środka, gdzie były zdjęcia. Plemię Serrano – 1851, plemię Luiseno – 1854, Daguenuowie – data nieznana. Wszyscy Indianie byli ubrani w swoje najlepsze stroje, a Luiseno z dumą prezentowali ręcznie plecione koszyki. Większość z nich uśmiechała się do aparatu, niektórzy jednak wyglądali na przestraszonych i skonsternowanych, a kilku unosiło ręce, zasłaniając twarz.

Jim opuścił książkę, marszcząc ze zdziwieniem czoło. Nie mógł przestać myśleć o nagiej rzeźbie w holu na dole – z tak samo obronnie uniesioną przed twarzą dłonią. ŚWIATŁO CHWYTA DUSZĘ.

– Chcesz zobaczyć łazienkę? – spytał Vinnie. – Jest całkiem inna.

– Mam nadzieję – odparł Jim i odłożył książkę na siół.

Była ogromna i wyglądała jak wyłożona zielonymi kafelkami katedra, a pod sufitem biegł

fryz z delfinów. Okna miały zielone szyby, więc obaj wyglądali jak kilkutygodniowe trupy.

– Co sądzisz o prysznicu? – spytał Vinnie. – Moja matka nazywała go Żelazną Dziewicą.

Bez trudu można się było domyślić dlaczego. Kabina prysznicowa, choć wykonana z chromowanej stali i matowego szkła, wyglądała jak średniowieczna sala tortur. Było tu mnóstwo pokręteł, z których trzy miały napisy: MONSUN, ODSWIEŻENIE i ARKTYKA.

Wanna miała nóżki w kształcie niedźwiedziich łap, a emalią pokrywały rdzawe plamy – jakby z kranów kapała krew. Była tak wielka, że mogło się w niej kąpać pięć osób.

Toaleta stała na podwyższeniu, na które wchodziło się po trzech stopniach, a wodę spuszczało się kunsztownie rzeźbioną rączką, która przypominała Jimowi gałkę dźwigni zmiany biegów w packardzie dziadka z 1948 roku.

Tak samo jak wszędzie w łazience panowała cisza – przerywana jedynie kapaniem wody z nieszczelnego kranu.

– Można by tu śpiewać arie operowe – stwierdził Vinnie. Zbiornik na wodę zabulgotał, jakby wyrażał zgodę. – „Nessun donna! Nessun dorma-a-aa!”.

– Jesteś pewien, że mogę tu mieszkać za siedemset pięćdziesiąt dolarów?

– Oczywiście. Sam widzisz, ile trzeba tu napraw. Spróbuj posiedzieć tu przez pół roku i jeżeli ci się nie spodoba, uznamy, że nie ma o czym mówić.

Jim wyciągnął rękę.

– W porządku... Będę się tu czuł jak Miss Faversham* [*W Faversham w hrabstwie Kent co roku odbywa się karnawał, którego ukoronowaniem jest wybór królowej karnawału.]. Albo jak Dracula. Kiedy mogę się wprowadzić?

Vinnie uniósł w górę klucze, bujające się na breloczku w kształcie maski kłowna.

– Może dziś? Nie ma lepszego czasu od teraźniejszości.

– Jim pojechał do Sherman Oaks po kotkę – Tibbles Dwa. Wrócił z Waszyngtonu w sobotę

po południu i od tamtej pory mieszkał w Grand Studio Hotel przy Hollywood Boulevard, wcale nie tak wspaniałym, jak sugerowała nazwa, i nie mającym nic wspólnego ze studiem filmowym – w dodatku nie pozwalano tam trzymać zwierząt. Mógł zatrzymać się u przyjaciół, być może nawet u Karen, potrzebował jednak czasu na zastanowienie się nad swoim potrzaskanym życiem, uznał więc, że na razie powinien mieszkać sam.

Zaparkował przed schludnym podmiejskim domem należącym do jego przyjaciela, Dennisa Washinsky'ego. Kolegowali się od szkoły średniej. Kiedy zaczęli chodzić do college'u, obaj byli przekonani, że zostaną najlepszymi scenarzystami filmowymi XX wieku. Uważaj, Williamie Goldmanie! Drzyj, Joe Ezsterhas! Gwoli uczciwości należy wspomnieć, że Dennis napisał scenariusze do trzech odcinków *Star Trek: Voyager* i do telewizyjnego dreszczowca *X Marks The Spot*, teraz jednak prowadził przez Internet kurs scenopisarstwa dla gospodyń domowych, których szansa na sprzedanie scenariusza jakiemuś studiu filmowemu była jedynie odrobinę większa od szansy trafienia przez meteoryt. Dla Jima ich wspólne wielkie plany zakończyły się belfrowaniem w Drugiej Klasie Specjalnej, a XX wiek należał już do przeszłości.

Kiedy zadzwonił do drzwi, niemal natychmiast się otworzyły, jakby żona Dennisa stała tuż za nimi i czekała na niego. Była blada, miała nijaką twarz i ciągle się czymś martwiła. Miała zwyczaj nagłego zatrzymywania się w pół kroku i odwracania – jak Olivia Oyl* [*Bohaterka kreskówki z Popey'em] – bo zdawało jej się, że zostawiła klucz w drzwiach, zapomniała włożyć lody do zamrażarki albo zgasić gaz pod garnuszkiem z mlekiem czy sosem.

– Jim! Miło cię widzieć! Wchodź! Właśnie zabieram się do przygotowywania kolacji. Lubisz pieczeń mieloną, prawda?

– Nie będę mógł zostać. Przykro mi, ale przyszedłem tylko po Tibbles.

– Nie napijesz się nawet piwa? – Zatrzymała się w pół mchu, gwałtownie odwróciła

i popatrzyła za siebie. – Chyba nie włożyłam piwa do lodówki! A może włożyłam? Włożyłam?

Otworzyła lodówkę i okazało się, że na dolnej półce stoi dwanaście puszek piwa.

– Jest! Od razu pomyślałam, że musiałam je tu schować! Przyszedłeś po Tibbles? Znalazłeś sobie jakieś lokum?

– Znalazłem. Miałem niesamowite szczęście. Jeden z kolegów ze szkoły ma puste mieszkanie przy Sattilo Street.

– To w Venice, prawda? W Venice? Lubisz Venice? Będziesz je z kimś dzielił?

– Tylko z duchem poprzedniego właściciela. Powinnaś zobaczyć to mieszkanie. Wygląda jak scenografia z *Nawiedzonego domu*.

Jim ujrzał stojącą na podłodze pralni miskę Tibbles – była wylizana do czysta, więc kotka musiała być dobrze karmiona.

– Tibbles nie sprawiała kłopotów?

– Nie nazwałabym tego „kłopotami”, ale jest bardzo... ekscentrycznym kotem, prawda? Jak na kota oczywiście. Jak na kota.

– Ma swoje idiosynkrazje...

Mary zamruła, jakby nie rozumiała znaczenia słowa „idiosynkrazja”.

– Jest kapryśna – dodał Jim.

– Kapryśna! Właśnie! Dokładnie o to mi chodziło! Wiesz, poszukam jej. Chodź do ogrodu.

Dennis ma o szóstej chat ze swoimi scenarzystami, więc się do niego przygotowuje.

Poprowadziła Jima przez dom i wyszli do małego ogródka, otoczonego pomalowanym na czerwono płotem, wzdłuż którego ciągnął się pojedynczy szereg słoneczników. Resztę podwórka pokrywała tak modna w latach 60. jasnozielona dichondra. Wyglądało to nie jak prawdziwe podwórko, a wykonany przez dziecko rysunek. Dennis siedział na tarasie –

najwyraźniej spał – ze splecionymi na brzuchu dłońmi. Miał na sobie koszulę w czerwone i żółte pasy, a jego twarz przykrywał miękki płócienny kapelusz, wyglądający jak zwiędła kapusta.

– Dennis! – krzyknęła Mary. – Zobacz, kto przyszedł! – Zatrzymała się w pół ruchu i gwałtownie odwróciła. – Włączyłam pralkę? Dennis musi mieć na jutro czystą koszulę! – zawołała i pospieszyła z powrotem do wnętrza mieszkania.

Dennis zdjął z twarzy kapelusz i usiadł.

– Jim! Co słyhać? – Był tak gruby, że jego ciało wyglądało, jakby zaraz miało się wylać z ubrania, miał poczerwieniałe od słońca policzki, nochal jak Jimmy Durante* [*Jimmy Durante (1893-1980) – znany muzyk jazzowy i aktor.] i krzaczaste brwi. Ale jego oczy były tak błękitne, że Jimowi zawsze wydawało się, iż w jego przyjacielu kryje się małe, złośliwe dziecko.

– Przychodzą uwolnić was od Tibbles – powiedział.

– Kiedy tylko chcesz. Ten kot sprawia, że dostaję dreszczy. Jim usiadł i upił łyk zimnego piwa.

– Chyba nie była niegrzeczna... Narozrabiała?

– Nie, trzeba przyznać, że to bardzo czysty kot, ale dość dziwny, chyba zgodzisz się ze mną?

– Co się stało?

– Nie uwierzysz... Kiedy w niedzielę wieczorem siedzieliśmy w salonie przed telewizorem, weszła, pociągnęła nosem, po czym wskoczyła na stolik, na którym trzymamy rodzinne fotografie...

– Mam nadzieję, że niczego nie zniszczyła? Nie wolno jej skakać na meble.

Dennis przytrzymał się za brzuch i beknął.

– Przepraszam. Za dużo piwa, ale nie przetrzymam tego czatu, jeżeli sobie nie podpiszę – oświadczył, po czym zaczął mówić monotonnym głosem lekko pokręconego nudziarza: – „Drogi panie Washinsky, napisałam scenariusz do wspaniałego filmu przygodowego pod tytułem *Martwy od szyi w górę...* specjalnie dla Bruce’a Willisa. Proszę podać mi adres pana Willisa, abym mogła mu dostarczyć manuskrypt. Jestem pewna, że kiedy go przeczyta, będzie nalegał,

żeby mu dano rolę w tym filmie”.

Jim uśmiechnął się.

– Daj spokój, Dennis. Musisz pozwolić ludziom mieć marzenia. Wiedzą tak samo dobrze jak ty, że nigdy się nie spełnią.

– Zawsze byłeś miękki. Powinieneś zobaczyć niektóre z prac, jakie przysyłają mi moje uczennice... wraz z absurdalnymi wskazówkami dotyczącymi ustawienia kamery i obsady liczącej tysiące aktorów. „Scena pierwsza: plener, filmowane z wysoka, z powietrza, bitwa pod Gettysburgiem, dzień”.

Jim roześmiał się.

– Lepiej opowiedz o Tibbles.

– No więc Tibbles wskoczyła na stolik i zaczyna obwąchiwać zdjęcia. Po chwili nagle przewraca jedno z nich... to na którym jest moja przyrodnia siostra Isabelle.

– Trzeba było ją trzepnąć. Ten język rozumie.

– No tak... W każdym razie Mary ją zgoniła i postawiła zdjęcie, ale Tibbles natychmiast znów wskoczyła na stół i znów je przewróciła. Mary wzięła zdjęcie i przeniosła je na kominek.

Tibbles nie próbowała więcej skakać na stolik, ale kiedy poszliśmy do kuchni, nagle usłyszeliśmy łoskot. Tibbles wskoczyła na obramowanie kominka i zrzuciła zdjęcie na palenisko.

– Bardzo cię przepraszam. Rzeczywiście czasem bywa dziwna. Chyba pochodzi z długiej linii kotów należących do czarownic.

– Nie żartuj. Pół godziny później zadzwonił mąż Isabelle, aby nam powiedzieć, że spadła ze schodów i złamała sobie szyjkę kości udowej.

– Zwyczajny zbieg okoliczności.

– Mów, co chcesz, ale ja nie uważam tego za zbieg okoliczności. Tibbles trzy razy przewróciła to zdjęcie, a Isabelle spadła właśnie z trzech stopni.

Pojawiła się Mary – ze zwisającą jej z ramienia kotką.

– Znalazłam ją pod łóżkiem. Razem z siedmioma martwymi pajakami.

– Hm... – mruknął Jim. – Uwielbia polować na pająki. Jakby je zbierała.

Dennis pokręcił głową.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

Rozdział 5

Kiedy Jim postawił Tibbles na progu, zaczęła podejrzliwie obwąchiwać nowe mieszkanie.

Obwąchała stertę butów w holu wejściowym i gwałtownie kichnęła, a kiedy weszła do salonu, zatrzymała się, rozejrzała i powoli uniosła ogon, jakby poczuła coś, co wcale jej się nie spodobało.

Jim poszedł do kuchni z torbą zakupów na rękę, po chwili jednak wrócił, aby zobaczyć, o co kotce chodzi.

– No i co, TD, jak ci się tu podoba? Przyznaję, że mieszkanie jest nieco zaniedbane, a meble mocno zużyte, ale ma atmosferę, nie?

Tibbles przemaszerowała po leżącym przed kominkiem dywaniku i popatrzyła na obraz człowieka z czarnym materiałem na głowie. Postawiła uszy i przez długą chwilę wpatrywała się w malowidło.

– Tym się nie martw. Może Julie Fox uda się go sprzedać. Tibbles odwróciła się i popatrzyła pytająco na Jima, po czym zamiauczała głośno.

– No dobrze, jeżeli ci się podoba, możemy go zostawić, ale Vinnie twierdzi, że z powodu tego obrazu dręczyły go koszmary, i prawdopodobnie tak samo będzie ze mną... zwłaszcza po sześciu piwach i pizzy *quattro staggione* z dodatkową papryką *jalapeno*.

Tibbles znów miauknęła, choć tym razem zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć, iż nie interesuje jej, co Jimowi się podobać po sześciu piwach i pizzy *quattro staggione* z dodatkową

papryką *jalapeno*. Wskoczyła na obitą brokatem, zapadającą się kanapę i zaczęła nieufnie obwąchiwać poduszki.

– Nie ma problemu – mruknął Jim. – Kanapa może być twoja. – Podeszedł do przypominającego tron fotela w przeciwległym kącie. – A to będzie moje.

Spróbował podnieść masywny mebel, ale ponieważ był wykonany z ciężkiego hiszpańskiego dębu, nie dał rady go dźwignąć – nawet milimetr nad podłogę. Skończyło się pchaniem, ciągnięciem i obracaniem fotela to wokół jednej, to wokół drugiej nogi. Kiedy wreszcie Jimowi udało się postawić go obok kominka, klepnął leżącą na siedzisku poduszkę, wznosząc chmurę kurzu. Purpurowe obicie było wyblakłe i wytarte, ale całość w dalszym ciągu robiła imponujące wrażenie. Jim usiadł.

– Proszę bardzo... król Jim i królowa Tibbles w swoim pałacu. Wprawdzie bez poddanych, a także bez minstreli i tancerek, ale w końcu czego można oczekiwać za siedemset pięćdziesiąt dolców na miesiąc?

Tibbles nie zabawiła długo na swojej kanapie. Zeskoczyła, zamierzając zająć się badaniem reszty salonu.

– Jesteś głodna? – spytał Jim, ale nie zareagowała. – Kupiłem *anchois*. Mmiii... *anchois*... nic? A miseczka mleka?

Ponieważ kotka nie zareagowała na tę propozycję, Jim poszedł do kuchni, wyciągnął z torby puszkę piwa i rozerwał wielkie opakowanie słonych precelków.

– Piwo i precelki... jedzenie prawdziwych mężczyzn na całym świecie! – Wyjął miskę

Tibbles i postawił ją na podłodze, tuż obok staroświeckiej lodówki. – Na pewno nie jesteś

głodna? Kupiłem twój ulubiony makaron! Simpsonów!*

[*W Stanach Zjednoczonych bardzo popularne są, zwłaszcza wśród dzieci, robione z ciasta makaronowego „kształtki”, uformowane w litery oraz postacie z filmów rysunkowych.]

Otworzył lodówkę – choć pachniało w niej lekko kwaskowato, jakby zsiadłym mlekiem, a lampka migiała, jakby chciała przed czymś ostrzec, była czysta. Jim wziął tacę na warzywa, na wszelki wypadek powąchał ją, po czym ułożył na niej zieloną paprykę, pomidory i ogórki. Postanowił, że teraz, w Los Angeles, będzie jadł zdrowiej. W Waszyngtonie ciągle był zbyt zagoniony i przepracowany, aby sobie gotować, żywił się więc głównie cheeseburgerami i pieczonymi kurczakami. Ponieważ był nieustannie zmęczony, nie spowodowało to przyrostu wagi, ale często wywoływało nudności, jak po zejściu z karuzeli.

Właśnie wstawiał do lodówki jogurty, gdy usłyszał przeraźliwy wrzask. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że to krzyk człowieka. Wypuścił z ręki kubek jogurtu, który rozprysnął mu się na stopie.

– Tibbles! – krzyknął. – Tibbles, nic się nie stało?! Tibb...less!!!

Pobiegł do salonu. To, co ujrzał, sprawiło, że stanął jak wryty. Tibbles stała na szczycie jednej z kolumn do stawiania kwiatów. Kolumna miała ponad półtora metra wysokości i Jim nawet nie zamierzał się zastanawiać, jak kotce udało się jej nie przewrócić. Tibbles miała zmrużone ślepia i szczyrzyła zęby. Tuż nad jej łebkiem powoli prostowała się spirala brązowego dymu, a wokół unosił się smród palonej kociej sierści.

Całe futro Tibbles było nadpalone i zrobiło się czarne. Kotka nie tylko dymiła, ale wokół jej karku i przy nasadzie ogona skakały iskierki.

– TD, co się stało? Boże drogi... palisz się! – zawołał Jim.

Obszedł kanapą i wyciągnął do kotki rękę.

– Chodź, mała! No, Tibs!

Ale kotka, zamiast skoczyć, sycząc plunęła na Jima i machnęła groźnie lewą łapą, aby go odgonić.

– Daj spokój, TD... musimy cię wsadzić do zimnej wody, szybko. Chodź, mała...

Podszedł bliżej, kotka jednak nadal patrzyła na niego rozszerzonymi ślepiami i groźnie syczała. Próbował ją uspokoić.

– Nie denerwuj się, mała, wszystko będzie dobrze... co robiłaś, bawiłaś się zapalkami?

Pamiętasz, co się stało z kiedy Harriet, zaczęła bawić się zapalkami?

Był już na tyle blisko, że mógł ją złapać, czekał jednak, aż kotka się uspokoi.

– Miau, miau...Bo usłyszysz burę: mama ruszać zabroniła, bo się spalisz, Kasiu miła!''* [*Z

bajki Heiricha Hoffmanna *Okropna historia z zapalkami (Złota różdżka*, Warszawa 1987. wg

wydania L. Idzikowskiego z 1933 roku. tłumacz nie podany).]. No, TD... chcę ci tylko pomóc.

Kotka nawet nie drgnęła. Po kolejnej minucie Jim znów do niej przemówił:

– W porządku, chcesz tak stać i dymić się? Niech ci będzie. – Udał, że się odwraca, ale w pół ruchu zmienił kierunek i spróbował złapać Tibbles za kark. Kotka syknęła, uniosła przednie łapy i rzuciła się na jego dłoń z pazurami. Stojak poleciał na bok, a Tibbles spadła na podłogę, po drodze zdążyła jednak wbić pazury w grzbiet dłoni Jima. Poczł, że z ręki spływa mu krew i kapie na dywan.

Zaczął ssać ranę.

– Rany, Tibbles, to bolało! Co w ciebie wstąpiło?!

Kotka schowała się pod kanapą. Jim ukląkł i zajrzał pod nią. Tibbles przyglądała mu się z mroku. Wargę miała zaczepioną o ząb, co wyglądało, jakby się groźnie szczyrzyła.

– Tibbles, nie ma sensu się chować. Muszę się tobą zająć.

Czekał i czekał, kotka jednak wcale nie zamierzała wychodzić. Po kilku minutach wstał i rozejrzał się po pokoju. Nie rozumiał, co mogło tak mocno przypalić kota. Nigdzie nie było świec ani nagich przewodów elektrycznych. Ruszt kominka co prawda pokrywał popiół ze spalonego papieru, ale już dawno temu wystygł. Nawet słoneczne światło, przebijające się przez brudne okna, było słabe jak rozwodniona herbata.

Jim ponownie się pochylił, Tibbles jednak cofnęła się jeszcze dalej, do miejsca, w którym sprężyny przebijały futę. Może najlepiej zostawić ją samą, pomyślał. Wyglądało na to, że ogień spalił jedynie wierzchnią warstwę futra kotki. Pewnie potrzebowała tylko trochę czasu, by otrząsnąć się z szoku.

Jeszcze chwilę poczekał, po czym wstał i wrócił do kuchni po piwo. Kiedy ujrzał swoje odbicie w szklanym froncie którejś z szafek, doszedł do wniosku, że wygląda jak z fotografii w salonie. Mogłaby mieć podpis: „Zdziwiony mężczyzna w kuchni z lat trzydziestych”. No cóż, jestem przecież zdziwiony... – pomyślał. W końcu koty nie zapalają się samoistnie, prawda? Jeżeli pogłaszcze się kota dość energicznie pod włos, w jego futrze może się wytworzyć elektryczność statyczna, słysząc trzaski i czasem nawet pokazują się iskry, ale czy to wystarczy, aby powstał ogień? Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne.

Nagle przypomnieli mu się Bobby Tubbs i Sara Miller. To przecież też samoistne zapalenie.

A przynajmniej coś, co wyglądało na samoistne zapalenie. Nie można co prawda porównywać tego, co się stało kotu, i całkowitego spalenia się dwojga młodych ludzi, ale był to dość dziwny zbieg okoliczności. Dwa niewyjaśnione zapalenia w ciągu dwóch dni...

Wrócił do salonu. Ku jego zaskoczeniu Tibbles wyszła spod kanapy i siedziała na środku leżącego przed kominkiem dywanika. Nie dymiło się już z niej, lecz miała zwęglone futro, a w niektórych miejscach było spalone prawie do samej skóry, drżała, jakby było jej zimno.

– Hej... TD... jak się czujesz, mała? – zapytał, ale kotka zdawała się go nie słuchać, nawet na niego nie spojrzała. Wbijała ślepia w malowidło nad kominkiem, a kiedy Jim podszedł bliżej, usłyszał jej chrapliwy, zduszony oddech.

Popatrzył na obraz. Mężczyzna tak jak przedtem stał przed lustrem, z czarnym materiałem na głowie. Jim nie spodziewał się ujrzeć niczego innego.

– Posłuchaj, Tibbles. To tylko obraz. Płótno i farba olejna, nic więcej. Powiem ci, co zrobię:

zdejmę go i postawię na korytarzu, a jutro rano zapakuję do samochodu i zawiozę do domu aukcyjnego na wycenę. Potem go sprzedam i obraz zniknie. Niech kto inny się nim martwi.

Tibbles w dalszym ciągu się nie poruszała, nie dawała żadnego znaku, że wie o jego obecności. Jim nie próbował jej dotykać. Czasem miewała dziwne nastroje, zwłaszcza kiedy oddawał ją na przechowanie do Paws-a-While Cattery w Anaheim, i wiedział, że gdy jest obrażona albo wściekła, należy trzymać się od niej z daleka. Kiedy zaczął się spotykać z Karen i zostawił Tibbles w domu samą na dwa dni, po powrocie skoczyła na niego i paskudnie podrapała mu policzek. Wszyscy koledzy z West Grove sądzili, że to robota Karen, i Jim przez wiele dni musiał znosić aluzje, złośliwostki i docinki w rodzaju: „Za bardzo się rozpędziłeś, co?”. Postępując, przeciągnął wielki fotel przez dywanik i przysunął go tak blisko kominka, jak tylko się dało. Wspiął się na siedzisko, czując jak jego buty zapadają się głęboko w wytartą tapicerkę.

– Patrz, zdejmuję obraz, widzisz?

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Obraz był okropnie ciężki i Jim przez trzy albo cztery minuty bezskutecznie próbował zdjąć go z haka.

– Puszczaj, draniu... – postękiwał, ale drut wciąż się plątał i w końcu Jim musiał pójść do jadalni po krzesło – wyższe, z twardszym siedziskiem. Tibbles przez cały czas obserwowała go półprzymkniętymi ślepiami.

W końcu, zaciskając z wysiłku zęby i napinając mięśnie ramion, zdjął obraz ze ściany i opuścił go na podłogę.

– Gotowe... – wysapał i oparł się o bok kominka, aby odzyskać oddech. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że pod obrazem została wielka płaszczyzna niewypłowiałej tapety. Jej wzór był zaskakująco jaskrawy i świeży, jakby niedawno ją położono.

Tył obrazu był tak brudny, że niemal nabrał struktury wełny, znajdowała się też na nim

wyblakła naklejka, z ręcznym napisem: *Robert H. Vane, dagerotypista, 17 września 1853.*

W żałobie z powodu tragedii Daguenów.

Jim pochylał głowę, by lepiej móc przyjrzeć się obrazowi. Dagerotypista? Wiedział, że dagerotypami nazywano dawne płyty fotograficzne – z czasów przed wynalezieniem filmu celuloidowego. W połowie XIX wieku po Kalifornii krążyło kilku znanych dagerotypistów, robiących zdjęcia gór, dolin i Indian.

Ale kim był Robert H. Vane i co to za tragedia Daguénów? I dlaczego ten człowiek postanowił okazywać żalobę w tak dziwny sposób, zakładając na głowę kawał czarnego materiału?

W tym momencie usłyszał głos Tibbles – było to bardziej kasznięcie niż miauknięcie.

Ponieważ kotka wciąż drżała, poszedł do sypialni, otworzył wielką bieliźnianą szafę i znalazł koc. Był gruby, szorstki i pachniał maścią dla koni. Jim ukląkł na podłodze i starannie owinał nim kolbę. Tym razem to, co robił, zdawało się jej obojętne. Nie zaprotestowała nawet, kiedy ją podniósł. Delikatnie położył Tibbles na kanapie. Nie bardzo wiedział, co należy robić z kotem w szoku, ale podejrzewał, że trzeba zapewnić mu ciepło.

– Rozluźnij się, TD. Zanim się spostrzeżesz, futro ci odrośnie.

Kotka popatrzyła na niego podejrzliwie, jakby żadnemu z ludzi nie należało ufać.

Kiedy był już pewien, że Tibbles się uspokoiła, powrócił do oglądania obrazu. Nie mógł go podnieść, więc kawałek po kawałku przeciągnął malarskie monstrum po podłodze do holu wejściowego. Po drodze potknął się o stertę butów i kopnął ją z wściekłością. Pomyślał, że zaraz po pozbyciu się obrazu musi zrobić porządek ze śmierdzącą kolekcją stryja Vinniego.

Pocąc się i klnąc, otworzył drzwi mieszkania, wytoczył obraz na korytarz i oparł go o ścianę.

Ciężko oddychał i musiał rozmasować obity łokieć. Jeżeli ktoś ukradnie obraz, no cóż... tylko zrobi mu przysługę.

Właśnie zamierzał wrócić do mieszkania, kiedy otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza i pojawiła się w nich młoda kobieta – wysoka, z długimi, błyszczącymi czarnymi włosami opadającymi na ramiona. Ubrana była w wyszywany srebrnymi cekinami obcisły czarny sweter bez rękawów, czarne spodnie i czarne, wiązane paskami sandały na niezwykle wysokich obcasach. Jim pomyślał, że wygląda jak Lady Wampir.

– Czeee...śc... – powiedziała z dziwnym akcentem.

– Cześć – odparł Jim.

Kobieta zamknęła drzwi swojego mieszkania na dwa zamki, po czym popatrzyła na oparty o ścianę obraz.

– Nie może go pan tu zostawić.

– Jutro zabiorę go do domu aukcyjnego. Dopiero się wprowadziłem. – Jim wytarł dłonie o dzinsy i wyciągnął przed siebie. – Jestem Jim Rook.

Zignorowała jego dłonie.

– Miło pana poznać. Eleanor Shine. Mimo wszystko nie może pan tego tutaj zostawić.

Przepisy przeciwpożarowe zabraniają.

– Jutro rano obrazu już tu nie będzie.

– A jeżeli budynek dziś wieczorem się zapali? Wiem, że to nie nastąpi, ale nie możemy popierać anarchii. Nie można robić wszystkiego, na co ma się ochotę. Jeżeli na to pozwolimy, ludzie zaczną organizować prywatki z szampanem w windzie i trzymać w domu lwiątko.

– Naprawdę tak pani myśli?

– Wiem, że na pewno tak by było. Znam ludzi lepiej, niż oni sami siebie znają.

– No cóż... – mruknął Jim i popatrzył na obraz. Z każdą chwilą coraz bardziej uświadamiał sobie zapach perfum Eleanor. Był to zapach lilii, tak intensywny, że przyprawiał o zawrót głowy.

– Pomogłabym panu – powiedziała Eleanor – ale moje paznokcie...

– Oczywiście. Proszę się nie przejmować.

Odsunął obraz od ściany. Zajrzała z góry, aby zobaczyć, co przedstawia. Wpatrywała się przez długą chwilę w malowidło, jedną ręką odsuwając włosy z twarzy. Wreszcie spojrzała na Jima. Miała zmarszczone czoło.

– Cóż za dziwny obraz...

– Prawda? Nie należy do mnie, dostałem go razem z mieszkaniem. Na naklejce jest napisane,

że to był dagerotypista.

– Kto?

– Dagerotypista. Dagerotyp to nazwa dawnej płyty fotograficznej, stosowanej przed wynalezieniem filmu, a dagerotypista to... no cóż, ktoś, kto robił dagerotypy.

– Aha... A dlaczego ma na głowie czarny materiał?

– Podobno jest w żałobie – wyjaśnił Jim.

Kiedy odwracał obraz, Eleanor przesuwiała się tak, aby cały czas patrzeć na niego z przodu.

– Mój Boże... – westchnęła. – Niech pan chwilę zaczeka... może pan nim nie poruszać? To naprawdę niezwykle.

– Coś nie tak?

Wyciągnęła rękę, niemal dotykając powierzchni obrazu. Nie przesadziła, mówiąc, że musi uważać na paznokcie. Były niezwykle długie i pomalowane na srebrno.

– To nie tylko obraz – oświadczyła.

– Nie rozumiem.

– Ma moc... czuję ją. Jak ludzka dusza.

– Naprawdę? Nie bardzo rozumiem, co pani ma aa myśli.

– Nie czuje pan tego? Kimkolwiek był ten człowiek, w obrazie jest zawarta część jego osobowości. Nie mam na myśli podobizny... mówię o nim jako o fizycznej osobie.

Jim popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, o co pani chodzi.

Eleanor Shine podeszła jeszcze bliżej do płótna i powoli wciągnęła powietrze.

– On tu jest... czuję jego zapach. Albo się ukrywa, albo został uwięziony. Ale na pewno tu jest.

– Mój kot nienawidzi tego obrazu. Tak samo mój przyjaciel, do którego należy to

mieszkanie.

– Pana kot? Jaki kot? Nie wolno tu trzymać kotów, proszę pana. Dozwolone są tropikalne ryby, ale tylko pod warunkiem, że ma się ubezpieczenie od zalania z powodu rozbicia akwarium.

Ptaki też można mieć, w klatkach. Ale koty nie.

– Tibbles jest bardzo cicha. I bardzo czysta. Bardzo dobrze się zachowuje. To prawie człowiek.

– Nieważne... zasady są ściśle określone. Koty są *verboten*.

– No dobrze, więc co z tym obrazem? – spytał Jim, aby zmienić temat.

– Nie wiem. Jest bardzo dziwny. Chciał go pan sprzedać?

– Taki mam plan.

Eleanor Shine klasnęła. Na każdym palcu – z kciukami włącznie – miała pierścionki.

Wszystkie srebrne (a może platynowe lub z białego złota) i wszystkie wysadzane miniaturowymi kamieniami półszlachetnymi: granatami, szafirami i kamieniami księżycowymi.

– Moim zdaniem nie powinien pan go sprzedawać bez ostrzeżenia tego, kto go kupi.

– Ostrzeżenia? Przed czym?

– Jest oczywiste, że to coś więcej niż obraz. Nie wie pan, co ktoś mógłby chcieć z nim zrobić. Ani co ten obraz mógłby zrobić z nowym właścicielem.

Jim zajrzał do swojego mieszkania. Owinięta kocem Tibbles zdawała się spać. Po chwili popatrzył ponownie na Eleanor Shine. Nie wiedział, co powiedzieć. Gdy Tibbles się zapaliła, znajdowała się dokładnie przed obrazem, więc może rzeczywiście było w nim coś, czego nie dało się dostrzec gołym okiem. Jak jednak można zamknąć czyjąś osobowość w oleju, płótnie i brudnej złotej ranie? To nie miało sensu.

– Mogłaby pani dokładniej wyjaśnić, co pani ma na myśli?

– Nie teraz. Zawsze się spóźniam, a dziś jestem bardziej spóźniona niż zwykle.

– No cóż, może wobec tego zajrzy pani do mnie po powrocie?

– Dobrze – zgodziła się. – Ale do tego czasu... – skinęła głową w kierunku obrazu.

– Oczywiście, zabiorę go do środka i obiecuję nie sprzedawać. Zakryję go jednak, niezależnie od tego, czy jest w nim zaklęta czyjaś dusza, czy nie. Nie chcę go oglądać, to wszystko.

– Ja też bym go zakryła, ale dlatego, by nie patrzył na mnie...

Rozdział 6

Następnego poranka powietrze było żółte od smogu. Kiedy Jim wyjrzał przez oprawne w ołów szyby, poczuł się jak w środku dziewiętnastowiecznej fotografii. Poszedł do kuchni, drobił sobie kubek morderczo mocnej kawy, usiadł za stołem i zaczął się zastanawiać, jaki powinien być jego pierwszy krok na drodze do poskładania sobie życia. Spotkać się ze starymi przyjaciółmi na pizzy? („Naprawdę chcecie wiedzieć, co się stało w Waszyngtonie? W straszliwy sposób zginęło troje młodych ludzi. Zjesz jeszcze kawałek?”). Zacząć pisać pamiętnik? („Mój drogi pamiętniku, wczoraj zapalił się mój kot, ale poznałem bardzo seksowną kobietę z mieszkania naprzeciwko”). Zgłosić się do psychoanalityka? („Ta bardzo seksowna kobieta z mieszkania naprzeciwko uważa, że w tym obrazie tkwi żywy człowiek, i niestety chyba jej wierzę”). Upić się? („Karen, kochanie, jesteś jedyną kobietą, na jakiej kiedykolwiek naprawdę mi zależało”). Nic nie pić? („Oczywiście, Karen, nasz związek nigdy nie miał szans”). Przebiec piętnaście kilometrów? (POWIETRZA... POWIETRZA...).

Nie umiał pozbyć się wrażenia, że kawałek po kawałku podnosi swoje rozbite życie, obraca te kawałki w palcach i ponownie upuszcza – jak mechanik samochodowy, nie mający pojęcia, w jaki sposób ma poskładać samochód, który rozebrał.

Może najlepszym rozwiązaniem – jeśli nie jedynym – było całkowite skoncentrowanie się na uczniach Drugiej Specjalnej? Może to właśnie oni mu powiedzą, które kawałki jego życia są

warte akcji ratunkowej i wypolerowania, a które należy wyrzucić na śmietnik?

Dokończył kawę i wstawił kubek do zmywarki. Tibbles siedziała pod zlewem, pozerając śniadanie składające się z tuńczyka. W dalszym ciągu wyglądała jak sparszywiata i chodziła jak reumatyk, ale jeżeli apetyt jest wskaźnikiem dobrego samopoczucia, wyglądało na to, że otrząsnęła się już z szoku.

– Nie rozumiem, jak możesz jeść takie rzeczy o wpół do siódmej rano – mruknął Jim, marszcząc z niesmakiem nos. Tibbles spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć, że ludzie nie mają pojęcia, co jest naprawdę dobre, i znów zajęła się swoją miską. Brejowaty, zalatujący jęlczejącym olejem tuńczyk. Czyż może być coś smaczniejszego? – Posłuchaj, TD: idę do pracy. Zachowuj się. Nie hałasuj, bo nie masz prawa tu mieszkać. Jeżeli sądzisz, że zrezygnuję dla ciebie z tego mieszkania, to się grubo mylisz. – Podszedł do drzwi wejściowych. – A jeśli znów się zapalisz, dzwoń pod dziewięćset jedenaście. Albo wskocz pod prysznic i odkręć kurek z napisem ARKTYKA.

Obraz z Robertem H. Vane'em stał za stertą butów stryja Vinniego, zasłonięty szarym kocem w czerwone wzorki. Koc zsunął się nieco z jednej strony, więc Jim podciągnął go. Nie chciał oglądać nawet centymetra czarnych pogrzebowych spodni Roberta H. Vane'a.

Zamknął za sobą drzwi, po czym stanął bez ruchu w korytarzu i zaczął nasłuchiwać. Miał nadzieję, że może uda mu się natknąć na Eleanor Shine, ale z jej mieszkania nie dochodził żaden dźwięk. Choć wczoraj niemal pół godziny spędził na sprzątanii mieszkania, nie zapukała wieczorem. Kupił nawet kwiaty, chipsy ziemniaczane i butelkę chardonnay!

Kiedy zegar wybił północ i stało się jasne, że Eleanor nie zapuka, Jim uświadomił sobie (ku swemu wielkiemu zdziwieniu), że jest bardzo rozczarowany. Coś w tej kobiecie było. W jej twarzy. W przypominających czarną wodę włosach. I w jej niezwyklej uwadze, że Robert H. Vane ukrywa się we wnętrzu portretu albo jest w nim uwięziony – albo i jedno, i drugie.

Eleanor Shine była bardzo ekscentryczną i oryginalną osobą, a Jim od dawna, bardzo dawna nikogo takiego nie spotkał.

Oczywiście poza Pinky Perdido, dziewczyną o piegopatym nosku, sterczących jak igiełki rzęsach i cienkim, piskliwym głose, przypominającym dźwięki wydawane przez gumowe pieski zabawki. Kiedy wstała, aby przeczytać, co napisała ku pamięci Bobby'ego Tubbsa i Sary Miller, w truskawkowo-różowych włosach miała czarne wstążki i była ubrana w czarny T-shirt, różową koronkową spódniczkę i czarne rajstopy, a na nogach miała różowo-białe sportowe buty.

– „Obudzili się a Bobby zamrugał i spytał gdzie jesteśmy co się stało a Sara powiedziała jakie to miejsce jest słoneczne a wszędzie są róże tyle róż że pachnie jak saszetka co ją włożyłam do szuflady z bielizną. Anioł ubrany cały na biało w Armani przyszedł do nich i powiedział jesteście w krainie Pubów i wezmę was do kaplicy ślubów gdzie będziecie co dzień brać ślub z друзkami i szampanem co będzie nagrodą za to że kochaliście się w prawdziwym świecie i co dzień będzie ślub z długą limuzyną i ślubnymi prezentami. Sara powiedziała że to ekstra bo zawsze chciała ślub który trwa zawsze amen”.

Klasa zaczęła klaskać. Pinky usiadła, zaczerwieniona z emocji. – Jim skinął głową.

– To było znakomite, Pinky. Pełne wyobraźni, ale nie wata cukrowa. I postawiło bardzo dojmujące pytanie. Wiecie, co to znaczy „dojmujące”? – Rozejrzał się po klasie. – Kto wie?

Zgłosił się Edward.

– Emocjonalne, ważne, istotne – powiedział.

– Tak jak ty jesteś dojmującym wrzodem na dupie... – mruknął Cień.

Jim natychmiast wycelował w niego palec i zrobił ostrzegawcze PIFF-PAFF.

– Zastanówcie się, jak by to było, gdyby Bobby i Sara rzeczywiście znaleźli się w przedstawionym przez Pinky raj. Dostaliby tyle tortów weselnych, szampana i tosterów, ile tylko można sobie zażyczyć, ale nigdy by się nie zestarzeni. Nie dowiedzieliby się, jak to jest

mieć dzieci albo podróżować po świecie. Dzień w dzień, przez całą wieczność, odbywaliby tę samą uroczystość ślubną, jak w *Dniu świstaka*. Może to niebo, ale może inny rodzaj piekła. Co o tym sądzicie?

– W zeszłym roku byłem na ślubie ojca – powiedział Edward. – Dla mnie to było piekło.

Macocha jest w porzo, kiedyś tańczyła na rurze, ale jej rodzina to jaskiniowcy. Jeden z kuzynów ma wytatuowaną na czole tarczę strzelecką i twierdzi, że chciał być taki sam jak Kurt Cobain, ale zabrakło mu jaj, aby palnąć sobie w łeb, więc tylko zrobił sobie ten tatuaż.

– Kim ty jesteś, żeby jeździć po ludziach, debilu? – zapytał Cię, patrząc pogardliwie na Edwarda. – Kiedy ten gość wrócił do domu, pewnie powiedział kumplom, że jesteś największym świrem od czasu Pee Wee Hermana.

Jim zaczął iść ku tyłowi klasy. Kiedy szedł między ławkami, z blatów natychmiast zniknęły telefony komórkowe, komiksy i batony. W pewnym momencie zatrzymał się gwałtownie, odwrócił i przyłapał Randy'ego, który właśnie wpychał sobie kanapkę do ust.

– Kto wierzy w życie po życiu? – zapytał, ale odpowiedziała mu tylko pełna zdziwienia cisza. – Mamy po śmierci świadomość czy nie? Możemy widzieć, myśleć i czuć czy... odeszliśmy na zawsze?

Jedna po drugiej, z wahaniem, podniosło się jedenaście rąk.

Stał przy ławce Brendy Malone. Była to pulchna, blada, astmatyczna dziewczyna z lekkim zezem i włosami koloru miedzi, które wyglądały jak postrzępione druciki.

– Brenda? Brenda, prawda? Wierzysz w życie po życiu?

Dziewczyna tak energicznie pokręciła głową, że jej kucyki zawirowały.

– Kiedy się umiera, jest po wszystkim.

– A więc nie wierzysz w niebo, piekło ani dalsze istnienie? Kiedy człowiek umiera, wszystko się kończy, światło gaśnie i człowiek odchodzi, tak?

Brenda skinęła głową.

– Zanim moja siostra umarła, poprosiłam ją, żeby przysłała mi wiadomość, kiedy dostanie się do nieba. Miała oderwać trzy płatki ze stokrotki, która stała w wazonie na moim oknie.

– Ale nie zrobiła tego, tak?

– Nie – odparła Brenda i zaczęła gryźć kciuk.

– Nie pomyślałaś o tym, że kiedy stała się duchem, nie mogła już robić niczego fizycznego...

takiego jak odrywanie płatków ze stokrotek?

– Ee... ona odeszła. Nawet nie czuję, żeby była blisko.

Jim rozejrzał się po klasie. Niektórym uczniom znudziło się już trzymanie ręki w górze, inni podpierali uniesioną rękę drugą. Nagle zobaczył w drzwiach dziewczynkę w długiej jasnozielonej koszuli nocnej. Nie była ładna, miała płaską twarz i spięte za uszami rude włosy, ale uśmiechała się przyjaźnie i trzymała w ręku stokrotkę na długiej łądydze.

Jim również uśmiechnął się do niej. Wiedział, kto to jest i co tu robi. Wiedział także, że nikt poza nim tej dziewczynki nie widzi, nawet Brenda. Zwłaszcza Brenda.

Nie miewał tego rodzaju wizji od dwóch lat i niespodziewanie ucieszył się, że wróciły. Życie po życiu było pełne wściekłych duchów ludzi, którzy zmarli przed czasem i chcieli się zemścić albo nie mogli uwierzyć, że nie żyją. Zdarzały się jednak także zadowolone duchy – i ta dziewczynka do nich należała.

– Ile lat miała twoja siostra, kiedy umarła?

– Dwanaście i pół.

– Jak miała na imię?

– Mary.

Jim położył dłoń na ramieniu Brendy.

– Mary wcale cię nie opuściła. W dalszym ciągu się tobą opiekuje. Wciąż cię kocha i zależy

jej na tobie.

Brenda przyjrzała mu się podejrzliwie. Najwyraźniej uważała, że tego rodzaju kwestie może wygłaszać jedynie ksiądz opiekujący się jej rodziną, a nie nauczyciel angielskiego.

– Nie wierzysz mi? – spytał Jim.

– Nigdy jej nie czułam. I nie dała mi znaku.

Jim kiwnął ręką na Mary i duch dziewczynki zaczął podchodzić. Zjawa przeszła przez Vanillę King i George'a Gravesa, jakby nie istnieli, ale Vanilla musiała ją poczuć, bo nieoczekiwanie krzyknęła: OJEJ! – i rozejrzała się. George był zbyt zajęty rysowaniem w zeszycie gotyckich nagrobków z napisem RIP, żeby cokolwiek poczuć.

Mary, cały czas uśmiechnięta, podeszła do Jima.

Nigdy jej nie opuściłam – powiedziała. Jej głos brzmiał tak, jakby mówiła z sąsiedniego pomieszczenia, i w pewnym sensie tak było. – *Nawet na minutę nie zostawiłam Brendy samej.*

– Mogłabyś jej to jakoś dać do zrozumienia? – spytał Jim. – Byłaby szczęśliwa.

– Słucham? – zdziwiła się Brenda.

Mary zerwała z trzymanej w dłoni stokrotki trzy płatki i upuściła je na dłoń Jima. Zacisnął palce i powiedział:

– Dziękuję.

Brenda zmarszczyła czoło.

– Za co pan dziękuje?

Jim otworzył dłoń i Brenda wbiła wzrok w trzy czerwone płatki. Po chwili wydukała:

– Skąd... pan... wie... dział, że stokrotka... była... czerwona?

– Powiedziałem ci, że Mary jest blisko. Nie opuściła cię, kiedy umarła, i nigdy cię nie opuści.

Jest twoją siostrą. Zależy jej na tobie.

Oczy Brendy wypełniły się łzami.

– To jakaś sztuczka, prawda? Robi pan sztuczki!

George odwrócił się i popatrzył na nią, ale najwyraźniej uznał, że nie dzieje się nic szczególnie ciekawego, bo wrócił do swojego bazgrania.

Jim położył dłoń na ramieniu Brendy.

– Chyba nie sądzisz, że mógłbym być wobec ciebie tak okrutny? – Położył płatki na jej zeszycie. – Weź je. Mary chce, abyś je zatrzymała. Powiedziała, że da ci znak, i zrobiła to. Potrzebowała tylko kogoś takiego jak ja, aby pomógł jej to zrobić.

Brenda wyjęła pomietą papierową chusteczkę i wytarła oczy.

– Porozmawiajmy po lekcjach – powiedział Jim. – Wszystko ci wtedy wyjaśnię. Jeżeli chcesz teraz wyjść, możesz iść.

– Nie, chcę zostać. Myślałam, że mnie zostawiła. Naprawdę tak myślałam.

Mary przez cały czas stała tak blisko siostry, że gdyby była materialna, Brenda mogłaby wyciągnąć rękę i bez trudu dotknąć jej twarzy. Zjawą jeszcze przez chwilę czekała, ale uśmiech powoli zamierał na jej ustach, ponieważ uświadomiła sobie, że Brenda nigdy nie będzie mogła jej zobaczyć. Popatrzyła ze smutkiem na Jima i zniknęła.

Jim lekko ścisnął ramię Brendy dla dodania dziewczynie otuchy i wrócił na przód klasy.

– No dobrze – powiedział. – Freddy... a co z tobą? Wierzysz w życie po życiu?

– Jasne – odparł Freddy. – Za każdym razem, kiedy gram w karty, dziadek mówi mi do ucha, co inni gracze mają w kartach. Wspaniała sprawa.

– Skąd wiesz, że to twój dziadek?

– Czuję jego zapach. Whisky Rebel Yell, cygara i czosnek... zawsze tak pachniał.

– Cóż, jeżeli to prawda, to bardzo ciekawe, bo wielu ludzi twierdzi, że choć nie widzi duchów, czuje ich zapach. Wszystko wskazuje na to, że duchy potrafią zaznaczać swoją obecność pobudzaniem naszych receptorów węchowych, które są znacznie wrażliwsze od oczu

i uszu. A ty, Ruby?

– Nie jestem do końca pewna – zaczęła Ruby, błyskając złotymi bransoletkami – ale

uważani, że żyjemy tak długo, jak długo żyje przynajmniej jedna osoba, która nas pamięta.

Ludzie żyją w umysłach innych ludzi. Jeżeli można pamiętać piosenkę i przekazać ją dzieciom,

dlaczego nie można by w taki sam sposób przekazać czyjejś duszy?

– Randy? Ty nie wierzysz w życie po życiu?

Randy potrząsnął policzkami.

– Jesteśmy jedynie mięsem, tak? – spytał Jim.

– Oczywiście – mruknął Cień. – A niektórzy mają go dziesięć razy tyle co inni.

– Uważaj, bo usiądę ci na głowic i wypierdżę ci w ucho *Camptown Races** [*Amerykańska piosenka folkowa.] – ostrzegł go Randy.

– Dość tego! – przerwał ich sprzeczkę Jim. – Jaki jest twój pogląd na te sprawy, Randy?

– Taki, że kiedy nasze mięso umiera, umiera też nasz mózg, a kiedy umiera mózg, (o już po zawodach, nie ma nas. Codziennie szlachtuje się miliony świń, ale nie straszą nas miliony świńskich duchów, no nie? Nie słyszymy w nocy żadnego CHRUM! CHRUM!

– To dlatego, że zwierzęta nie mają dusz – oświadczył David Robinson. – Tylko ludzie mają dusze, bo zwierzęta nie umieją odróżnić dobra od zła ani nie wierzą w Pana jak my.

Jim zastanawiał się, co jego klasa powiedziałyby o Mary, odrywającej płatki z czerwonej stokrotki. Nie rozumiał duchów – nie wiedział, dlaczego jedne się ukazują, a inne nie, ani dlaczego niektóre aż kipią ze złości, podczas gdy inne są spokojne. Ale może nie było w tym żadnej tajemnicy – może duchy zachowywały się tak samo jak za życia, kiedy były ludźmi?

– No dobrze... teraz chcę usłyszeć następny tekst poświęcony Bobby'emu i Sarze – powiedział. – Roosevelt, co napisałeś?

Roosevelt podniósł się niezgrabnie, jego wygolona czaszka błyszczała jak przeciwsłoneczne

okulary, które miał na nosie. Parę razy wzruszył ramionami, podniósł wydartą z zeszytu kartkę, pociągnął nosem i oświadczył:

– To coś w rodzaju... poematu. Dokładnie mówi, co czuję dla Bobby'ego i Sary.

Bobby i Sara chcieli zrobić to samo

Co każdy kiedy poczuje potrzebę

Połączenia dusz i cud aby było mu jak w niebie

Jak dwie fale łapiące na krawędzi plaży

Co walą i trzaskają i wszędzie pianą tryskają.

Ogień rozpalony przez żączy głos

Zamienił się w pogrzebowy stos

Spaleni i zwęgleni zostali i zamiast związani

Oboje zostali skremowani

Ich ochota zamieniła się w dym i popiół

Który rozwiały wiatr i pognął w głąb lądu

I zobaczymy ich znowu dopiero w Dzień Sądu.

– To jest znakomite – stwierdził Jim. – Może trochę makabryczne, ale chyba wszyscy musimy przyznać, że ich śmierć była okropna.

Nagle jego uwagę zwrócił refleks światła za oknem, gdzieś między drzewami. Do bramy szkoły zbliżał się samochód porucznika Harrisa.

– No dobrze, wrócimy do Bobby'ego i Sary jutro. Teraz mam dla was nowe zadanie. Bardzo was proszę, tylko nie stękajcie... To interesujące i użyteczne zadanie, będzie jednak wymagało nieco pracy.

Z ławek zaczęły dolatywać jęki. Jim odwrócił się do tablicy i napisał: DAGEROTYP.

– Czy ktoś wie, co to jest dagerotyp?

– Coś w rodzaju terrorysty? – spytał Philip.

– Ciekawy pomysł, ale nie. Edward?

– Wczesna forma fotografii, proszę pana. Wynaleziona przez Louisa Daguerre'a.

– Zgadza się. Zanim wynaleziono film, fotografowie używali metalowych płyt, wrażliwych na światło dzięki naniesionym na nie materiałom chemicznym. Robienie w ten sposób zdjęć to bardzo skomplikowana sprawa, poza tym fotograf musiał nosić ze sobą masę sprzętu, aparaty, trójnogi, butelki z rtęcią. Ale za pomocą tej techniki zrobiono mnóstwo znakomitych zdjęć: gór, jezior, lokomotyw, pól bitewnych wojny secesyjnej. Robiono nawet niecenzuralne zdjęcia. O tak, porno istniało już w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku.

Napisał na tablicy: ROBERT H. VANE.

– Tak nazywa się interesująca mnie postać. Człowiek ten jeździł po południowej Kalifornii około tysiąc osiemset pięćdziesiątego trzeciego roku i sądzę, że robił zdjęcia rdzennym Amerykanom. Chcę, abyście się jak najwięcej o nim dowiedzieli i spróbowali znaleźć jego zdjęcia. Możecie korzystać z biblioteki, z Internetu, z czego tylko chcecie.

– Czy ma to jakiś praktyczny cel? – spytał George. Włosy na potylicy sterczały mu w bok, jakby właśnie wstał z łóżka.

– Tak, George. Napiszemy wymyślony pamiętnik o wędrowaniu po Kalifornii w czasach pionierów i robieniu dagerotypów.

– Eee... po co?

– Po to, abyś mógł, używając wyobraźni, opisać Kalifornię połowy dziewiętnastego wieku.

Abyś spróbował opisać technikę dagerotypową jasnym, zrozumiałym angielskim językiem.

„Abyś mógł opowiedzieć, co należałoby sfotografować, żeby pokazać ludziom w Nowym Jorku, jaka piękna jest Kalifornia, i przekonać ich, że warto podjąć długą i ryzykowną podróż, żeby tu osiąść. – Jim zaczął po kolei wystawiać palce. – Po pierwsze, będziesz miał okazję pokazać, jak

dobrze umiesz opisywać ludzi i krajobrazy. Po drugie, pokażesz, że potrafisz zrozumieć sposób myślenia innych ludzi, nawet tych, którzy żyli sto pięćdziesiąt lat temu. Po trzecie, udowodnisz, że umiesz zrozumieć proces technologiczny i przedstawić go powszechnie zrozumiałym językiem. Po czwarte, zademonstrujesz swoją umiejętność przekonywania ludzi i sprzedawania im tego, co chcesz sprzedać. Może według ciebie to wygląda bardziej na zadanie z historii, ale uwierz mi, wszystkie cztery umiejętności, które wymieniłem, pomogą ci znaleźć pracę w obecnych czasach.

– Nawet jeżeli ktoś chce pracować dla Radia Shack? – spytał Edward.

– Oczywiście.

Cień wydał policzki. Widać było wyraźnie, jak bardzo zniechęca go perspektywa napisania więcej niż dwóch powiązanych ze sobą zdań.

– Jakiś problem? – spytał Jim, patrząc na niego.

– Tak jakby. Czy wczoraj nie mówił pan, że chce, abyśmy pana czegoś nauczyli?

– Mówiłem, ale zastanów się dobrze: jak możesz mnie czegoś nauczyć, jeżeli sam niczego nie wiesz?

– Hmm... – mruknął Cień. Jim uśmiechnął się do niego.

– Jeżeli dowiesz się czegoś o tym dagerotypiście, na pewno z zainteresowaniem cię wysłucham. Nie będę piłował paznokci, dłubał w nosie ani wysyłał do mojej dziewczyny aluzyjnych SMS-ów. Nawet nie będę odbijał głową piłki. Umowa stoi?

Porucznik Harris czekał na Jima przed główną bramą razem z dwoma detektywami. Stali w cieniu dumy i ozdoby szkoły – stuletniego libańskiego cedru, posadzonego tu podobno w 1923 roku przez Toma Mixa, gwiazdora niemych westernów.

– Mamy naocznego świadka! – zawołał porucznik, kiedy Jim podchodził.

– Naprawdę?

– Detektywi Mead i Bross rozmawiali z dziesiątkami włóczęgów i turystów, nocujących na plażach. Jeden z kloszardów koczował niecałe pięćdziesiąt metrów od domu plażowego Tubbsów...

Detektyw Mead otworzył swój notes. Był czarny i przystojny jak filmowy amant. Miał na sobie doskonale skrojony lekki szary garnitur i czerwono-żółtą jedwabną muchę.

– Hayward Mitchell, lat czterdzieści osiem, bezrobotny pomywacz bez stałego adresu.

Twierdzi, że kiedy układał się do snu, zobaczył dwoje młodych ludzi schodzących z plaży.

Śmiali się, żartowali i wygłupiali się.

Detektyw Bross miał prawie dwa metry wzrostu, a jego głowa wyglądała jak wykuta z granitu. Miał ostrzyżone na jeża siwe włosy, głęboko osadzone oczy i haczykową bliznę z boku ust. Nie odzywał się, ale przez cały czas uważnie przyglądał się Jimowi, jakby próbował sobie przypomnieć, czy jego twarz nie pojawiła się przypadkiem na nagraniu wideo ostatniego napadu z bronią w ręku.

Porucznik Harris wyjął z kieszeni dwie barwne fotografie i, pokazał je Jimowi.

– Mitchell przyznaje, że był zalany, ale zidentyfikował zarówno Bobby’ego Tubbsa, jak i Sarę Miller. Dość sensownie opisał, w co byli ubrani, poza tym nie miał powodu kręcić.

Detektyw Mead przewrócił kartką w notesie.

– Ofiary weszły do domku plażowego i mniej więcej dziesięć minut później Mitchell ujrzał trzecią osobę, schodzącą za nimi z plaży. Twierdzi, że była w szaro-czarnym ubraniu. Osobnik ten wszedł po schodach znajdujących się na zewnątrz domku, a kiedy doszedł do werandy, odwrócił się, jakby sprawdzał, czy nikt go nie obserwuje. Mitchell jest przekonany, że był to Afroamerykanin. Prawdopodobnie w starszym wieku, ponieważ miał siwe włosy. Wzięliśmy Mitchella na komisariat i posadziliśmy go z naszym najlepszym rysownikiem. Użyli komputerowego programu identyfikacyjnego i skomponowali coś takiego... według Mitchella

jest to dość podobne do osoby, którą widział.

Jim wziął kartkę do ręki i rozłożył ją. Spoglądał na niego Murzyn o kwadratowej szczęce z burzą siwych włosów i siwymi brwiami.

– Widział go pan kiedyś? – spytał porucznik Harris.

Jim pokręcił głową.

– Nie. Nigdy. Nie jest to twarz, którą szybko by się zapomniało, prawda? Nie miałby pan nic przeciwko temu, abym to zatrzymał? Może coś przyjdzie mi do głowy.

– Mitchell twierdzi, że był to dobrze zbudowany osobnik – powiedział detektyw Bross zgrzytliwym głosem, przypominającym pracującą betoniarkę. – Mniej więcej tego samego wzrostu i wagi co ja.

Jim popatrzył na niego. Detektyw musiał ważyć przynajmniej sto dwadzieścia pięć kilo.

– Nie przesadza pan?

– Powiedzmy, że jego mama umiała nakłaniać go do jedzenia warzyw.

Jim uważnie przyjrzał się policyjnemu portretowi pamięciowemu. Wydał mu się dziwnie niepokojący. Przypominał twarz przyjaciela, którą po raz pierwszy widzimy w lustrze – dobrze znaną twarz, której lustrzane odbicie wydaje się nieznajome i trochę przerażające.

– Mitchell mówił, że nie widział tego człowieka wychodzącego z domu plażowego, choć prawdopodobnie musiał stamtąd wyjść. Może zrobił to, gdy Mitchell zasnął.

– Więc wygląda na to, że Bobby i Sara zostali zamordowani?

– Niemal na pewno. Jeżeli coś się panu przypomni w związku z tą twarzą, proszę do mnie natychmiast zadzwonić.

– Jasne – odparł Jim.

Kiwnął policjantom głową na pożegnanie. Jego parapsychiczne zdolności pewnie nie robiły na nich najmniejszego wrażenia, ale to już był ich problem. Nie wyczuł na miejscu zbrodni

żadnych wibracji, najmniejszych sygnałów – choć dzisiejsza wizyta siostry Brendy w klasie dowodziła, że w dalszym ciągu może widzieć duchy. Nie był jednak w stanie zidentyfikować podejrzanego z policyjnego portretu pamięciowego. Ale na pewno nie był to dozorca szkolny, Walter – choć też był Murzynem o siwych włosach – miał tylko metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i był chudy jak pajak.

Kiedy szedł ku głównemu wejściu do szkoły, ze środka wyszła Karen z Perrym Rittsem z wydziału nauk ścisłych. Perry był mocno opalony, miał przerzedzające się blond włosy, które falowały na wietrze, i twarz zdrowego jak byk faceta – z mnóstwem białych zębów i szeroko otwartymi oczami, jakby wszystko go dziwiło. Karen miała na sobie bluzkę w różową kratę, w której Jim jeszcze jej nie widział, i śmiała się. Wyglądała oczywiście odrobinę starszej, ale pasowało to do niej. Zapomniał już, jaka jest ładna.

Skręcił szybko ku bocznemu wejściu. Jeszcze nie był gotów na spotkanie z Karen.

A zwłaszcza nie na to, aby skinąć jej głową i uśmiechnąć się, kiedy będzie przechodziła obok niego z Perrym Rittsem. Wymyślił kiedyś rym do „Perry Ritts”, który nie był ani przyzwoity, ani pochlebny.

Rozdział 7

Po lekcjach Jim poszedł na drinka z Vinniem i Stu Bullivantem z wydziału sztuk pięknych.

Stu wyglądał nie jak nauczyciel sztuki, ale jak drwal z Minnesoty – miał wielką krzaczastą brodą i nosił koszulę w czerwoną kratę oraz spodnie z tak szerokimi nogawkami, że do każdej z nich zmieściłby jeszcze Jima. Stu twierdził, że wszystko jest sztuką, a szczególnie zajadłe bronił tej teorii po siedmiu piwach. Według Stu nawet wózek na zakupy jest sztuką, ponieważ człowiek zapełnia go przedmiotami, które ujawniają jego wnętrze.

– Stań za kobietą w kasie supermarketu i popatrz, co kupiła. Nie pozwoliłaby ci przeczytać swojego pamiętnika, ale nie ma oporów przed pokazywaniem swoich zakupów, a to znacznie

intymniejsze od jakiegokolwiek pamiętnika. Co mówi o kobiecie zakup dwudziestu czterech rolek papieru toaletowego po okazyjnej cenie, sześciu bochenków krojonego na średniej grubości kromki białego chleba, piętnastu litrów mleka, trzydziestu puszek psiej karmy, paczki wkładek do majtek, tuzina gotowych dań obiadowych, środka do udrażniania rur kanalizacyjnych i egzemplarza „National Enquirer”? Wszystko. To przerażająco szczery autoportret.

Przerażająco! A to, że namalowała swój autoportret produktami spożywczymi zamiast farbą, wcale nie oznacza, że dzieło jest mniej ważne! To sztuka!

– Chyba pozostanę przy Rembrandcie – stwierdził Jim. – Przynajmniej nie każe nam oglądać posypanych cukrem pączków i maści na brodawki.

Kiedy Stu po raz dziewiąty wyszedł do toalety, Vinnie zapalił papierosa i spytał:

– Jak się urządziłeś? Wszystko gra?

Jim milczał przez chwilę, zastanawiając się, czy opowiedzieć Vinniemu o tym, co przydarzyło się TD, ale zdecydował, że lepiej nie. W końcu w budynku obowiązywał zakaz trzymania kotów.

– Świetnie. Prysznic jest niesamowity. Człowiek czuje się w nim jak pośrodku Niagary, tyle że nieosłonięty beczką.

– Eee... a dobrze... spałeś?

– Tak. W nocy ciągle coś gdzieś skrzypi, ale po jakimś czasie na pewno się przyzwyczaję.

Łóżko jest wspaniale: jest w nim miejsce dla mnie i tuzina namiętnych kobiet.

– Jeżeli znajdziesz tylko jedenaście i będziesz potrzebował kogoś do kompletu, znasz mój numer. Ale czy trzynaście osób w łóżku to nie nieszczęśliwa liczba?

– Nieszczęśliwa? Raczej wyczerpująca.

Kiedy Stu wrócił z toalety, Jim odwiózł go do domu, do Westwood. Stu bez przerwy opowiadał, jak bardzo się cieszy, że widzi go z powrotem w West Grove College, ponieważ

w Los Angeles nie ma już prawdziwych ludzi – tylko sami oszuści, kłamcy i sprzedawcy szmelcu.

– Coś ci powiem, Jim... niektórzy ludzie są w dzisiejszych czasach tak nieszczerzy, że kupują rzeczy, których nie potrzebują... pasztety z gęsiej wątróbki, słowniki... żebyś myślał, że są inni. Kiedy patrzysz na ich zakupy, wydaje ci się, że mają dobry gust i są wykształceni, a tak naprawdę nie mają fiutów.

– Miłych snów – powiedział Jim, kiedy dowiózł Stu na miejsce, i cierpliwie czekał pod domem kolegi, który wbijał i wbijał klucz w drewno wokół zamka, jakby próbował przyszpilić do drzwi małpi ogon.

Zanim Jimowi udało się znaleźć kontakt, potknął się o stertę butów stryja Vinniego.

W salonie było ciemno i cicho – jeśli nie liczyć tykania włoskiego zegara z brązu, stojącego na kominku.

– Tibbles? TD? – zawołał cicho.

Podszedł do stolika przy kanapie i zapalił jedną z lampek. Potem zapalił drugą i trzecią.

– Tibbles, wszystko w porządku? Gdzie się schowałaś, mała?

W tym momencie ujrzał kotkę – siedziała na samym środku dywanika pod kominkiem, nieruchoma i milcząca. Wpatrywała się w ścianę nad kominkiem. Wisiał tam portret Roberta H. Vane'a, z głową osłoniętą czarnym materiałem.

Jim zdrętwiałymi dłońmi zdjął z ramienia płócienną torbę. Ogarnęło go straszliwe przerażenie. Podszedł do kominka i z niedowierzaniem przyjrzał się obrazowi. Na pewno ważył ponad pięćdziesiąt kilogramów. Kto mógłby go podnieść i ponownie zawiesić na ścianie? Kto mógłby chcieć coś takiego zrobić? I dlaczego?

Znowu popatrzył na Tibbles. Musiała się w ciągu dnia dokładnie wylizać, bo choć w dalszym ciągu miała kilka gołych placków, jej sierść nie była już matowa i poskręcana.

– Co się tutaj dzieje, TD? Ktoś tu był w czasie mojej nieobecności? He? Kto to zrobił?

Tibbles jedynie potrząsnęła łebkiem.

Jim cofnął się kilka kroków. Nie wiedział, co o tym myśleć. Był tak skonsternowany, że zaczął się śmiać, ale po chwili przestał. Jeżeli ktoś chciał sobie zażartować, nie był to śmieszny żart.

– A więc... panie Robercie H. Vane! – zawołał głośno. – Mógłbyś mi wyjaśnić, jak dostałeś się na górę?! – Przez chwilę stał i patrzył na obraz, jakby spodziewał się odpowiedzi, ale Robert H. Vane pozostał jak zawsze cichy i tajemniczy pod zakrywającym twarz czarnym materiałem.

Jim poszedł do kuchni i wyjął z lodówki piwo. Wrócił z puszką w rękę do salonu, stanął przed obrazem i znowu zaczął się w niego wpatrywać. Wiedział, że nadprzyrodzone zdarzenia mają miejsce każdego dnia. Osobiście rozmawiał z duchami i widział samodzielnie poruszające się przedmioty, ale nawet duchy nie wszystko potrafiły, a jego zdaniem powieszenie na ścianie tego obrazu wykraczało poza ich możliwości.

Może powiesił go dozorca, sądząc, że Jim sobie nie poradzi?

Rozejrzał się i zauważył, że szary koc, którym przedtem był zakryty obraz, leży starannie złożony na pobliskim krześle. Duchy nie składają koców. Musiał to zrobić człowiek. Może jakiś kuzyn Vinniego? Może Vinnie nie poinformował całej rodziny o wynajęciu mieszkania i ktoś wpadł, by rzucić na nie okiem?

Eleanor Shine? Widziała obraz i doszła do wniosku, że jest w nim coś dziwnego, jakaś tajemna moc. Dlaczego jednak miałyby go wieszać na ścianie – zakładając, że w ogóle dałaby radę to zrobić (a pewnie nie dałaby). Może uznała, że jeżeli malowidło wisiało na ścianie przez wiele lat, nie należy go zdejmować? Bo przecież jeżeli pozwoli się ludziom zdejmować obrazy ze ścian, czego można się spodziewać potem? Prywatek z szampanem w windzie i trzymania w domu lwiątek?

Tak samo jak robił to Vinnie w dzieciństwie, niemal przystawił twarz do płótna, jakby chciał zajrzeć pod czarny materiał na głowie Vane'a. Było to oczywiście niemożliwe, ale odniósł niepokojące wrażenie, że pod materiałem naprawdę jest twarz i w pewnych okolicznościach można ją zobaczyć. Oczywiście pod warunkiem, że obraz zechce ją ujawnić.

Cofnął się. Nie zwrócił do tej pory uwagi na lewą rękę Roberta H. Vane'a, teraz jednak zauważył, że na jego palcu serdecznym jest nie obrączka, a masywny srebrny sygnet z herbem. Choć malarz odwzorował go z pewnymi szczegółami, Jim nie potrafił określić, co przedstawia. Tarczę i dwa skrzyżowane sztylety? Czaszkę i skrzyżowane kości? Nie dało się tego stwierdzić. – Jeszcze się... nie boimy, prawda, TD? – powiedział Jim do kotki. – „Śpiący i umarli są obrazkami tylko”* [*Tłumaczył Józef Paczkowski.].

Tibbles zamknęła oczy i ziewnęła.

– Szekspir, *Makbet*, akt drugi, scena druga – wyjaśnił jej Jim. – I zasłaniaj usta, jak ziewasz.

Zrobił sobie kolację z krótko smażonych pasków boczku i drobno pokrojonej żółtej i czerwonej papryki, mocno przyprawionych chilli, kminkiem i czosnkiem. Jeśli nie liczyć połowy kanapki z kurczakiem, przez cały dzień nic nie jadł, kiedy jednak wyłożył zawartość worka na talerz, głód zniknął. Czuł lekkie mdłości – może dlatego, że kuchnię wypełniał dym.

Usiadł za stołem i zaczął dziobać jedzenie widelcem. Nie pozwól, by cię to ruszyło, powiedział sobie. Musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie tego, w jaki sposób obraz wrócił na ścianę, a kiedy je odkryjesz, poczujesz się jak kompletny idiota.

Do kuchni weszła Tibbles – trochę kulała i pociągała nosem. Nienawidziła czosnku, Jim nie musiał się więc dzielić z nią swoją kolacją. Znowu pogrzebał w talerzu.

– Niedobrze, Tibbles. Niewyjaśnione zdarzenia źle wpływają na mój apetyt.

Odsunął krzesło i wstał, po czym wstawił talerz do kuchenki mikrofalowej, żeby muchy nie dobrały się do jedzenia.

Kiedy zamykał drzwiczki mikrofalówki, oślepił go błysk jaskrawego, błękitnobiałego światła. Odskoczył do tyłu, sądząc, że w kuchence zrobiło się spięcie, natychmiast jednak uświadomił sobie, że błysnęło za jego plecami. Nie, jeszcze dalej – w salonie. Tibbles także podskoczyła, schowała się pod zlewozmywakiem, gdzie stała jej miska, i wbiła wzrok w Jima. Nasłuchiwał przez chwilę. Nie mogła to być błyskawica, bo nie nastąpił grzmot, ale błysk był tak samo jasny, a może nawet jaśniejszy. Choć Jim stał plecami do drzwi salonu, przed oczami miał zielony obraz kuchennego zegara.

Wziął największy kuchenny nóż i ostrożnie poszedł do salonu. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło, choć w powietrzu unosił się zapach rozgrzanego metalu, jakby ktoś zostawił pusty garnek na włączonej elektrycznej płytce. Jim zaczął krążyć po pokoju i dźgać czubkiem noża meble, ale w pomieszczeniu nikogo nie było – nie znalazł też żadnej wskazówki, co mogło spowodować tak oślepiający błysk.

Wolał nie spoglądać w kierunku portretu Roberta H. Vane’a i starał się nie myśleć o tym, w jaki sposób obraz mógł wrócić na ścianę. Miał zbyt wiele innych rzeczy do zrobienia – na przykład życie do poskładania. Dobrze chociaż, że nie musiał się martwić o karierę zawodową. Miał też wygodne mieszkanie z seksowną sąsiadką po drugiej stronie korytarza. Wprawdzie Tibbles wyglądała jak futrzana czapka Davy’ego Crocketta, zaatakowana przez szaleńca z miotaczem ognia, ale należało się spodziewać, że za tydzień lub dwa spalona sierść odrośnie. Mimo woli wciąż zastanawiał się jednak, jakim sposobem obraz wrócił na swoje miejsce: wskoczył na hak czy unosił się powoli nad podłogę, jakby dźwigały go niewidzialne dłonie? Kiedy krążył po salonie, cicho zahuczał dzwonek do drzwi. Jim zamarł z uniesionym w górę nożem. Nie spodziewał się nikogo. Może to dozorca, który przyszedł mu powiedzieć, że powiesił obraz i powinien dostać napiwek? Podeszedł do drzwi wejściowych i wyjrzał przez judasza. Zanim zdążył zobaczyć, kto przed nimi stoi, dzwonek ponownie zabuczał.

Otworzył drzwi. Przed nim stała Eleanor Shine. Miała zaplecione w ciasny warkocz włosy i wyglądała jak królewna ze średniowiecznej bajki. Ubrana była w bardzo krótką czarną satynową sukienkę, a na nogach miała botki z czarnego zamszu, przypominające staroceltyckie łapcie. Także teraz pachniała przyprawiającymi o zawroty głowy perfumami.

– Obiecałam wpaść – oznajmiła.

– Oczywiście. Proszę wejść. – Co innego mógł powiedzieć? Przecież go ostrzegęła, że zawsze się spóźnia. Dwadzieścia cztery godziny, hm... niezłe spóźnienie.

– Niech pani uważa na... – zaczął, zdążyła się już jednak potknąć o górę butów.

– Boże! Skąd pan je wszystkie ma? Od Imeldy Marcos?

– Nie, należały do właściciela mieszkania. Tego, który zmarł.

– Pan Boschetto... no tak. Bardzo miły człowiek, choć rzadko go widywałam. Zawsze elegancko ubrany. Zawsze bardzo grzeczny. Unosił na powitanie kapelusz, otwierał mi drzwi windy, mówił *bueno sera, signora* i tak dalej. Zawsze jednak trzymał się na uboczu. Rzadko przychodził na zebrania mieszkańców domu, a kiedy już przyszedł, nic nie mówił.

Weszła długimi krokami do salonu.

– Niesamowite... nigdy tu nie byłam. Jaka oryginalna tapeta! A te zdjęcia... niesamowite! Co jest na tym?

Jim podszedł bliżej i przyjrzał się zdjęciu.

– Kobieta w stroju Amiszów, na szczudłach.

– Ale te szczudła się palą!

– Zgadza się. Jest tu podpis: „Obrzędy religijne, Pensylwania, tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy rok”.

– Co się z nią stało? To straszne! Wszyscy stoją wokół i patrzą w obiektyw! Myśli pan, że ktoś jej pomógł?

Jim pokręcił głową.

– Większość zdjęć jest podobna. To znaczy... tak samo przerażająca. Proszę spojrzeć choćby na to...

Eleanor popatrzyła na maleńką fotografię dziewczynki z kucykami i brzydką twarzą. Choć miała nie więcej niż cztery lata, przystawiała sobie do skroni wielki niklowany rewolwer kalibru.44. Podpis brzmiał: *Monika, rosyjska ruletka, Arkansas, 1924 rok.*

– Obrzydliwe – wzdrygnęła się Eleanor. – Wie pan, kto robił te zdjęcia? Chyba nie pan Boschetto? Zawsze sądziłam, że to dżentelmen. A te zdjęcia są dość... perwersyjne, prawda? Nie seksualnie, ale... – urwała nagle.

Dostrzegła obraz nad kominkiem.

– Zawiesił go pan z powrotem! Zdawało mi się, że nie chce go pan trzymać w mieszkaniu!

– Eee... pomyślałem, że go powieszę z powrotem, żeby pani mogła go lepiej obejrzeć. Może kieliszek wina?

Odwróciła się do niego. Jej oczy były niezwykle – jakby zrobione z zielonego i białego szkła.

Dawno nie spotkał kobiety, której erotyzm byłby tak wyraźnie odczuwalny. Sprawiała wrażenie naładowanej elektrycznością: wydawało się, że gdyby zbliżyła dłoń do swetra z angory, wszystkie włoski uniosłyby się, poruszając palcami mogłaby układać opiłki we wzorki, a gdyby jej dotknąć, rozległyby się ciche trzaski elektrycznych wyładowań.

– Kieliszek wina? Czemu nie? – odparła.

Jim ruszył do kuchni, a ona za nim.

– Gotował pan właśnie. Nie przeszkodziłam w kolacji?

– Nie. Straciłem apetyt...

– Coś pana dręczy.

Wyjął z lodówki butelkę chardonnay i ściągnął folię z szyjki.

– Mam... miałem kilka trudnych lat, to wszystko. Powiedz – my, że mam talent do ściągania na siebie kłopotów.

Tibbles przez cały czas siedziała pod zlewozmywakiem. Popatrzyła na Eleanor i zamiauczała.

– To pana kot?

– Kotka.

– Aha, kotka. Wie pan, że nie może tu zostać? Zarząd domu raczej nie lubi zwierząt...

– Jestem pewien, że uda mi się znaleźć jakieś rozwiązanie.

Eleanor uklękła i zaczęła zagadywać kota:

– Kiciu, pokaż się. Kici-kici-kici... Co ci się stało, malutka? Wyglądasz, jakbyś usiadła za blisko ognia.

– Właśnie o tym między innymi chciałem z panią porozmawiać. To się stało zaraz po tym, jak się tu wprowadziliśmy. Usłyszałem jej wrzask, a kiedy wbiegłem do salonu, okazało się, że stoi na szczycie podstawki do kwiatów i cała się dymi.

– Och, nie! Jest poparzona? Biedna kocina! Niech pan popatrzy na jej sierść! Tak wyglądało moje futro z królików, kiedy dobrały się do niego mole! To było wtedy, kiedy jeszcze nosiłam futra... Proszę pomyśleć, ile królików skacze sobie radośnie dzięki temu, że już nie noszę ich futer!

– Taa... – mruknął Jim, myśląc zupełnie o czym innym.

Eleanor delikatnie pogłaskała Tibbles pod brodą, czemu kotka nigdy nie umiała się oprzeć.

– Biedna mała! Jak to się stało?

– Nie mam pojęcia. W pokoju nie było świec ani nagich przewodów. Nie palił się też ogień.

Eleanor jeszcze raz pogłaskała kotkę i wstała.

– Myśli pan, że ten obraz może mieć z tym coś wspólnego? – zapytała. Nie było to

żartobliwe pytanie, raczej żądanie wyjaśnienia, jakby Jim mógł coś na ten temat wiedzieć.

– Nie wiem, ale sposób, w jaki Tibbles patrzyła na to malowidło, mógł sugerować, że obwinia je o podpalenie. Potem schowała się pod kanapą i nie chciała wyjść. Była bardzo przestraszona i bez wątpienia bała się obrazu.

– A pan?

– Nie... oczywiście, że nie, ale jak pani wczoraj powiedziała, ten obraz ma chyba jakąś... nie wiem, jak to określić... – Jim zamachał dłonią, próbując znaleźć odpowiednie słowo.

– Moc?

– Nie jestem pewien, czy nazwałbym to mocą. Z mojego doświadczenia wynika, że niektóre przedmioty sprawiają wrażenie, iż posiadają jakąś moc, choć w rzeczywistości wcale jej nie posiadają. Nie same w sobie. Ale powodują, że ludzie zaczynają zachowywać się inaczej niż zwykle. Takie są maski voodoo, szamańskie kości, krucyfiksy. Sprawiają, że budzi się w nas coś prymitywnego.

Eleanor popatrzyła na niego uważnie.

– Co się stało? – spytał.

Podeszła jeszcze bliżej, przez cały czas się w niego wpatrując. Miał na nosie wąża?

– Może pan widzieć, prawda?

Wiedział, o co jej chodzi, udał jednak, że nie rozumie. Zdolność widzenia duchów przysporzyła mu w ciągu ostatnich lat tak wiele bólu i strachu... i bardziej niż czegokolwiek innego życzył sobie, aby te jego parapsychiczne umiejętności zniknęły. Chciał chodzić po ulicach bez widzenia zmarłych i wszystkich okropieństw, jakie wypływają z ludzkiej wyobraźni – widm, duchów i stworów, chowających się pod łózkami i czekających na odpowiedni moment, by móc zacząć łapać dzieci za kostki. Dla łych, którzy to widzieli, te stwory były najprawdziwsze z prawdziwych.

– Chodźmy do salonu – zaproponował.

Wrócili do pokoju, Eleanor nie dała się jednak zbyć.

– Widzi pan.

– No dobrze. Widzę. Skąd pani to wie?

– Ponieważ sama jestem wrażliwa.

– Naprawdę?

– Jestem wrażliwa od dzieciństwa. Widzę duchy, może nie tak jak pan, ale zawsze wiem, kiedy są blisko, i zazwyczaj umiem określić, co myślą, zwłaszcza jeżeli są nieszczęśliwe.

Jim zdjął okulary i potarł oczy. W ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat natknął się na wiele „wrażliwych” osób, ale tylko jedna, może dwie spośród nich naprawdę miały parapsychiczne zdolności. Reszta była wariatami albo niebezpiecznymi oszustami.

Eleanor bardzo mu się podobała. Wyglądała na kobietę, która mogłaby mu pomóc zapomnieć o Karen. Była seksowna, inteligentna, elegancka i nieco ekscentryczna, ale jeśli zamierzała udowodnić, że jest wrażliwa, mogło to oznaczać problemy, zwłaszcza gdyby okazało się, że jest „lewa”.

– Może pani usiądzie? – zaproponował.

Eleanor rozejrzała się.

– Czuję tu czyjąś obecność – powiedziała. – Ktoś tutaj jest. – Zmarszczyła czoło i przyłożyła dłoń do ucha, jakby chciała lepiej słyszeć. – Dwie istoty. A nawet więcej niż dwie... znacznie więcej. Ale ważne są tylko te dwie.

Usiadła gwałtownie na kanapie, jakby grała w komórki do wynajęcia. Jej sukienka była bardzo krótka. Popatrzyła na Jima i zapytała:

– Nie wierzy mi pan?

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– Ale tak pan myśli. Niech pan jednak sam powie: jeżeli nie mam daru, to skąd bym wiedziała, że pan widzi?

– Może Vinnie pani powiedział? Większość moich przyjaciół o tym wie. Wiedzieli o tym także niektórzy z moich uczniów. To nie takie łatwe do ukrycia.

– Nie znam żadnego Vinniego. Kto to jest?

– Bratanek pana Boschetta. Odziedziczył to mieszkanie. On i jego dwie siostry.

– Jim, ja mówię prawdę. Czuję dwie silne obecności, ale dobrze się ukrywają, bo obawiają się, że je pan zobaczy, zechce pan z nimi rozmawiać i dowie się, co robią.

– Kim one są? I co takiego robią?

Eleanor odstawiła kieliszek na stolik i przycisnęła palce do czoła. Jim zauważył między jej piersiami duży srebrny wisiołek. Przedstawiał okrągłą twarz, przypominającą średniowieczne wyobrażenie Księżyca. Twarz głupca, ale chytrego i okrutnego głupca.

Eleanor zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Jim cierpliwie czekał, tylko od czasu do czasu się rozglądał, próbując dostrzec jakiś ślad jej wizji. Włoski zegar powoli odliczał minuty, jakby ledwie starczyło mu energii, by posuwać się do przodu. Usta Eleanor lekko się poruszały, Jim nie słyszał jednak, co mówiła. Korciło go, aby spojrzeć na Roberta H. Vane’a, ale jakoś udawało mu się przewyciężyć tę chęć. Nie zamierzał pozwolić dziewiętnastowiecznemu dagerotypiście ze szmatą na głowie wygrać zabawy w „Mam cię!”.

Sięgnął po kieliszek, ale w tym momencie Eleanor tak mocno złapała go za nadgarstek, że niemal zerwała mu pasek do zegarka.

– To dobre duchy... – powiedziała chrapliwym głosem. – Bardzo dobre. Czuję ich dobroć.

– Kto to?

Nie odpowiedziała.

– Eleanor, kto to jest?

– Przybył... chyba to coś z... weselem. Wesele, tak! Był tam, ale nie był krewnym ani gościem, ani przyjacielem rodziny. Cały był ubrany na czarno... a ona powiedziała...

– Ona? Co za ona?

– Powiedziała: „Wygląda jak grabarz”.

Jim położył dłoń na dłoni Eleanor.

– Hej, słyszysz mnie? Posłuchaj... muszę wiedzieć, co to za duchy. Zapytaj, jak się nazywają.

– To dobre duchy – powtórzyła Eleanor. Przez cały czas miała zamknięte oczy, a palce przyciskała do czoła. – Nie chcą ci zrobić nic złego. Proszą, abys im wybaczył... „Wybacz nam, ale ktoś musi go znaleźć... ktoś musi go powstrzymać”.

– Kogo, Eleanor? Kto to jest, ten „on”?

– Trzeba go znaleźć, Jim. To nie będzie łatwe. Może się ukrywać niemal wszędzie, ale trzeba go znaleźć i zabić, bo inaczej...

– Co inaczej?!

– Inaczej będzie działał wiecznie i wyłapywał kolejne duchy jak szczurołap. Niewinne duchy, dobre duchy.

– Na Boga, Eleanor... kto?!

Ale ona nie odpowiedziała. Zaczęła coraz głębiej oddychać, wciągając powietrze przez nos i wydychając je ustami z rozdygotanym stękaniem.

– Eleanor! Eleanor! Posłuchaj mnie! Wyjdź z transu! Ona jednak dalej hiperwentylowała, coraz bardziej rozpaczliwie zachłystywała się powietrzem, jakby tonęła.

– Eleanor! Posłuchaj mnie! Eleanor! – krzyczał Jim. Chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

– Eleanor! Otwórz oczy! Eleanor, wróć do mnie! Raz... dwa... trzy...

Ale jej oczy pozostawały zamknięte. Zgarbiła się, jakby zapadła w siebie, a jej ręce i nogi

zaczęły wiotzczeć. Kątem oka Jim dostrzegł w przeciwnym rogu pokoju jakiś ruch. Na tle zasłon zatańczyło coś ciemnego – jakiś cień.

Po chwili zniknął, zaraz jednak znów się pojawił. Wysoki, niewyraźny cień, jaki rzucają ludzkie sylwetki w zimowe dni, niesamowicie wydłużony, pozbawiony proporcji. Choć między lampką na stole i oknem nie było nikogo, a zasłony były zbyt grube, aby światło mogło przeświecać z zewnątrz, cień przesuwiał się bezgłośnie po zasłonach, robiąc długie, żyrafie kroki. Po kilku sekundach znowu zniknął, tym razem na dobre, lecz Jim jeszcze długo wpatrywał się we wnękę okienną. Nigdy nie czuł podobnego przerażenia. Najbardziej przstraszył go chód cienia – płynny, ale nierówny – jak krok kogoś, kto musiał nauczyć się radzić sobie ze straszliwym kalectwem. Może nie „kogoś”, a raczej „czegoś”, bo sprawiał wrażenie jakiejś potwornej hybrydy: połączenia człowieka, zwierzęcia i owada. Gdybym go zobaczył w pełnym świetle, pewnie oszalałbym, pomyślał.

– Eleanor! – zawołał ponownie.

Przestała ciężko dyszeć i otworzyła oczy. Zamrugła na widok Jima, jakby ujrzała go po raz pierwszy w życiu.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak... chyba tak. – Rozejrzała się po salonie. – Rozmawiałam z nimi. Ze zjawami. Były niesamowite.

– Było tu coś jeszcze. Widziałem to.

– Jim, Boże... ty cały drżysz...

– Było tu coś jeszcze, nie tylko te twoje „zjawy”!

Eleanor popatrzyła na niego zdeorientowana.

– Co to było? Duch? Co robił? Jak wyglądał?

– Jak cień. Sunął przez zasłony, był to jednak nie tylko cień, ale także... – Jim nie umiał

znaleźć słów, które by oddały jego przerażenie. Poznał kwintesencję tego, co przychodzi po człowieka w środku nocy. Tego, co kuśtyka, podskakuje i spieszy przez noc, by nas złapać, kiedy się niczego złego nie spodziewamy.

Eleanor kiwnęła głową.

– Wiesz, co to było? – spytał.

– Chyba tak. Moim zdaniem to był on. Człowiek, za którym musisz ruszyć w pogoń.

Jim opadł plecami na oparcie kanapy.

– Ja? Dlaczego ja? Zapomnij o tym. Mowy nie ma.

– A kto inny mógłby to zrobić?

– Nie wiem, Eleanor, i nie interesuje mnie to. Nikogo nie będą ścigał. Koniec, kropka. Raz na zawsze skończyłem z tymi nadprzyrodzonymi głupotami, rozumiesz? Posłuchaj mnie: zamierzam wreszcie przestać widzieć martwych, demony, widma i... tajemnicze cienie, podskakujące na moich zasłonach, nawet jeżeli musiałbym poddać się lobotomii, aby to osiągnąć.

Rozdział 8

Eleanor poczekała, aż Jim skończy, a potem powiedziała po prostu:

– W porządku.

– Co „w porządku”?

– W porządku... bo jeżeli nie chcesz odnaleźć tej istoty, nikt inny nie będzie mógł tego zrobić. Ja też nie.

– No to w porządku.

Jim czekał przez chwilę, spodziewając się, że Eleanor coś jeszcze powie, ale kiedy się nie odezwała, wstał i poszedł do kuchni po następną puszkę piwa. Gdy wracał do salonu, szła za nim Tibbles. Wskoczyła na krzesło obok tego, na którym usiadł.

– Popatrz, w jakim stanie jest moja kotka. Wygląda jak bomba, która wybuchła w fabryce

szczotek do klozetów.

– Ona jest kluczem do tego, co tu się wydarzyło – oświadczyła Eleanor.

– Jak to?

– Dokładnie nie wiem, ale zjawy przez cały czas próbowały zwrócić na nią moją uwagę.

Niemal jakby fizycznie próbowały odwrócić moją głowę.

– Aha, te „zjawy”... A mówiły coś?

– Nie, one nie mówią. Ja je po prostu czuję. To jak przebywanie w ciemnym pomieszczeniu z mnóstwem ludzi, których się nigdy nie widziało. Można ich poznać jedynie po dotyku albo zapachu. Nie słyszą słów. Mogą tylko próbować wyczuć to, co chcą powiedzieć.

– Wiesz, kim są albo... byli?

– Nie. Za życia nie mieszkali tutaj. Jestem prawie pewna, że to mieszkanie jest im znane, ale nie było ich domem.

– Stryj Vinniego mieszkał tu przez czterdzieści lat, niemal od chwili postawienia budynku.

O ile wiem, mieszkał sam. No, prawdopodobnie miał jakieś kobiety... albo mężczyzn. Nic o nim nie wiem poza tym, że nie wyrzucał butów.

Eleanor wstała i zaczęła powoli krążyć po pokoju. Wpatrywała się w podłogę, jakby szukała zgubionego kolczyka.

– Mogli być spokrewnieni z stryjem Vinniego... byli bardzo emocjonalni... bardzo włoścy, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie masz pomysłu, jak mogli się nazywać? Eleanor pokręciła głową.

– Kobieta mogła mieć na imię Flora albo Floretta. Jej obecność sprawiała, że cały czas myślałam o kwiatach... o mnóstwie różnokolorowych kwiatów. Ale to jedynie luźne skojarzenie, może z jej ulubioną sukienką czy nawet z halką. A mężczyzna... nie wiem. Odniosłam wrażenie, że mógł mieć wąsy, to wszystko.

– Kim jest osoba, która tak ich przeraża?

– Nie wiem, jak się nazywa, ale po raz pierwszy ujrzeli ją na czyimś weselu. Moim zdaniem było to wesele jakiegoś bliskiego kuzyna... siostrzenicy albo bratanka. Kobieta przekazała mi mentalny wizerunek panny młodej i pana młodego, słyszałam muzykę akordeonową i klaskanie. Potem wszyscy ustawili się do zdjęcia i wtedy pojawił się ten człowiek. Był ubrany na czarno i z jakiegoś powodu kobieta się go przestraszyła. Bardzo przestraszyła.

– Był fotografem?

– Nie jestem pewna. Nie było to wyraźnie widoczne.

– Widziałaś go?

– Krótko, jej oczami. Ale obraz był bardzo rozmazany.

– Rozpoznałabyś jego twarz, gdybyś ją zobaczyła?

Eleanor zatrzymała się przy nim. Skraj jej sukienki lekko dotykał jego ramienia i Jim czuł intensywny zapach perfum, jakby spryskała nimi wnętrza ud.

– Tak – odparła. – Chybabym rozpoznała.

Wskazał na obraz.

– Sądzisz, że to on? Robert H. Vane?

Skinęła ledwie zauważalnie głową.

– Albo on, albo to, co go opanowało.

Jim pojawił się w szkole tak wcześnie, że mógł zaparkować na miejscu oznakowanym WICEDYREKTOR. Dotychczasowy zastępca dyrektora, doktor Friendly, opuścił West Grove z końcem poprzedniego semestru i doktor Ehrlichman jeszcze nie znalazł odpowiedniego następcy. Jim był pewien, że kimkolwiek będzie następcą, na pewno okaże się bardziej przyjazny od doktora Friendly'ego, którego nazywał Grinchem* [* *Friendly* (ang) – przyjazny, przyjacielski. Życzliwy Grinch – zazdrosna i psotna postać z filmu *Grinch – świąt nie będzie.*].

Kiedy wysiadał z samochodu, stopa zaplątała mu się w pas bezpieczeństwa i upuścił trzymane w rękę książki i papiery na asfalt. Natychmiast podbiegł do niego dozorca i z trudem hamując śmiech, pomógł mu wszystko pozbierać.

– Cholerne automatyczne pasy... – jęknął Jim.

– Powinien pan naprawić mechanizm. Już drugi dzień z rzędu widzę, jak nakrywa się pan kopytami. Mój siostrzeniec może to panu zrobić za drobną opłatą.

– Dziękuję, Walterze. Jesteś Walter, tak?

– Zgadza się, panie Rook.

– Dobrze, wpadnę dziś do ciebie, to dasz mi numer swojego siostrzeńca. Będziesz mi też mógł opowiedzieć najnowsze szkolne plotki. Nie było mnie tu ponad trzy lata, więc nie wiem, kto kogo podgryza i dlaczego.

– Panie Rook...

– Dozorcy zawsze o wszystkim wiedzą, prawda? Wiedzą, który nauczyciel ma romans z żoną którego kolegi i kto koniu próbuje utrudnić karierę. Wiedzą, którzy uczniowie sprzedają nie to, co należy, i którzy to wachają. Wiedzą, kto jest porządny i uczciwy, a kto nie. Lubię być z takimi rzeczami na bieżąco.

– Nie wiem, czy mogę o takich rzeczach mówić, panie Rook, ale na pewno poczęstuję pana dobrą kawą.

– W porządku, wobec tego jesteśmy umówieni – powiedział Jim. – Popłuczyny, które dają w pokoju nauczycielskim... to podobno kawa, ale nazywa się tak tylko dlatego, że nie smakuje jak czekolada ani jak herbata, a nie mogą to być szczyny, bo jest brązowa.

Pchnął poobijane niebieskie podwójne drzwi i wszedł do głównego korytarza. Kiedy mijał gabinet doktora Ehrlichmana, podszedł do niego wysoki barczysty uczeń w purpurowo-żółtej bluzie drużyny futbolowej West Grove. Był jednym z tych potężnych młodzieńców, przy których

Jim czuł się jak karzeł. Z doświadczenia wiedział, że większość z nich jest grzeczna i nieśmiała, ale w kontaktach z nimi nie potrafił powstrzymać się od mówienia o oktawę niższym głosem i wspinania się na palce.

– Pan Rook, tak? Nazywam się Brad Moorcock.

– Cześć! Co słysząc, Brad? Mogę w czymś pomóc?

Brad skinął głową. Miał potargane blond włosy i szeroką, nijaką, typową dla filmowych przystojniaków twarz, choć garb na złamanym nosie przydawał jej nieco charakteru. Jego błękitne oczy patrzyły na Jima z rozbijającą szczerością.

– Ja i Sara Miller... hm... byliśmy parą – wydukał.

– Ty i Sara?

– Spotykaliśmy się od zeszłorocznego Halloween, ale postawiła mnie w drugim tygodniu po rozpoczęciu roku szkolnego.

– No cóż... przykro mi.

Mówiła, że jestem arogancki, dbam tylko o siebie i nie panuję jej... że traktuję ją jak swoją własność i nie biorę pod uwagę jej uczuć. I miała rację... – Chłopak zamilkł i ciężko przełknął ślinę. W jego oczach pojawiły się łzy. – Jak mogłem być takim egoistą? Gdybym wiedział, co się jej przydarzy...

Jedna z książek wypadła Jimowi z rąk i musiał się schylić, by ją podnieść.

– Nie powinieneś być wobec siebie tak surowy, Brad. To nie twoja wina.

– Chyba nie. – Chłopak wytarł palcami oczy i głośno pociągnął nosem. – Choć czuję się za to odpowiedzialny. Powinienem tam być, żeby ją ochronić.

– Gdybyś tam był, teraz też byś wachał kwiatki od spodu. Niezależnie od tego, kto ją zabił, uwierz mi, nie było sposobu go powstrzymać.

– Nie cierpiała, prawda? Nie zniósłbym myśli, że cierpiała.

Gdyby Brad był młodym człowiekiem normalnych rozmiarów, Jim objąłby go ramieniem, ale w tym przypadku taka próba nie miała szans powodzenia. Ujął więc tylko dłoń chłopaka i mocno ją uściśnął.

– Nie cierpiała, Brad. Wszystko wydarzyło się naprawdę błyskawicznie.

– Dziękuję, panie Rook. Doceniam to, co pan powiedział. Chciałem spróbować wrócić do niej, wie pan? Chciałem ją o to spytać wczoraj rano.

– Rozumiem. Przykro mi.

– Straciłem ją, bo byłem durniem. Księciem durni! Dostrzegłem jednak światło... Niech pan nie pyta, jak to się stało, ale nagle rozejrzałem się i zrozumiałem, że byłem dupkiem. Nie tylko wobec niej, wobec wszystkich. Przyjaciół, rodziców, kolegów z drużyny. Było już jednak za późno, prawda? Za późno, by uratować Sarę.

– Nie bądź wobec siebie zbyt surowy – powtórzył Jim.

Brad wytarł oczy rękawem i ponownie pociągnął nosem. Jim zaczął szukać w kieszeni chusteczki higienicznej. Kiedy wyczuł kawałek miękkiego papieru, wyciągnął go i podał Bradowi.

– Chciałbyś wytrzeć nos?

Kiedy Brad dziwnie na niego popatrzył, do Jima dotarło, że podaje chłopakowi banknot pięciodolarowy.

– Hm... przepraszam, chyba pani Frogg będzie miała chusteczki.

Brad kiwnął głową.

– Pomaga pan policji, prawda? Chciałbym, aby pan wiedział, że jeżeli jest coś, w czym mógłbym pomóc... cokolwiek...

– Dziękuję, Brad. Będę o tym pamiętał.

– Gdybym mógł się zrewanżować za to, jak traktowałem Sarę... choćby trochę...

– Jasne – odparł Jim.

Klepnął Brada w plecy i ruszył w kierunku Drugiej Specjalnej. Z jakiegoś powodu miał wrażenie, że usłyszał coś ważnego. Zatrzymał się i zaczął nad tym zastanawiać, nie potrafił jednak określić, o co chodziło.

„Ujrzałem światło”. Tak powiedział Brad. Jak Szaweł, podążający do Damaszku. „Olśniła go nagle światłość z nieba”^{**} [* *Dzieje Apostolskie* 9, 3] – i nawrócił się.

Jim pomyślał o świetle, które błysnęło w jego salonie. Przypomniała mu się naga postać w holu wejściowym Benandanti Building. ŚWIATŁO CHWYTA DUSZĘ. Pomyślał o „zdjęciu” Bobby’ego i Sary, które pojawiło się na ścianie domu na plaży. Błysk. Zdjęcie. Zdjęcie w świetle lampy błyskowej.

Powiedziano mu coś tak głośno, a on nie mógł zrozumieć, co to takiego. Przypomniał sobie czasy swojej młodości, kiedy pasjonował się pływaniem pontonem po rwących górskich rzekach i instruktor ciągle wrzeszczał mu coś prosto w ucho. Problem polegał na tym, że zarówno wtedy, jak i teraz ani nie słyszał, co się do niego krzyczy, ani nie wiedział, co robić.

Sue-Marie Cassidy czekała przed klasą – w najkrótszej dzinsowej spódniczce, jaką Jim kiedykolwiek widział, szerokim białym skórzanym pasku i białych butach. Była jeszcze bardziej wymalowana niż zazwyczaj, a jej wargi wyglądały jak błyszczące, słodkie ciemnoczerwone czereśnie. Żuła wielką porcję gumy.

– Dzień dobry, panie Rook! – powiedziała, machając do niego. – Ma pan cudowny krawat!

Jim popatrzył na brązowo-srebrną płachtę, którą pożyczył po imprezie na zakończenie semestru od swojego greckiego przyjaciela Billa Babourisa jakieś pięć lat temu i nigdy nie oddał. Były na niej ruiny Akropolu, posąg Wenus z Milo i inne greckie zabytki.

– Naprawdę ci się podoba?

Sue-Marie złapała krawat i nieco go uniosła.

– Jest taki jak pan, panie Rook. Klasyczny...

– To bardzo miłe z twojej strony, Sue-Marie, ale ja nie cierpię tego krawata.

– O! To dlaczego pan go nosi?

– Ponieważ mój ulubiony, z motywem z obrazu Georges'a Braque'a, który uprawiał kubizm jeszcze przed Picassem i był jednym z najlepszych malarzy abstrakcyjnych, jest poplamiony sosem do spaghetti.

Zapadła cisza. Sue-Marie zamrugała raz, potem drugi i w końcu spytała:

– Czy ktoś by się poznał?

Jim wszedł do klasy i uniósł dłoń, aby uciszyć swoich uczniów, którzy jak zwykle ćwiczyli odbijanie piłki i rapowali.

– W porządku, siadajcie... Chcę was zawiadomić, że w środę rano na cmentarzu Rolling Hills odbędzie się pogrzeb Bobby'ego i Sary. Rozmawiałem z doktorem Ehrlichmanem i zgodził się zorganizować nam autobus. Nie znałem Bobby'ego i Sary, ale wiem, jak bardzo byli lubiani i jestem pewien, że wszyscy będziecie chcieli być na pogrzebie. Stroje są dowolne, ale mają wyrażać szacunek. Freddy... nie chcę cię tam widzieć w T-shircie, w którym byłeś wczoraj.

– To całkiem niewinna koszulka – zaprotestował Freddy. – Jest na nim tylko napis: PIWO W SALI, GRANIE W SALONIE.

– Myślisz, że urodziłem się dopiero wczoraj? Kiedy chodziłem do szkoły, oznaczało to:

CHLEJEMY OD FRONTU, W POKERA RŹNIEMY OD PODWÓRZA. Podejrzewam, że dziś oznacza to samo.

– Nigdy by mi to nie przyszło do głowy – mruknął Freddy. – Jestem zszokowany.

– Mogę się ubrać na biało? – spytała Ruby. – Biel to chiński kolor żałoby.

– Przecież nie jesteś Chinką – wtrącił George.

– Skąd wiesz, czy nie mam chińskich przodków?

– Bo jesteś stuprocentową Portorykanką. Nie mogłabyś udawać Chinki nawet w worku na głowie.

Jim zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła.

– Co udało wam się zdołać w sprawie dagerotypisty, Roberta H. Vane’a? Ktoś odkrył coś ciekawego?

Zapadła cisza. Niemal słysząc było szum fal w Malibu Beach, oddalonej od szkoły o piętnaście kilometrów.

– Pamiętacie w ogóle, o kogo chodzi? – zapytał Jim. Przez chwilę czekał na odpowiedź, ale uczniowie wpatrywali się w niego, jakby zapytał, co robili 27 sierpnia 1996 roku o godzinie 15.23.

– Co z wami? Ktoś coś znalazł?

W głębi klasy telefon komórkowy Philipa Genio zaczął grać melodyjkę z *The Benitched*.

Chłopak pospiesznie wyciągnął go z kieszeni i wyłączył, ale kilku kolegów natychmiast zaczęło nucić:

– Da-da! Ta-ra! Da-da-da-da ta-ra!

Jim popatrzył w podłogę pod swoimi stopami.

– Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że nikt z szesnastoosobowej klasy nie zdobył żadnej informacji o tym dagerotypiście!

Uczniowie Drugiej Specjalnej zaczęli szurać nogami, marszczyć czoła, drapać się po plecach i po karkach i robić dziwaczne miny. Jim przeszedł z jednej strony klasy na drugą, a potem wrócił do swojego stolika.

– Gdybym nigdy przedtem was nie widział... gdybym przed chwilą po raz pierwszy wszedł do tej klasy i popatrzył na wasze twarze, pomyślałbym, że właśnie zamierzacie powiedzieć coś naprawdę inteligentnego.

Podszedł do Roosevelta, stanął tuż przed nim i wbił w niego wzrok.

– Ale nic takiego nie powiecie, prawda? Tak naprawdę nie powiecie nawet nic głupiego, bo nikogo z was nie ruszyło. Nie zrozumieliście, o co proszę ani dlaczego, pomyśleliście więc: „E tam, po co mi to?”. Jeżeli tak myślicie, to mnie też nic nie obchodzi. E tam, po co mi to?

Wróciłem tu z nadzieją, że może czegoś mnie nauczycie, ale nauczyliście mnie tylko tego, że najlepiej mieć wszystko w nosie. „Kogo to obchodzi? Życie to tylko strata czasu, a na koniec i tak się umiera”.

Przerwał i rozejrzał się po klasie.

– Najwyraźniej nie zależy wam na sobie, miałem jednak nadzieję, że będzie wam zależać na mnie. Pomyliłem się jednak, prawda? Proponuję więc, żebyście wrócili do tego, co lubicie robić: piszcie SMS-y do przyjaciół, malujcie sobie paznokcie, czytajcie komiksy, bawcie się piłką.

I właśnie to będziecie robić aż do dnia, kiedy wreszcie będziecie gotowi opuścić szkołę i wyruszyć w świat jako profesjonalni wklepywacze tekstów, manikiurzystki, czytelnicy komiksów i odbijacze piłek... i niech Bóg ma w opiece wasze głupie dusze.

Jeden z uczniów powoli podniósł rękę. Był to Randy.

– Proszę pana... – zaczął.

– Tak, Randy? Jeżeli masz ochotę iść do toalety i zjeść po drodze dwa pączki, nie krępuj się.

– Nie chcę iść do toalety, proszę pana. – Chłopak popatrzył ze zmarszczonym czołem na leżący przed nim na ławce kawałek nierówno oddartej kartki. – Chciałem tylko powiedzieć, że Robert H. Vane urodził się w Bostonie, czwartego sierpnia tysiąc osiemset dwudziestego siódmego roku.

Klasa zamarła. Jim podszedł do Randy'ego i stanął przy nim.

– Mów dalej – powiedział cicho.

Randy przez chwilę się wahał, a potem wytarł nos grzbietem dłoni i zaczął czytać. Niektóre

zdania wypowiadał szybko, ale inne sprawiały mu trudności.

– „Rodzice Roberta Henry’ego Vane’a byli znanymi i szanowanymi obywatelami Bostonu, toteż jego przyjście na świat zostało odnotowane w »The Boston News-Letter«,,. Napisano w tej gazecie, że urodził się w czepek. Sprawdziłem to, proszę pana. Czepek to kawałek błony, którą niektóre dzieci mają na głowie zaraz po urodzeniu. To podobno znak, że zawsze będą miały szczęście.

– Gdzie się tego dowiedziałeś?

– Tutaj, proszę pana, w szkolnej bibliotece. Nie wiedziałem, że mają tam tyle książek. Mają książki o wszystkim! Nawet o tym, jak jeżozwierze odbywają seks.

– Dowiedziałeś się czegoś jeszcze?

– Tak, proszę pana. „Choć w czepek urodzony, Robert H. Vane nie miał w młodym wieku szczęścia. Jego ojciec był bogatym fabrykantem prochu strzelniczego i fajerwerków, a matka Włoszką, sądząc z portretów, bardzo ładną. Ojciec Roberta zginął w wyniku wybuchu w fabryce w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym roku, a matka tak się rozchorowała z żalu, że odesłała młodego Roberta do swoich rodziców, oni zaś oddali go do sierocińca”. – Randy podniósł wzrok. Ciężko dyszał z wysiłku, jaki włożył w czytanie. – W bibliotece jest o nim więcej, ale wypisał mi się długopis. Przepraszam.

– Przepraszasz? To było znakomite, Randy! Dokładnie tego rodzaju informacji szukałem.

Dlaczego milczałeś, gdy pytałem, czy ktoś coś znalazł?

Randy zaczerwienił się.

– Kiedy nikt nic nie powiedział... pomyślałem, że może jestem jedynym, który coś zrobił.

– I nie chciałeś, żeby reszta klasy uważała cię za lizusa?

Randy kiwnął głową i wbił wzrok w ławkę. Ale cała klasa milczała, nawet Cień. Jim rozejrzał się po klasie i nagle zauważył, że oczy niemal wszystkich uczniów błyszczą

z powstrzymanego podniecenia – jakby nie mogli się doczekać, kiedy będą mogli coś powiedzieć.

– No dobrze... czy ktoś jeszcze szukał jakichś informacji o tym człowieku? Sally, a ty?

Dziewczyna żuła gruby pęk własnych włosów i omal się nimi nie zadławiła, kiedy Jim się do niej zwrócił. Taki miała nawyk: prawie przez cały czas owijała włosy wokół palców albo je ssała.

– Trochę znalazłam – odparła, kiedy wypluła włosy.

– „Trochę” to lepiej niż nic. Podzielisz się tym z nami?

Sally otworzyła zeszyt i zaczęła czytać monotonnym głosem:

– „Robert H. Vane wędrował po Kalifornii od tysiąc osiemset pięćdziesiątego trzeciego do tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku, od Yosemite na północy po Mission Viejo na południu, robiąc dager-typowe zdjęcia krajobrazów, osad pionierów i kopalni złota. Wysyłał zdjęcia do Nowego Jorku, aby zachęcić ludzi do osiedlania się na Środkowym Zachodzie. Jego najślawniejsze dager-typy pokazywały auto... autocho...”.

Jim zajrzał jej przez ramię.

– Autochtonów. Tak nazywa się ludzi, którzy mieszkają w jakimś miejscu, zanim przybędzie tam ktoś inny. W tym akurat przypadku byli to Indianie. Czytaj dalej, Sally.

– To wszystko, bo w tym momencie wszedł mój brat i powiedział, że teraz jego kolej na siedzenie przed komputerem.

– Doskonale, Sally. Ale te zdjęcia to „da-ge-ro-ty-py”, nie dager-typy. Ktoś jeszcze?

Zgłosiła się Delilah.

– W starym czasopiśmie „Prawdziwe zbrodnie” znalazłam opowieść o mężczyźnie, który w październiku tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku został w San Diego aresztowany z powodu morderstwa. Jego nazwisko wypowiadało się trochę inaczej: V-A-I-N, ale też był fotografem, więc podejrzewam, że chodzi o tego samego człowieka.

– To bardzo interesujące. Kogo zabił?

Delilah zajrzała do komputerowego wydruku.

– Oskarżono go o zabicie Johna Philipa Stebbingsa, bogatego właściciela sklepu z Chicago, i jego żony Veroniki. Oboje spłonęli, kiedy dziewiątego września tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku spalił się ich dom. Pozostały po nich jedynie kości i obrączki ślubne.

– Mów dalej.

A więc zginęli tak samo jak Bobby i Sara, pomyślał Jim, nic jednak nie powiedział. Musiał to być zwykły zbieg okoliczności, zwłaszcza że nikt z klasy nie znał szczegółów śmierci Bobby’ego i Sary. Nie przekazano ich mediom, toteż poza policją i nim nikt ich nie znał.

Delilah przez chwilę szukała miejsca, w którym przerwała.

– O, jest! Pan Vain został aresztowany i oskarżony, ponieważ dwóch stajennych zeznało, iż widzieli go uciekającego z miejsca zdarzenia. Jedna z pokojówek Stebbingsów zeznała potem, że pan Vain w lecie tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku „składał wizyty” pani Stebbings. Podejrzewam, że wtedy oznaczało to, że mieli romans.

Jim skinął głową.

– Mogli mieć romans, zgadza się, ale nawet jeżeli ze sobą nie sypiali, w owych czasach nie uważano za właściwe, aby mężatka spotykała się z mężczyznami sam na sam.

– Słyszałeś, Cieniu?! – zawołała Vanilla. – Koniec ze spotkaniami sam na sam! To nieprzyzwoite!

Delilah znowu pochyliła się nad wydrukiem.

– Pokojówka zeznała, że pan Stebbings dowiedział się o przyjaźni żony z panem Vainem i kazał jej przestać się z nim widywać. Pana Vaina bardzo to rozzłościło i pokojówka uważała, że mógł podpalić ich dom z zemsty... z panem i panią Stebbings w środku.

– Skazano go? Dziewczyna pokręciła głową.

– Przedstawił świadków, którzy przysięgli, że kiedy wybuchł pożar, grał w karty u pana A.

T. Peeblesa, milionera produkującego artykuły metalowe. Szeryf stwierdził, że ponieważ stajenni byli Meksykanami, ich świadectwo jest z pewnością niezetelne, a dom Stebbingsów został trafiony przez „błądzącą błyskawicę”. Ich śmierć oficjalnie wpisano do ksiąg hrabstwa jako działanie siły wyższej.

– Wykonałaś kawał dobrej roboty – oświadczy! Jim. – To doskonale badanie historyczne.

Musimy jeszcze tylko sprawdzić, czy „pan Vain” to nasz „pan Vane”, choć jest to bardzo prawdopodobne. Zwłaszcza że Stebbingsowie zostali spaleni przez „błądzącą błyskawicę”...

Ponownie obszedł klasą.

– Ktoś coś jeszcze ma?

David dźgał powietrze palcem już od paru minut.

– Ja, proszę pana. Niech pan popatrzy: wydruki zdjęć zrobionych przez Roberta H. Vane’a.

Ściągnąłem je z Internetu.

– Muszę je zobaczyć – powiedział Jim. David podał mu cztery kartki, które Jim uniósł tak, aby wszyscy mogli je widzieć. – „Widok na Jezioro Berryessa”, tysiąc osiemset pięćdziesiąty pierwszy rok. Dość górzysta i bezludna okolica, prawda? Na pierwszym planie są dwie postacie w kapturach na głowach i kapeluszach... wyglądają jak pszczelarze. Ktoś ma pomysł, kim mogą być ci ludzie? „Portret wodza Daguénów Dwa Nosy, z czaszką dziadka”, tysiąc osiemset pięćdziesiąty drugi rok. Widzicie, dlaczego nazwano go Dwa Nosy? Nie wygląda na szczęśliwego. A to co? „Pogrzeb poszukiwacza złota Johna Keatinga”, Placerville tysiąc osiemset pięćdziesiąty czwarty rok... wraz z koniem, powozem i zespołem instrumentów dętych. A teraz popatrzcie na to! Autoportret, wykonany w tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym roku, w pracowni Vane’a w Los Muertes!

Po raz pierwszy ujrzał twarz człowieka, którego wizerunek wisiał nad kominkiem w jego

mieszkanu. Robert H. Vane ze skrzyżowanymi na piersiach rękami stał w kącie jakiegoś drewnianego budynku, w którego oknie wisiała do połowy zaciągnięta perkalowa zasłona. Był ubrany w czarny frak, a przy jego pasku zwisał długi łańcuszek od zegarka. Miał szczupłą, trupio bladą twarz i tak głęboko osadzone oczy, że wydawały się czarnymi dziurami. Patrzył prosto w obiektyw, jakby próbował zastraszyć każdego, kto ośmielił mu się przyglądać i zastanawiać, kim jest i co zrobił.

– To naprawdę paskudny typ – stwierdził George.

Jeżeli miałbym powiedzieć, kto moim zdaniem byłby zdolny do palenia ludzi, stawiałbym na niego, pomyślał Jim.

Rozdział 9

Inni uczniowie również znaleźli fragmenty dotyczące Roberta H. Vane'a, ale im więcej Jim się o nim dowiadywał, tym bardziej jego postać się rozmywała, bo żaden opis życia i działalności dagerotypisty się nie powtarzał. W kilku relacjach wspomniano o „ubranym na czarno osobniku, przypominającym grabarza”, a wielu spośród ludzi, którzy go widzieli, poczuło irracjonalny strach. Jedna z kobiet powiedziała: „po spotkaniu z nim miałam w nocy koszmarne sen, w którym moje usta wypełniały karaluchy”.

Robert H. Vane jeździł od osiedla do osiedla, fotografował rodziny farmerów, wesela i krajobrazy oraz wszelkie osobliwości, jakie zwróciły jego uwagę. Miał opinię człowieka dobrze sobie radzącego z kobietami, choć nigdy nie zrobił żadnej z nich więcej niż dwa, trzy zdjęcia i wszystko wskazywało na to, że podróżował sam.

Obok tych, którzy uważali go za „niepokojącego” i „złowrogię”, było wielu takich, dla których stanowił „światlistą inspirację”. Ojciec Juan Percz z misji Santa Juanita niedaleko San Diego napisał w swoim pamiętniku, że Robert H. Vane „zdawał się przynosić moc boskiego nawrócenia”. „Pan Vane odwiedził mnie i zrobił wiele dagerotypów miejscowym osadnikom

i ich rodzinom; zaobserwowałem, że po jego wizytach ci, którzy mu pozwali, sprawiali wrażenie niemal świętych, a wiele osób twierdziło, że bardzo poprawił się im charakter, jakby zabrano z nich wszystko, co było złe”.

Pinky odkryła, czym była tragedia Daguénów.

– Znalazłam to na stronie internetowej, zatytułowanej „Rdzenna ludność południowej Kalifornii w obrazach”, są tam zdjęcia wszystkich indiańskich plemion, które wyginęły. Niektóre przestały istnieć, zanim ktokolwiek zdążył je poznać, bo pierwsi badacze nowych terenów przynosili ze sobą choroby, takie jak grypa i tym podobne, na które Indianie nie byli odporni. Umierali więc jak... no wiecie... jak muchy. Na tej stronie są zdjęcia Indian Dagueno, zrobione przez Roberta H. Vane’a. Podobno zanim ich odwiedził, byli bardzo groźni, potem jednak stali się jednym z najbardziej przyjaznych plemion, jakie tam zamieszkiwały. Ale mniej więcej miesiąc później zaatakowali najbliższe osiedle białych i zabili wszystkich mieszkańców, sześćdziesiąt pięć osób – mężczyzn, kobiet i dzieci – po czym poobcinali im uszy, powrywali wnętrzności i tak dalej. Biali osadnicy zorganizowali oddział, pojechali do wioski Daguénów i wyrznęli całe plemię. Podobno Daguénowie nawet nie próbowali się bronić. To dziwne, prawda?

– Dziwne – przyznał Jim. – Bardzo dziwne.

A jeszcze dziwniejsze, że na znak żałoby po Daguénach Robert H. Vane zakrył głowę czarnym materiałem, pomyślał. Czyżby czuł się w jakimś stopniu odpowiedzialny za to, co się stało? Poza tym dlaczego się nie bronili?

„Wtajemniczej i wtajemniczej”, jak powiedziałyby Alicja* [*Chodzi tu oczywiście o bohaterkę *Alicji w krainie czarów* L. Carrolla.].

Philip dowiedział się, jakiego aparatu używał Robert H. Vane: dwóch drewnianych skrzynek, z których jedna mogła się przesuwac wewnątrz drugiej, ale techniczne szczegóły dotyczące

dagerotypów rozwiłła oczywiście Edward.

– Było to w tysiąc osiemset trzydziestym trzecim roku... – zaczął z emfazą. – We Francji.

– Doskonale – zachęcił go Jim. – W tysiąc osiemset trzydziestym trzecim roku, we Francji.

– Pokazywałem jedynie tło – oświadczył Edward. – A więc we Francji, w tysiąc osiemset trzydziestym trzecim roku, w nędznej pracowni, ogromnie utalentowany, acz mało znany artysta Louis Daguerre dokonał odkrycia, które miało zmienić świat.

– Jesteś jego rzecznikiem prasowym? – spytał Cień.

Edward zignorował tę uwagę i mówił dalej:

– Louis Daguerre odkrył, że pokrycie miedzianej płyty srebrem, a następnie wystawienie jej na działanie par jodu czyni ją wrażliwą na światło. Umieścił więc płytę wewnątrz ciemnego pudła, po czym pozwalał słońcu wpadać do środka przez kilka minut przez małą dziurkę. Następnie okadzał płytę parami rtęci, aby rtęć połączyła się ze srebrem. I jak myślicie, co się wtedy stało?

– Uduśił się? – zasugerował Randy.

– Nie... zrobił fotografię! Potem musiał już tylko powstrzymać blaknięcie obrazu utwaleniem go mocnym roztworem soli. W bardzo krótkim czasie metoda ta rozpowszechniła się na całym świecie i korzystano z niej aż do tysiąc osiemset osiemdziesiątego czwartego roku, kiedy to George Eastman wynalazł zwijaną błonę fotograficzną.

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdziła Brenda.

– To wcale nie takie trudne – wtrącił się Jim. – Wyobraź sobie lustro w zamkniętym pudełku. Robimy w pudełku dziurkę, aby do środka mogło wpaść słońce. W lustrze ukaże się obraz tego, co jest na zewnątrz, prawda? Louis Daguerre znalazł sposób na utwalenie tego odbicia na srebrze. Właśnie dlatego w początkach fotografii aparaty nazywano „pamiętającymi lustrami”.

– I dlatego wielu ludzi nie lubi, jak im się robi zdjęcia – dodał Edward.

– Jak to? – zdziwił się Jim.

– Przejrzałem różne okultystyczne materiały dotyczące dagerotypii. Niektórzy przesądni ludzie nie zgadzali się, aby robiono im zdjęcia, ponieważ płyty dagerotypowe były pokryte srebrem, a srebro jest tak czyste, że odbija całe zło, które tkwi w ludziach.

– Zło w ludziach? – zaprotestował Roosevelt. – Mów o sobie. Ja jestem tak cholernie dobry, że co dzień mam wspanialszą aurę.

– Każdy nosi w sobie zło – upierał się Edward. – Gdyby tak nie było, nie umielibyśmy dostrzec różnicy między dobrem a złem, prawda? Za każdym razem, kiedy patrzysz w lustro albo w błyszczącą srebrną tacę, widzisz spoglądające stamtąd na ciebie zło. Ale gdy tylko przestajesz patrzeć w lustro albo wypolerowaną srebrną tacę, twoje złe „ja” z powrotem łączy się z twoim dobrym „ja”. Przed chwilą było je widać, a teraz zniknęło. Jeżeli jednak twoje złe „ja” zostanie utrwalone jak na dagerotypie, będzie uwięzione w srebrze na zawsze.

– Dlaczego ludzie mieliby tego nie chcieć? – spytała Brenda. – Czy nie byłoby dobrze, gdyby zabrano z nas całe zło?

Edward pokręcił głową.

– Bez odrobiny zła w sobie nie przeżyłabyś nawet pięciu minut. Gdyby ktoś cię napadł, nie broniłabyś się, bo nie chciałabyś go zranić. Gdyby ktoś zabił twojego młodszego brata, wybaczyłabyś mu i nie zostałby ukarany. – Rozejrzał się po klasie, a kiedy znowu zaczął mówić, jego słowa brzmiały niemal kaznodziejsko: – Srebro jest tak czyste, że może wchłonać najczarniejszą część naszych dusz... Judasz zdradził Jezusa za trzydzieści srebrników. Wilkołaki można zabić tylko kulami ze srebra, ponieważ srebro wchłania całe ich włochate zło, pozostawiając jedynie niewłochatą, dobrą część.

Jim popatrzył na Edwarda i zmarszczył brwi.

– Skąd wytrzasnąłeś te wszystkie bzdury?

– Ze *Strefy mroku*. Z odcinka pod tytułem *Srebrna wykładzina*.

– I uważasz, że *Strefa mroku* jest rzetelnym źródłem informacji na temat mitów?

– Nie wiem, proszę pana, ale przecież wszystkie mity są czyimś tworem, prawda?

– Z tym się zgodzę, ale mit, stworzony przez telewizyjnego scenarzystę w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, nie ma tak silnego rezonansu społecznego jak mit, przekazywany z ust do ust od czasów biblijnych.

– Według mnie mit Edwarda o srebrze to prawda – oświadczyła Pinky. – Mnóstwo Indian na tych zdjęciach zakrywa twarz albo odwraca głowę. Dlaczego? Wiedzieli coś, o czym my nie wiemy albo zapomnieliśmy?

Kiedy Jim wychodził z klasy po drugiej lekcji, korytarzem przechodził Walter, niosąc cztery złożone krzesła.

– Panie Rook, właśnie zamierzałem zrobić sobie kawę – powiedział. – Przyłączy się pan?

– No... eee... oczywiście. Pomogę panu z tymi krzesłami.

Wyszli z głównego budynku i skierowali się ku sali gimnastycznej. „Biuro” dozorca mieściło się w maleńkim, przytulonym do ściany sali gimnastycznej budynekczku, pełnym środków czyszczących, szczotek i odkurzaczy, a także kawałków połamanych półek i szkolnych ławek.

Pośrodku tego bałaganu stało poobijane stare biurko, obrotowy fotel i wielka skórzana kanapa, z której wylaziła pomarańczowa gąbka.

Dozorca odstawił krzesła pod ścianę.

– Dziękuję za pomoc – powiedział. – Człowiek nie robi się młodszy i nie mogę już dźwigać jak kiedyś.

– To tak samo jak ja.

– Pan? Przed panem jeszcze wiele lat...

– Wiem. Nie latami się martwię, ale tym, w jaki sposób je przeżyję.

Walter otworzył puszkę z kawą i wsypał trzy szczodre porcje do szklanego dzbanka.

– Nie wierzę w filtrowanie – oświadczył. – Psuje cały smak.

Jim usiadł na kanapie. Wydała z siebie długi, pierdzący odgłos i opadła o ponad pół metra.

– Z tego, co słyszałem, panie Rook, miał pan ciężki okres.

– „Ciężki”? O, tak! Z pewnością można tak powiedzieć.

– Jak pan teraz sobie radzi?

– Bo ja wiem... Nie za dobrze. Wstaję rano, idę do szkoły, wracam do domu. Jeśli chcesz znać prawdę, to czuję się jak pęknięty dzbanek. Potrzebuję trochę superkleju do duszy.

Walter nalał wody do dzbanka. Całe pomieszczenie wypełnił mocny zapach arabiki.

– Potrzebuje pan kontaktu z ludźmi.

– Może. Pytanie tylko, czy oni potrzebują kontaktu ze mną. Nie sądzę, abym był teraz dobrym kompanem.

Walter otworzył szufladę biurka i wyjął z niej pomietą kopertę.

– Niech pan spojrzy na to, panie Rook. To fotografie z przyjęcia, które zrobiła mi rodzina po pogrzebie Glorii. Nie pomyślałby pan, że właśnie pochowałem żonę, jedyną kobietę, która coś dla mnie znaczyła, moją towarzyszkę życia. Wszyscy się śmieją, śpiewają i dobrze się bawią, a to dlatego, że mimo wszystkich trosk i strat życie jest szczęściem. Człowiek powinien cieszyć się tym, co ma, jak i zapomnieć o tym, co stracił.

Jim przejrzał zdjęcia. Walter miał rację. Wyglądało to nie na stypę, lecz na urodziny.

Urodziny. Koniec i jednocześnie nowy początek.

– Rzeczywiście są bardzo... pogodne.

Kiedy oddawał Walterowi kopertę, na podłogę wypadły negatywy.

– Przepraszani... sekundę, zaraz je pozbieram... Podniósł negatywy i zaczął je układać.

Uniósł jeden do światła, by sprawdzić, czy jest ułożony w odpowiednim kierunku. Był na nim

Walter, obejmujący ramieniem jedną z sióstr. Walter z białą twarzą i czarnymi włosami.

Jim wsunął negatywy do koperty. Biała twarz. Czarne włosy. Przypomniawszy sobie człowieka, którego widział pod domkiem Tubbsów na plaży w dniu, kiedy spłonęli Bobby i Sara – człowieka o czarnej twarzy i białych włosach.

– Wszystko w porządku, panie Rook? Może ciastko z czekoladą?

– Nie, dziękuję. Kawa wystarczy.

– Niech pan przemyśli moje słowa. Trzeba cieszyć się z tego, co się ma, i zapomnieć o tym, co się straciło. Inaczej człowiek będzie cierpieć do końca życia.

Zanim Jim skończył poprawiać zeszyty i zaplanował zajęcia na następny dzień, zrobiło się wpół do ósmej. Niebo było bezchmurne i czyste, jeśli nie liczyć różowej smugi kondensacyjnej, która powoli wyginała się w znak zapytania. Z południowego zachodu wiał ciepły wiaterek.

Kiedy Jim przeszedł pół parkingu, usłyszał, że ktoś go woła.

Zatrzymał się i odwrócił, osłaniając oczy przed słońcem. W jego stronę szła Karen z naręczem książek. Miała na sobie bluzkę w kwiaty i skromną niebieską spódnicę i wyglądała tak samo jak kilka lat temu, kiedy uświadomił sobie, że ją kocha.

– Unikasz mnie – powiedziała z uśmiechem.

– Nie unikam cię. Miałem tylko masę rzeczy do nadrobienia.

– Oczywiście... – mruknęła z sarkazmem. – No i co? Dobrze jest wrócić?

Uniósł brwi i wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że jeszcze nie wie. Patrzyła na niego, uśmiechając się przez cały czas.

– Vinnie mówił mi, że wprowadziłeś się do mieszkania jego zmarłego stryja.

– Zgadza się. W budynku Benandantich, w Venice. Jest tam zupełnie jak u Allana Edgara

Poe. Jak w *Upadku domu Usherów*, tyle że jeszcze bardziej upiornie. Powinnaś zobaczyć to mieszkanie.

– A Tibbles? Ciągłe masz tego nawiedzonego kota?

– Tak, mam.

Zapadła długa chwila ciszy. Jim uświadomił sobie, że pociąga się za ucho, co było u niego oznaką napięcia. Natychmiast przestał i zamachał ręką, jakby chciał powiedzieć: „Samo życie, co na to poradzimy?”.

– Słyszałam o tym, co się stało w Waszyngtonie – powiedziała Karen. – No, może nie znam wszystkich szczegółów...

– To było tragiczne. – Jim nie miał ochoty mówić więcej na ten temat. Czasami lepiej zostawić sprawy na jakiś czas samym sobie, pozwolić im się ułożyć. Miał wrażenie, jakby przez ułamek sekundy znowu słyszał przeraźliwy wrzask i widział tryskającą krew.

– Będziesz na pogrzebie Bobby’ego Tubbsa i Sary Miller? – spytała Karen.

Skinął głową.

– Może moglibyśmy iść razem... jeśli nie miałbyś nic przeciwko temu.

– Byłoby miło. A co z Perrym?

– Z Perrym? – powtórzyła Karen, jakby nie bardzo rozumiała, co Jim ma na myśli. – Mówisz o Perrym Rittsie? Co ma z nim być?

– Nie widzisz się z nim?

Karen roześmiała się swoim głośnym, krótkim śmiechem, przypominającym brzęk pękającej okiennej szyby.

– Miałam nadzieję, że wyżej mnie cenisz!

– Oczywiście, jak najbardziej, ale widziałem was wczoraj razem, a Perry miał tak rozognione oczy i tak napuszczony ogon, że myślałem...

Karen odgarnęła włosy z czoła.

– Wiem, co pomyślałeś, Jim. Nie musisz kończyć – powiedziała.

Stał bez ruchu, przez cały czas osłaniając dłonią oczy. ŚWIATŁO CHWYTA DUSZĘ. Karen podeszła, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

– Co to był za wiersz, którego fragmenty stale mi cytowałeś?

Wiedział, co ma na myśli, nie odzywał się jednak, by sprawdzić, czy Karen pamięta te fragmenty.

– „Któż może być płomieniem oraz ćmą?” – szepnęła w końcu.

– „Kogo wolno nam kochać? – dodał Jim. – Prawdę że znam, sądziłem. Choć z żalu już umarłem, o mojej śmierci jeszcze nie wie nikt”.

Karen popatrzyła na niego poważnie.

– Jeszcze nie umarłeś, Jim. Ani z żalu, ani z czegokolwiek innego. Powrót to nie wstyd.

Czasem musimy wrócić, aby przypomnieć sobie, kim jesteśmy i dlaczego ludzie nas kochali.

Na kolację zrobił sobie spaghetti po bolońsku. Uważał się za eksperta w tym zakresie – zawsze dodawał mnóstwo sosu Worcestershire i tabasco, kilka łyżek mieszanych ziół i tyle czarnego pieprzu, ile wysypywało się z młynka po pięćdziesięciu pięciu obrotach, po czym dusił wszystko przez 45 minut z dwoma szklankami mocnego włoskiego czerwonego wina. Ponieważ Tibbles nie była zwolenniczką tabasco, dał jej miskę surowej mielonej wołowiny z kocimi ciasteczkami. Zaczynało jej odrastać futro, ale wyglądała jeszcze gorzej.

Kiedy skończył jeść, poszedł do salonu i włączył telewizję. Nie miał ochoty oglądać *CSI*, *Prawa i porządku* ani *Strefy śmierci*, na szczęście znalazł na Discovery stary film o człowieku, który na początku XX wieku wędrował przez Amerykę, odwiedzając wesole miasteczka i sporządzając spis ludzi-dziwolągów, na których się natknął.

„Spotkał kobietę pawiana, zwaną Włochatą Mary, człowieka ropuchę i chłopca bez mózgu, który podświetlał sobie mocnym światłem na czaszkę i pokazywał, że w jego głowie jest pusto. Jedną z najdziwniejszych postaci był człowiek negatyw, który jeździł po Illinois, Idaho i innych

stanach Środkowego Zachodu z trupą Forepaugh'a i braci Sellsów* [* *Adam Forepaugh and Sells Brothers*, powstały w 1896 roku słynny amerykański cyrk.]. Z powodu ogromnej wrażliwości na światło musiał on w ciągu dnia zakrywać sobie głowę materiałem, a namiot, w którym można go było oglądać, był oświetlony czerwoną żarówką jak fotograficzna ciemnia. Kiedy zdejmował materiał z głowy, co robił za opłatą dwudziestu pięciu centów, widz mógł obejrzeć jego całkowicie czarną twarz z białymi oczami jak na negatywie fotograficznym.

Człowiek ten został aresztowany w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku po serii podpałek w Indianie, w których zginęło siedem osób. Uciekł jednak z aresztu w Crawfordsville i nigdy więcej go nie widziano ani o nim nie słyszano”.

Jim popatrzył na obraz przedstawiający Roberta H. Vane'a. Może dagerotypista wcale nie był w żałobie, może z jakiegoś powodu ukrywał twarz? Może bał się wystawiać ją na światło dzienne?

Wyłączył telewizor i postanowił, że jutro z samego rana zabierze obraz na dół i odtransportuje go do domu aukcyjnego. Gdyby malowidło było jego własnością, wywiózłby je na najbliższy kawałek wolnej ziemi i spalił.

Czy śmierć Bobby'ego i Sary mogła być w jakiś sposób związana z jego wprowadzeniem się do Benandanti Building? Głównym podejrzanym był mężczyzna o czarnej twarzy i białych włosach, wyglądający jak negatyw fotograficzny, a w nowym mieszkaniu Jima wisiał portret Roberta H. Vane'a, który nie tylko spędził życie na tworzeniu negatywów, ale był także oskarżany o spalanie ludzi na popiół. Tak właśnie przecież zginęli Bobby i Sara.

Jaki związek z tą sprawą miał błysk jaskrawego światła, powstałe na ścianie „fotografie” Bobby'ego i Sary i sposób, w jaki zapaliła się Tibbles? Co z dagerotypami, które robił Robert H. Vane, plemieniem Daguenów i człowiekiem negatywem? Co z dziwnym cieniem, który przesuwiał się po zasłonie?

Nie istniało żadne logiczne wyjaśnienie, w jaki sposób te wydarzenia mogły być ze sobą powiązane. Robert H. Vane żył ponad sto pięćdziesiąt lat temu, a człowiek negatyw uciekł z rąk sprawiedliwości niemal sto lat temu, więc i jego od dawna nie było na świecie.

Polowa odkryć jego uczniów była historycznymi opowieściami, a połowa psychotronicznym bełkotem, wszystko zaś sprawiało wrażenie przypadkowego nagromadzenia oderwanych od siebie wydarzeń. Mimo to Jim przypuszczał, że poszczególne fragmenty tych informacji mogą być ze sobą powiązane. Czuł się jak siedzący w ciemnym pomieszczeniu człowiek, który dostaje od kogoś pojedyncze kawałki popękanego wazonu i ma poskładać go do kupy. Pytanie brzmiało: kto daje mu te kawałki i po co? I dlaczego właśnie jemu?

Wziął prysznic, wytarł się i włożył szorty oraz wyblakły jasnobrązowy T-shirt z wizerunkiem Charlesa Dickensa, który dostał od Karen kilka lat temu. Włożenie go akurat dzisiaj, po spotkaniu z nią, wydało mu się szczególnie odpowiednie.

Usiadł na łóżku i przez chwilę czytał książkę podróżniczą o Afryce Północnej. Ponieważ była napisana bardzo kojącym i hipnotyzującym językiem, nie udało mu się jeszcze dobrnąć do końca drugiego rozdziału, ale właśnie dlatego ją czytał. Pod ciemnobłękitnym niebem Sudanu mógł zapomnieć o Drugiej Specjalnej, o tym, co mu się przytrafiło w Waszyngtonie, i o obrazie przedstawiającym Roberta H. Vane'a.

„Daleko, daleko na południu leży rozległa sawanna, migotliwa trawiasta równina, na której urodziwi i pełni godności nadzy czarni mężczyźni pasą bydło o rogach w kształcie liry. Po równinie niesie się łoskot bębnów, a przez dżunglę płyną szerokie i leniwe, lecz niebezpieczne rzeki, którymi można popłynąć prosto do morza”.

Jim zapadł w drzemkę i książka powoli wysunęła mu się z ręki. Ale już po niecałych dziesięciu minutach coś go obudziło. Rozejrzył się, mrugając gwałtownie. Tibbles usiadła tuż obok i głośno pomrukiwała. Zegar na nocnym stoliku wskazywał 00:03.

Leżał na łóżku i nasłuchiwał, lecz poza cichym trzaskaniem klimatyzatora i dochodzącego z LAX cichego dudnienia startujących samolotów w mieszkaniu było zupełnie cicho. Po chwili jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć na ulicy: „Oszalałeś, wiesz o tym?! Kompletnie postradałeś zmysły!”.

Jim zgasił lampkę nocną i zamknął oczy. Migotliwa trawiasta równina wokół niego cicho szeptała, wiał północny wiatr. Jim niemal słyszał szarpiące trawę bydło.

Nagle coś ponownie wyrwało go ze snu. W salonie rozległo się ciężkie tąpnięcie, a po nim szybki stukot. Na chwilę zapadła cisza, po której znów dał się słyszeć charakterystyczny stukot, jakby ktoś próbował wymacywać drogę w ciemnym pomieszczeniu za pomocą laski.

Jim usiadł. Do stukotu dołączyły metaliczne kliknięcia.

– Słyszę cię! – zawołał Jim i zapalił nocną lampkę. – Kimkolwiek jesteś, lepiej się stąd wynoś, i to szybko!

Spuścił nogi na podłogę i zaczął macać pod łóżkiem w poszukiwaniu kija bejsbolowego.

Miał nadzieję, że intruz nie przyniósł ze sobą broni palnej. Nie chciał, aby doszło do zbyt ostrej konfrontacji. W końcu nic w tym mieszkaniu do niego nie należało, a kilka sztuk cudzej porcelany ze sklepu ze starociami nie było wartych śmierci.

Wstał i ruszył, uderzając kijem we wnętrze dłoni. Kiedy obchodził łóżko, drzwi do sypialni otworzyły się z taką gwałtownością, że niemal zostały wyrwane z zawiasów. Do środka weszła postać niepodobna do niczego, co Jim kiedykolwiek widział w życiu albo miał odwagę sobie wyobrazić. Wrzasnął z przerażenia.

Postać niemal dotykała sufitu. Wyglądała jak gigantyczny pająk – długonogi i pokraczny.

Miała trzy mahoniowe nogi, jak staromodne fotograficzne trójnogi, czarny korpus – zgarbiony korpus kogoś o zdeformowanym tułowi – a na głowie czarny materiał. Cień, jaki rzucała na ścianę, był przerażający – koszmarna gmatwanina szczudeł, podpórek i fałd czarnego materiału.

Jim zatoczył się do tyłu i zderzył z nocną szafką tak mocno, że stojący na niej zegarek spadł na podłogę. Trójnogopająk zrobił kolejny krok, tak niepewny, że cała konstrukcja niemal straciła równowagę, potem jeszcze jeden. Po chwili wydał z siebie metaliczny skrzek: Kerr-czikk!
Kerr-czikk!

W tym momencie obudziła się Tibbles i zaczęła wrzeszczeć jak śmiertelnie przerażone dziecko.

Rozdział 10

Jim oparł się plecami o ścianę. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi, ale dziwny stwór był faktem – wznosił się nad nim, a jego nogi ślizgały się po polerowanej podłodze jak kopyta konia, próbującego złapać równowagę na pokrytej lodem ulicy. Czarny korpus niepewnie chygotał się z boku na bok, jakby za chwilę miał się zwalić na Jima. Wydobywający się z niego smród chemikaliów sprawiał, że Jimowi łzawiły oczy i czuł się, jakby napchano mu do zatok szpilek. Cofnął się do okna. Niemal do niego doszedł, kiedy stwór ruszył na niego, przy każdym ruchu skrzypiąc ruchomymi elementami. Jim mocniej ścisnął kij bejsbolowy. Nie miał pojęcia, czy kij uczyni zjawie jakąkolwiek krzywdę, ale zawsze można było spróbować. Jej nogi wyglądały niepewnie, miała także najwyraźniej problem z utrzymaniem równowagi. Odsunął zakurzone aksamitne zasłony i schował się we wnęce okiennej. Stwór zrobił kolejny klekoczący krok, po czym stanął. Jim słyszał jego oddech – świszczący i chrapliwy, jaki często miewają starzy ludzie. Co kilka oddechów sapaniu towarzyszyło powolne, mechaniczne „kerr-czikk”.

Jimowi pozostawała tylko jedna droga ucieczki – musiał przemknąć między nogami stwora i dostać się do drzwi. Tibbles będzie musiała radzić sobie sama. Widział, jak kuli się pod łóżkiem, i uznał, że to dla niej prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsce.

Ostrożnie wysunął się z wnęki okiennej, ważąc w rękach kij.

– No dobrze, kimkolwiek jesteś... zobaczmy, z czego jesteś zrobiony...

Zamachnął się kijem, jakby zamierzał uderzyć stwora w jedno z „kolan”. Spojrzał w górę, by

sprawdzić, czy stwór zareaguje, ale nad sobą widział tylko postrzępiony czarny płaszcz i czarny, zakrywający górne partie aparostwora materiał. Pod materiałem było jeszcze ciemniej. Ciemno jak w piwnicy z węglem. Jak w najgorszym koszmarze nocnym.

Czuł w uszach pulsowanie krwi. Zrobił kolejny krok naprzód i jeszcze wyżej uniósł kij.

– Słyszysz mnie?! – krzyknął. – Wychodzę stąd i nic mnie nie zatrzyma!

Stwór zawahał się, po czym zrobił krok wstecz. Jim natychmiast skoczył w bok i zaczął się toczyć po podłodze.

Zrobił jeden obrót, potem drugi, dysząc ze strachu i wysiłku. Przy trzecim obrocie stopa zaplątała mu się w przewód nocnej lampki i kiedy go pociągnął, wyrwał wtyczkę z kontaktu.

W pomieszczeniu zapanowały nieprzeniknione ciemności.

Jim wstał z trudem. Machając wściekle ramionami i ciągnąc za sobą lampkę, ruszył na ślepo w kierunku drzwi.

Kiedy do nich dotarł, ciemność rozświetlił jaskrawy błysk, tak jasny, że Jim miał wrażenie, iż cały świat wywrócił się na nice. Przez ułamek sekundy widział stojącą przy łóżku postać – materiał na wysokości jej „głowy” był nieco uniesiony i choć nie było widać nic poza niewyraźnymi cieniami, Jimowi zdawało się, że dostrzegł twarz. Była to trupio blada twarz z wielkim pojedynczym okiem. Twarz niewyobrażalnie zła, przypominająca jadowitego pająka.

Twarz Roberta H. Vane’a.

Zaraz potem pokój rozjaśnił następny błysk – jeszcze jaskrawszy od poprzedniego.

Towarzyszyła mu fala takiego gorąca, że skóra na policzku Jima została przysmażona, a farba na drzwiach tuż obok jego głowy dostała bąbli. Łóżko zapaliło się tak błyskawicznie, jakby oblano je benzyną, i po chwili całe pomieszczenie wypełniło się płomieniami, iskrami i duszącym dymem. Jim widział niewiele więcej poza czerwonymi i pomarańczowymi plamami, udało mu się jednak dostrzec Tibbles, która uciekała w takiej panice, jakby goniły ją wszystkie demony

świata.

Aparatostwór szedł niepewnym krokiem w jego stronę w tańczącym, oślepiającym świetle płonącego łóżka. Jim znieruchomiał, nie mogąc się zdecydować, czy powinien atakować, czy uciekać. Kiedy stwór ponownie zaczął nieporadnie unosić materiał wokół „głowy”, Jim ruszył za Tibbles, wyskoczył z sypialni i zatrzasnął drzwi za sobą.

– Szybko, wiejmy stąd! – krzyknął do kotki i potykając się o stertę butów stryja Vinniego, wybiegli na korytarz.

Tibbles ruszyła do windy, ale Jim ją zatrzymał.

– Zaczekaj! Zadzwoń pod dziewięćset jedenaście, bo cały budynek spłonie!

Odwrócił się, zamierzając wrócić do mieszkania, zanim jednak zdążył dotknąć klamki, drzwi wejściowe zatrzasnęły się.

– Cholera, Tibbles! Mogłabyś chwilę poczekać?! Nie mogę zostawić palącego się mieszkania! – Przeszedł przez korytarz i zaczął naciskać dzwonek przy drzwiach Eleanor. Nie było żadnej reakcji, więc kilka razy walnął w dzwonek pięścią. – Eleanor! Muszę skorzystać z twojego telefonu! Eleanor! Moje mieszkanie się pali!

Po chwili zaczęły szczekać otwierane zamki, zdejmowane łańcuchy i odsuwane zasuwki.

Wreszcie stanęła przed nim zaspana Eleanor. Miała na sobie błyszczący czarny satynowy szlafrok i czarną chustę na głowie, a jej twarz pokrywała gruba warstwa białego kremu.

– Przepraszam bardzo, ale muszę skorzystać z twojego telefonu. Zapaliło się moje łóżko.

Eleanor otworzyła szerzej drzwi i wskazała mu antyczny aparat telefoniczny na stoliku.

– Zapaliło się twoje łóżko? Powinieneś wiedzieć, że w tym budynku nie wolno palić.

– Nie paliłem. – Jim podniósł słuchawkę i wykręcił 911. – Coś weszło do mojego pokoju...

jakiś stwór. Wygląda jak Robert H. Vane połączony z trójnogiem fotograficznym.

– Co takiego? O czym ty mówisz?

– Straż pożarna? Chciałem zgłosić pożar. Benandanti Building, czwarte piętro. W moim mieszkaniu wybuchł pożar. Nie wiem. Drzwi są zamknięte i nie mogę wejść do środka.

Podał nazwisko i numer telefonu, po czym odłożył słuchawkę.

– Mam klucz do twojego mieszkania – powiedziała Eleanor. – Dał mi go pan Boschetto, na wypadek, gdybym musiała wpuścić kogoś podczas jego nieobecności.

– To świetnie. W głębi korytarza jest gaśnica. Może uda mi się za jej pomocą zgasić pożar.

Pobiegł po gaśnicę, a Eleanor poszła szukać klucza. Kiedy wrócił, wkładała go właśnie w zamek. Ze szpary pod drzwiami wydobywał się dym, w powietrzu unosił się swąd spalenizny.

– Ostrożnie – ostrzegł Eleanor Jim. – To coś jest jeszcze w środku.

Popatrzyła na niego pytająco.

– Wiesz, co to takiego?

– Wygląda jak człowiek na szczudłach, tyle że mocno zgarbiony. W pewnym momencie błysnęło... to był bardzo silny błysk... i chyba ujrzałem wtedy twarz. Jednemu z moich uczniów udało się znaleźć zdjęcie Roberta H. Vane'a i przyniósł je dziś do klasy... to, co ujrzałem, wyglądało dokładnie tak samo.

– To znaczy, że przyszedł po ciebie – stwierdziła Eleanor. – Znalazł cię, zanim ty zacząłeś szukać jego.

– Więc mi wierzysz?

– Oczywiście, że ci wierzę. A jak myślisz, przed czym ostrzegały mnie te dwie zjawy?

Jim wyciągnął z gaśnicy zawleczkę zabezpieczającą i ostrożnie dotknął palcem klamki, by sprawdzić, czy jest gorąca. Była dość chłodna, ale dla pewności przycisnął wewnątrz dłoni do drzwi. Widział zbyt wiele filmów, w których nieostrożni ludzie gwałtownie otwierali drzwi płonących budynków i – WZIUUUMMM! – natychmiast sami stawali w płomieniach.

Delikatnie pchnął drzwi. Wszędzie było pełno dymu, nie widział jednak płomieni ani

aparatoswora. Obraz przedstawiający Roberta H. Vane'a nadal wisiał nad kominkiem, choć Jim mógłby przysiąc, że jest nieco przekrzywiony. Eleanor stała tuż za Jimem.

– Nie mówiłam ci? Jest w obrazie. Ale wcześniej się z niego wydostał.

Jim przypomniał sobie tąpnięcia, które słyszał, i klekot, przypominający stukot lasek.

Przecież to niemożliwe. Ludzie nie wychodzą z obrazów. Tylko wobec tego co zjawilo się w jego sypialni? Co podpałilo mu łozko?

Wlaczyl swiatlo w korytarzyku między salonem i sypialnią. Drzwi do sypialni byly przez cały czas zamknięte, możliwe więc, że aparatoswór wciąż znajdował się w środku i czekał na niego. Popatrzył na Eleanor, która szybko powiedziała:

– To zależy tylko od ciebie. Możesz zaczekać na strażaków albo stanąć z tym twarzą w twarz.

– Co zamierzasz powiedzieć? Że chcę czy nie, muszę zacząć ścigać tego stwora? Że nie mam wyboru?

– Chyba nie masz. Kiedy zwierzyna zaczyna ścigać ścigającego, pozostają mu tylko dwie możliwości: musi zabić albo sam zostanie zabity.

Jim ostrożnie dotknął klamki. Była gorąca, ale nie parzyła. Nasłuchiwał przez chwilę – wydawało mu się, że słyszy ciche trzaski, ale to było wszystko.

– No dobrze – mruknął i pchnął drzwi sypialni.

W środku kłębił się gęsty brązowy dym, przez który ledwie dało się cokolwiek zobaczyć.

Płomienie zgasły, ale materac spłonął doszczętnie, zostały tylko same sprężyny. Drewniane wezłowie łozka było nadpalone, jasnozielona tapeta pokryła się cienką warstwą tłustego osadu, a pajęczyny zwisały z żyrandola jak długie czarne chorągwie.

Aparatoswór zniknął. Jim podszedł do okna, było jednak zamknięte i zaryglowane, a za zasłonami nic się nie ukrywało. Zajrzał pod łozko, ale i tam niczego nie znalazł.

– No cóż... nie mam pojęcia, skąd to monstrum się zjawiało, i nie wiem, dokąd poszło, ale najwyraźniej już go tu nie ma.

– Jeżeli wyszło z obrazu, może tam powróciło.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Jeżeli rzeczywiście widziałeś stwora, o którym mówiłeś, w co innego mam wierzyć?

– Nie mam pojęcia. Nic z tego nie rozumiem. Wszędzie natykam się na informacje o fotografiach, negatywach i spalonych ludziach. Kiedy włączyłem telewizję, trafiłem na film o człowieku negatywie, który miał czarną twarz i białe włosy i podobno palił ludzi żywcem. Informacje pochodzą z różnych czasów, z różnych miejsc i z różnych źródeł... niby nic ich ze sobą nie łączy, ale wszystkie... – urwał i splótł palce.

W drzwiach pojawiło się dwóch strażaków z siekierami w rękach – ich wodoodporne kurtki szeleściły, a buciory zdawały się chlupotać. Tuż za nimi zjawił się dozorca, pan Mariti –

z błyszczącymi

czarnymi

włosami

i starannie

przystrzyżonymi

wąsikami,

ubrany

w rdzawobrazowy satynowy szlafrok.

– Panie Cook... Pan wzywał straż?

– Rook, nie Cook. Tak... zapalił się mój materac. Ale już po strachu, ogień zgasł.

Strażacy przyjrzeni się spalonemu materacowi i kilka razy dziabnęli go dla pewności siekierami.

– Dobrze go pan ugotował, panie Rook. Zabierzemy resztki i wyrzucimy je. Co pan robił?

Palił pan w łóżku?

– Eee... nie.

– Musimy sporządzić raport. Na wypadek, gdyby zostały złamane przepisy budowlane... wie pan, dotyczące instalacji elektrycznej, wentylacji...

– Ten budynek jest stuprocentowo bezpieczny! – zaprotestował gwałtownie pan Mariti. –

Nie, dwustuprocentowo!

– Zapaliłem świecę – powiedział Jim. – Musiała się przewrócić. Poszedłem do kuchni i kiedy wróciłem, łóżko się paliło.

– Zapalił pan świecę?

– Tak. Wotywną. Dla świętej Agnieszki.

– Co to za święta? – spytał jeden ze strażaków. – Patronka podpalaczy?

– Raczej palantów – mruknął drugi.

Gdy strażacy wyszli, Jim pootwierał okna, aby wypuścić dym.

– Muszę to zgłosić – oświadczył pan Mariti. – Do ubezpieczenia przeciwpożarowego.

– Proszę pana, to był wypadek. Więcej nic takiego się nie zdarzy.

– No, nie wiem...

– Porozmawiamy o tym rano, dobrze? Jestem pewien, że da się coś wymyślić.

Pan Mariti natychmiast zrozumiał, co Jim chce przez to powiedzieć.

– Też tak sędzę – odparł. – W końcu to tylko trochę dymu. Stówa powinna pokryć straty.

Jim poczekał, aż dozorca wyjdzie.

– Krwiopijca – mruknął, kiedy drzwi się zamknęły.

– Co teraz zamierzasz,? – spytała Eleanor.

– Na początek chcę pozbyć się obrazu. Dziś miałem szczęście, ale jutro mogę zostać

upieczony.

– Nie sądzę, aby to załatwiło sprawę. Nawet gdybyś go spalił... Duch Vane'a mógłby wtedy znaleźć sobie inną kryjówkę. Może inny obraz.

– Trudno, zaryzykuję.

Eleanor podeszła bliżej, polizała czubek palca i starła Jimowi z policzka smugę sadzy. Był to zaskakująco intymny gest – takie rzeczy robią tylko matki swoim dzieciom albo kobiety kochankom.

– Jesteś bohaterem, błędnym rycerzem, który musi zabić smoka – szepnęła. – Nikt inny tego nie dokona.

– Nie rozumiem...

– Wkrótce zrozumiesz, obiecuję ci.

Pocałowała go delikatnie w usta, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Kiedy szła, gapił się na nią jak cielę, widział, jak jedwabisty materiał czarnego szlafroka przesuwa się po jej pośladkach. Potem wbił wzrok w brązową statuetkę Pana, tańczącego i grającego na fletni na jednym ze stolików.

– Co o tym sądzisz, Panie? To oferta czy nie?

Po chwili wróciła Tibbles i popatrzyła na Jima z zazdrością.

Na resztę nocy Jim zostawił okna szeroko otwarte. Kiedy wzeszło słońce i ozłociło kurz na zasłonach salonu, już prawie nie czuć było dymu. Jim usiadł, przeciągnął się i głośno ziewnął. Spędził noc przed kominkiem w przypominającym tron fotelu i miał wrażenie, jakby jego kark i kolana przez cały czas trzymano w imadłach. Mógł spać w drugiej sypialni, ale wielka różowa kołdra na tamtejszym łóżku była wilgotna i dziwnie pachniała. Przede wszystkim jednak chciał pilnować obrazu z Robertem H. Vane'em.

Poczłapał do łazienki i popatrzył na siebie w lustrze. W zielonkawym świetle nikt nie mógł

wyglądać dobrze, teraz jednak Jim sprawiał wrażenie, jakby przeleżał tydzień w stawie. Opryskał twarz zimną wodą i zmoczył włosy, aby dały się jako tako uczesać.

– Jesteś błędnym rycerzem – powiedział do swojego odbicia w lustrze. – Jesteś bohaterem.

Tylko ty możesz zabić smoka... czyli tego aparatostwora.

„Tracisz rozum, stary”, stwierdziło jego odbicie.

– Naprawdę? – wycedził Jim. – Popatrz na łóżko. Chcesz mi wmówić, że to nie miało miejsca?

„Nie chcę, ale to wcale nie znaczy, że musisz się w to mieszać. Na twoim miejscu jak najszybciej poszukałbym sobie innego mieszkania”.

– Ale to mi się podoba. Jest świetne. Wielkie i tanie. Wyszedł z łazienki i poszedł do kuchni.

Otworzył lodówkę i wyjął duże opakowanie soku pomarańczowego. Zaczął pić prosto z kartonu i po chwili wypił połowę.

– Przepraszam, panie Dickens – powiedział, ścierając ściereczką plamę z koszulki.

„Przepraszasz nadruk na T-shircie?”.

– Dostałem go od Karen.

„Rozumiem. Dlatego nie możesz oderwać oczu od tyłka Eleanor?”.

– Jest atrakcyjna. Co w tym złego?

„To dlaczego próbuje cię wrobić w ten interes z błędnym rycerzem? Co tu się właściwie dzieje? Naprawdę sądzisz, że znalazłeś się w tym mieszkaniu przypadkiem?”.

– O czym ty gadasz? Stryj Vinniego zmarł i Vinnie potrzebował lokatora. Nie mógł tego zaplanować.

„Ale Bobby i Sara... sposób, w jaki zginęli... Zostali skremowani w łóżku. A co stało się z twoim łóżkiem wczoraj w nocy? Gdybyś się nie obudził, też zostałbyś skremowany. Jim, otrząśnij się!”.

Włączył czajnik, aby zrobić sobie kawę. Oczywiście. Musi się dowiedzieć, co się właściwie dzieje. Zawiezie obraz do Julii Fox, do domu aukcyjnego, a potem porozmawia z Vinniem – no i z porucznikiem Harrisem. Najwyższy czas się dowiedzieć, jaki wazon ma poskładać do kupy, kto daje mu do ręki jego kawałeczki i dlaczego.

Zadzwonił do drzwi znajdującego się w suterenie mieszkania pana Maritego. Nie było reakcji, ze środka dolatywały jednak dźwięki muzyki klasycznej – z *Rusłana i Ludmiły* Michaiła Glinki. Facet ma dobry gust, ale lepiej byłoby, gdyby otworzył drzwi, pomyślał Jim. Ponownie zadzwonił, po czym krzyknął:

– Panie Mariti!

Drzwi niemal natychmiast się otworzyły i pojawił się w nich dozorca. Miał na sobie bladozieloną koszulę i ciemnozielony krawat, ale był bez spodni. Trzymał je przewieszane przez ramię.

– Pańskie mieszkanie znów się pali? – zapytał. Jim popatrzył na jego gołe nogi i pan Mariti zrobił to samo. – Och... *scusi*... właśnie prasuję spodnie – bąknął.

– Chciałem tylko przeprosić za nocne zamieszanie – powiedział Jim i podał mu dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe. – Mam nadzieją, że to pokryje wszelkie straty.

Pieniądze zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Żaden problem, proszę pana. Gdybym mógł w czymś jeszcze...

– Przyznam, że chyba tak. Może zechciałby mi pan pomóc znieść na dół obraz? Jest nieco za ciężki, abym sam sobie poradził.

– Oczywiście, proszę mi tylko dać dwie minuty.

Na widok obrazu pan Mariti stracił cały zapał.

– Pan Boschetto mówił, że ten obraz zawsze musi tu wisieć.

– Pana Boschetto nie ma już wśród nas.

– Oczywiście, ale bardzo nalegał. Spytał mnie kiedyś: „Guido, co sądzisz o tym obrazie?”, na co odpowiedziałem: „Panie Boschetto, jeżeli chce pan znać moją szczerą opinię, to trochę drżą mi na jego widok nogi”.

– Właśnie dlatego chcę się go pozbyć. Mnie też drżą na jego widok nogi.

– Ale pan Boschetto powiedział, że obraz zawsze musi tu wisieć, aby każdy, kto zamieszka w jego mieszkaniu, mógł go obserwować.

– „Obserwować”, nie „oglądać”?

Pan Mariti energicznie skinął głową.

– Tak. Powiedział: „obserwować”.

Jim milczał przez chwilę, po czym zapytał:

– Chce pan wiedzieć, co naprawdę stało się w moim mieszkaniu wczoraj wieczorem?

Dozorca zdjął marynarkę i podwinął rękawy.

– Nie, raczej nie.

– Wobec tego zdejmijmy ten obraz. Z przyjemnością obejrzę jego tył.

Julia Fox nie była zbyt zachwycona. Kiedy jej dwóch pracowników wyjęło malowidło z samochodu Jima i zaniósło go do jasno oświetlonej sali wystawowej przy Rodeo Drive, cofnęła się, aby mu się przyjrzeć, i zmarszczyła brwi.

– Ten obraz został namalowany przez Gordona Welkina... – zaczęła. – Widzisz te litery w rogu? GSW to Gordon Shelby Welkin.

– To dobrze?

– Średnio – odparła. – Welkin był jednym z najlepszych portrecistów Zachodniego Wybrzeża połowy dziewiętnastego wieku. Ciekawi mnie jednak dlaczego?

Jim stał blisko niej, próbując patrzeć na obraz w taki sam sposób, w jaki ona to robiła. Julia była bardzo wysoka – metr osiemdziesiąt wzrostu – miała jasne włosy zaczesane do tyłu i była

ubrana w klasyczny jasnoszary garnitur oraz buty na bardzo wysokim obcasie.

– Zapytałaś: „dlaczego?” – powiedział po chwili Jim. – Dlaczego zadałaś pytanie „dlaczego”?

– Dlaczego portrecista namalował kogoś z czarnym materiałem na głowie?

– Na plakietce jest napisane, że Robert H. Vane jest w żałobie po wymordowaniu przez białych osadników całego plemienia Daguénów w... tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku.

– Mimo wszystko to dziwne. Całkiem niepodobne do Welkina. Na pewno chciałby ukazać żal na twarzy tego człowieka. Współcześni mu artyści twierdzili, że umiał uchwycić na płótnie duszę człowieka.

– Może to zrobił, ale nie spodobało mu się, jak ta dusza wygląda?

Julia podeszła bliżej do malowidła.

– Nie rozumiem. Ten obraz nic nie mówi. Jest jak zamknięta książka. Popatrz jednak na sposób, w jaki Welkin namalował fałdy materiału! Popatrz na dłoń tego mężczyzny! Niemal widać, jak oddycha pod materiałem.

– Tak... – przyznał Jim. – Ja też miałem takie wrażenie.

– Mogę go sprzedać na aukcji, wątpię jednak, aby dało się uzyskać za niego tyle, co za konwencjonalnego Welkina. Może zainteresuje się nim jakaś lokalna galeria... z powodów historycznych. Nie jest to obraz, jaki ktoś chciałby sobie zawiesić nad kominkiem, prawda?

– Całkowicie się z tobą zgadzam, Julio. Pomóż mi się go tylko pozbyć. Będę szczęśliwy, jeżeli uda ci się go sprzedać za sto dolarów. Przynajmniej wyjdę na zero.

Kiedy dojechał do szkoły, stwierdził, że na miejscu przeznaczonym dla wicedyrektora parkuje jasnozielony volkswagen garbus, musiał więc stanąć za budynkiem, tuż obok przepelnionych śmietników. Idąc do budynku, natknął się na Waltera, idącego gdzieś ze skrzynką narzędzi.

– Jakiś uzurpator stanął na moim miejscu – poskarżył się dozorca.

– To nowy zastępca dyrektora – wyjaśnił Walter. – Zaczęła dziś rano.

– Zaczęła?

– Doktor Washington. Polubi ją pan.

Jim zatrzymał się i popatrzył za Walterem.

– Czyżbym wyczuwał ślad sarkazmu?

– Sarkazmu, panie Rook? Nie byłem sarkastyczny od dnia, kiedy doktor Ehrlichman zażyczył sobie, abym namalował na dnie basenu błękitne delfiny.

Jim poszedł najpierw do pokoju nauczycielskiego. Musiał opowiedzieć Vinniemu o pożarze i o tym, że zawiózł portret Roberta H. Vane’a do domu aukcyjnego.

Nie mógł się zdecydować, czy powinien opowiedzieć koledze o aparatostworze. W końcu uznał, że lepiej będzie tego nie robić, przynajmniej na razie. Vinnie na pewno by pomyślał, że

Jim przesadził z piciem albo ma załamanie nerwowe, i poprosiłby go o znalezienie sobie innego lokum. Jim nie chciał nowego miejsca, zwłaszcza że obraz został wywieziony. Gdzie znajdzie tak wspaniałe i równocześnie tanie mieszkanie? Jeżeli Eleanor ma rację i obraz naprawdę kryje w sobie duszę Roberta H. Vane’a, to teraz, kiedy go już nie ma, nie będzie też błysków światła, samoistnie wybuchających pożarów ani wpełzających do sypialni bestii na trzech nogach.

W pokoju nauczycielskim natknął się na Karen, próbującą wepchnąć zbyt wiele książek do haftowanej dzinsowej torby, ale Vinniego nie było.

– Cześć – przywitał się z Karen. – Co powiesz na kawę?

– Wybacz, nie mam teraz czasu. Ty zresztą też nie. Prawdopodobnie słyszysz już stąd Drugą Specjalną. Ale potem chętnie.

– Widziałaś Vinniego?

– Vinniego? Wyjechał na trzy dni na kurs z historii. Chyba do Portland.

– Nic mi nie powiedział.

– Wszystko gra? Wyglądasz na nieco... rozpalonego. Przedawkowałeś solarium?

Jim dotknął policzka w miejscu, gdzie liznął go płomień.

– Nie. Robiłem sobie tosta z serem i stanąłem nieco za blisko grilla, to wszystko.

Przyjrzała mu się zmrużonymi oczami.

– Kłamiesz, prawda?

– Skąd wiesz?

– Zawsze wiem, kiedy mnie okłamujesz, choć nigdy nie umiem określić, po czym to poznaję.

Tost z serem... no, no...

– Po prostu nie chcę komplikować pewnych spraw.

Zarzuciła torbę na ramię.

– Nie jestem jedną z twoich uczennic, Jim. Już dawno odkryłam, jak skomplikowane

i niewytłumaczalne może być życie, i wiem, że nie warto kłamać.

Wyszła z pokoju, zostawiając go samego. Zawsze sprawiała, że czuł się, jakby próbował potraktować ją protekcyjnie, nie doceniając jej inteligencji. Jak miał jej jednak powiedzieć, że oparzył go zgarbiony stwór na szcudlastych nogach? Pomyślałaby, że dojrzał do kaftana bezpieczeństwa – a być może naprawdę tak było.

Rozdział 11

Idąc do Drugiej Specjalnej, zatrzymał się przy szafkach na korytarzu i zadzwonił z komórki do porucznika Harrisa. Porucznik sprawiał wrażenie zagonionego.

– Zanim pan zapyta, panie Rook, powiem, że jeszcze nie zidentyfikowaliśmy podejrzanego.

Tak między nami, właśnie próbujemy znaleźć wiarygodniejszego świadka od pana Haywarda Mitchella. Kogoś, kto był mniej pijany.

– Właśnie z tego powodu do pana dzwonię, poruczniku. Coś mi się przytrafiło. Jeśli pan

chce, proszę nazwać to intuicją.

– Niech pan strzela. Tego właśnie od pana potrzebuję: intuicji.

– Wie pan, ten wasz portret pamięciowy... może spróbowałby pan odwrócić barwy... tak, aby twarz była biała, a włosy czarne?

Zapadła chwila ciszy.

– Próbuje pan być politycznie poprawny czy coś w tym stylu?

– Nie, nic podobnego. To tylko intuicja.

– Mitchell był pewien, że widział Afroamerykanina.

– Wiem, ale niech pan spróbuje.

– Oczywiście. Czemu nie? Zadzwoń, jak mi coś przyjdzie do głowy.

Kiedy Jim stanął w drzwiach, w Drugiej Specjalnej panował zwykły, codzienny rozgardiasz.

Ruby, Vanilla i Sue-Marie stały na ławce Sue-Marie i śpiewały chórem *The first Cut Is The Deepest*, Cień ćwiczył pompki na jednym ręku, a Randy rzucał w Edwarda obtaczaną w karmelu prażoną kukurydzę – tak, aby ziarna przylepiały mu się do włosów.

Jim powiesił marynarkę, podszedł do tablicy i napisał: KŁAMSTWA.

Klasa niemal natychmiast zaczęła się uciszać. Ruby, Vanilla i Sue-Marie zakończyły piosenkę piskliwo-miauikliwym „ooo yeeaaaahhh!” – i zeszły ze „sceny”, Brenda wyjęła z uszu słuchawki, Delilah odłożyła egzemplarz „Cosmopolitan”, a George szybko wysłał ostatniego SMS-a. Nadal nie zwracali na Jima uwagi – nie byłoby to *cool* – choć jednak wciąż niedbale się rozwalali, każdy robił to we własnej ławce, a kiedy rozmawiali ze sobą, ścisiali trochę głos, nie słysząc też było podobnych do śmiechów hien wrzasków, przekleństw i sprzeczek, często na granicy otwartej agresji. „Jesteś tak paskudny, że za każdym razem, kiedy idziesz się kąpać, woda ucieka z wanny”. „A ty jesteś tak paskudny, że kiedy się urodziłeś, akuszerka walnęła twoją matkę”.

- Dzisiaj chcę, abyście nauczyli mnie kłamać – powiedział Jim, kiedy tumult ucichł.
- To porąbane – stwierdził Cień. – Czyż nie idzie się do szkoły, żeby poznać prawdę?
- Skąd wiesz na pewno, czy coś jest prawdą, czy nie?
- Nie wiemy tego – przyznała Sue-Marie. – Ale trzeba ufać ludziom.

Jim skinął głową i ruszył powoli między ławkami.

- Więc wierzycie, że człowiek chodził po Księżycu? Dlatego, że NASA tak twierdzi?
 - Chyba tak.
 - Daj spokój, całe to lądowanie na Księżycu nakręcono w studiach Universalu – prychnął Edward. – Mój kumpel zna kogoś, kto zna kogoś, kto robił wszystkie księżycowe skały.
 - Więc uważasz, że to było kłamstwo?
 - Oczywiście. W tamtych czasach nie mieliśmy technologii, pozwalającej lecieć na Księżyc.
 - Nie potrafisz jednak udowodnić, że to było kłamstwo. Tak samo jak Sue-Marie nie potrafi udowodnić, że to prawda.
 - Nie o to chodzi. Sue-Marie uważa, że to prawda, a ja, że oszustwo, ale tak naprawdę nieważne, czy to prawda, czy nie, dopóki ludzie chcą w to wierzyć.
 - O czym ty bredzisz, facet? – spytał Roosevelt. – Gadasz samymi zagadkami.
 - Zastanów się, głupolu! Rosjanie uwierzyli, iż wygraliśmy wyścig kosmiczny, choć nie dotarliśmy dalej niż do Pasadeny! Zaoszczędziliśmy furę szmalu i nikt nie nadstawiał karku. Prawdę mówiąc, szanuję nasz rząd za to, że zrobił lewiznę i nie próbował wygłupiać się naprawdę. Poza tym, jaki jest sens w lataniu na Księżyc? Kogo obchodzi, z czego jest zrobiony?
- Jim uśmiechnął się.
- A więc kiedy coś mówimy, nawet jeżeli nie jest to prawdą, liczy się tylko działanie tego na ludzi, tak? A jeżeli jest dobre, wszystko jest usprawiedliwione?
 - He? – wymamrotał Edward.

– Pytam cię, czy mogą istnieć złe kłamstwa i dobre kłamstwa.

– No... – Chłopak zawahał się. – Chyba tak. Jaki sens mówić ludziom prawdę, jeżeli przysporzy im to tylko bólu?

– Doskonale – powiedział Jim. – Teraz chciałbym, żeby każdy z was napisał trzy „dobre” kłamstwa... i uzasadnił, dlaczego są „dobre”.

Roosevelt podniósł rękę.

– Chętnie bym to zrobił, proszę pana, ale cierpię na uraz ręki, spowodowany powtarzaniem wysiłkiem, i nie mogę pisać.

– Za często walisz konia, w tym twój problem – wtrącił Philip.

– Kłamiesz, Roosevelt – stwierdził Jim. – W dodatku to złe kłamstwo.

– Dla mnie jest dobre... jeśli dzięki niemu nie będę musiał nic pisać.

– Nie sądzę. Gdybym choć przez chwilę wierzył, że rzeczywiście masz uraz ręki, spowodowany powtarzaniem wysiłkiem, posłałbym cię do dozorca Waltera, abyś mógł zrobić coś pożytecznego. O ile wiem, jest właśnie w drodze do damskich łazienek, gdzie zamierzał przepchnąć kilka toalet. Robi się to, wpychając ramię do środka aż po pierwsze kolanko.

Roosevelt pomachał ręką.

– Już została wyleczona! – zawołał. – Uwierzy pan? Jest wyleczona! To cud!

Gdy uczniowie marszczyli czoła nad zeszytami, gapili się w sufit i spoglądali po sobie, próbując wymyślić trzy „dobre” kłamstwa, Jim stał przy oknie i patrzył na cedr Toma Mixa. Czy rzeczywiście zrobiliby jakąś różnicę, gdybyśmy nie polecieli na Księżyc? Bylibyśmy mniej przesądni? Byłoby nam gorzej? A może zamiast przestrzeni kosmicznej powinniśmy badać nasze dusze?

W przerwie obiadowej usiadł na cienistym pagórku nad kortem tenisowym, gdzie mógł w spokoju jeść kanapki z salami i pomidorem i czytać książkę. Robienie kanapek, które

trzymałyby się kupy, nigdy mu nie wychodziło, więc plasterki pomidora wypadały na trawę.

Wokół kręciły się dwie przepiórki, najwyraźniej mając nadzieję, że zostawi kawałki pomidora tam, gdzie upadły.

Nie minęło dziesięć minut, gdy ujrzał między drzewami pędzący samochód porucznika Harrisa, za którym podążał zwykły radiowóz. Kiedy porucznik zobaczył Jima, podjechał do krawężnika i stanął. Po chwili wyskoczył z samochodu i ruszył niemal biegiem, machając brązową kopertą.

– Panie Rook! Nie wiem, skąd ta pańska intuicja, ale chciałbym taką mieć!

Jim odłożył książkę, wytarł dłonie i otworzył kopertę. W środku znajdowała się podobizna pamięciowa człowieka, którego Hayward Mitchell widział wchodzącego do plażowego domu Tubbsów. Teraz jednak miał on białą twarz i czarne włosy i Jim natychmiast go rozpoznał. Rysownik dał mu nieco zbyt pociągłą twarz i za gęste brwi, ale bez wątplenia była to podobizna Brada Moorcocka.

– Nie do wiary, prawda? – wysapał porucznik Harris i strzelił palcami. – Od razu poznałem kto to!

Jim oddał mu zdjęcie. Był zaskoczony i było mu bardzo przykro. Po rozmowie z Bradem określiliby go jako skromnego, zwykłego młodego człowieka.

– Wczoraj podszedł do mnie na korytarzu, by powiedzieć, jak mu przykro...

– Teraz wie pan dlaczego.

Jim wstał i strząsnął okruchy ze spodni.

– Co pan zamierza? Aresztować go?

– Nie mam wyboru.

– Pójdę z panem.

Porucznik Harris dał znak dwóm siedzącym w radiowozie mundurowym policjantom i we

czwórkę ruszyli w kierunku szkoły.

– Ciągłe nie wiem, jak pan odgadł, że to negatyw – powiedział porucznik Harris. – Że czarne powinno być białe i odwrotnie.

– Myślałem „od tyłu”, poruczniku – odparł Jim. – Czasami, kiedy spojrzymy na problem od drugiej strony, odpowiedź sama się narzuca.

Poszli najpierw do doktora Ehrlichmana. Zanim zdążyli wyjaśnić, o co chodzi, panna Frogg zastawiła im drogą.

– Przykro mi, panowie, ale dyrektor jest bardzo zajęty.

– W tym akurat przypadku musi znaleźć dla nas czas – oświadczył porucznik Harris. –

Przyjechaliśmy aresztować jednego z uczniów, podejrzanego o morderstwo pierwszego stopnia.

Chodzi o Brada Moorcocka.

Pannie Frogg omal nie wyskoczyły oczy z orbit. Popędziła do gabinetu doktora Ehrlichmana, który niemal natychmiast się pojawił, mocno zaczerwieniony i najwyraźniej zszokowany.

– Poruczniku, to musi być pomyłka. Brad Moorcock jest kapitanem naszej drużyny futbolowej.

– Przykro mi, proszę pana. To, że ktoś jest dobry w sporcie, nie daje mu prawa zabijać.

Doktor Ehrlichman poszedł z nimi na salę gimnastyczną, cały czas mamrocząc coś pod nosem i kręcąc głową. Brad i jego pięciu kolegów mieli właśnie trening. W sali rozbrzmiewały piski podeszew o linoleum i okrzyki w rodzaju: „Dawaj piłkę, baranie!”.

Porucznik Harris podszedł prosto do Brada.

– Panie Moorcock, aresztuję pana pod zarzutem zamordowania Bobby’ego Tubbsa i Sary Mi Her.

W sali natychmiast zapanowała cisza. Brad wbił zdziwiony wzrok w policjanta.

– Słucham...?

– Słyszałeś mnie, synu. Masz prawo milczeć, ale wszystko, co powiesz...

– Nikogo nie zabiłem! To jakieś szaleństwo! Jim podszedł do niego.

– Ktoś widział cię na plaży, Brad.

– Kto mógł mnie widzieć?! Nie było mnie tam! Tamtej nocy byłem w domu!

– Jeżeli jesteś w stanie to udowodnić, to świetnie – powiedział porucznik Harris. – Na razie jednak musisz iść ze mną na komendę.

– Nie było mnie tam! Zresztą niby dlaczego miałbym ich zabić?

– Może z żalu, że Sara cię zostawiła. Może nie podobało ci się, że spotyka się z kimś innym.

Brad z rozpaczą popatrzył na Jima.

– Zgoda, źle ją traktowałem, ale przyznałem się, prawda? Wykorzystywałem ją, ale nigdy bym jej nie skrzywdził! Nigdy. Nikogo bym nigdy nie skrzywdził!

– Daruj sobie – powiedział porucznik Harris. Wskazał kciukiem na drzwi sali i policjanci wyprowadzili chłopaka.

– To okropne... – stwierdził doktor Ehrlichman. Popatrzył surowo na Jima i głośno wydmuchał nos. – Miałem nadzieję, że West Grove nareszcie udało się poprawić reputację...

– Chyba nie sugeruje pan, że to ma coś wspólnego ze mną? – spytał Jim.

– Oczywiście, że nie, choć wszystko wskazuje na to, że wciąż prześladowuje pana pech.

Porucznik Harris położył dłoń na ramieniu Jima.

– Dyrektorze... niech pan mi wierzy, widzę to codziennie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu... cały świat prześladowuje pech.

Kiedy doktor Ehrlichman i porucznik Harris odeszli, Jim zwrócił się do kolegów Brada:

– To wszystko. Nie możemy zrobić nic więcej, tylko czekać, aż sprawa się wyjaśni.

– Naprawdę Brad zabił Bobby'ego i Sarę? – spytał czarnoskóry chłopak z wygoloną na głowie błyskawicą.

– Nie wiem – odparł Jim. – Pijaczek nocujący na plaży widział młodego mężczyznę, wchodzącego tuż przed pożarem do domu państwa Tubbs, a sądząc po opisie, jaki podał, mógł to być Brad. Ale to, co się tam wtedy stało, jest bardzo *outré*.

– *Outré*?

– Tajemnicze. Nie mogę wam niestety powiedzieć nic więcej. Przykro rai.

– Powiem panu, co jest *outré* – oświadczył krępy chłopak z żółtawymi włosami. – Sposób, w jaki Brad się zachowywał przez ostatnie trzy tygodnie.

– Tak? Co masz na myśli?

– Nie był sobą, to wszystko.

Cała piątka chłopaków kiwnęła potakująco głowami.

– Niech mnie pan źle nie zrozumie – dodał żółtowołosy. – Brad jest świetnym kapitanem drużyny, ale zawsze pokazywał mięśnie i dbał o to, aby wiadano, jaki jest wspaniały... zwłaszcza jeśli chodziło o dziewczyny.

– I co się zmieniło?

– Na przykład już nie rozwał gęby. Stał się skromny, zrównoważony. Przestał walić ludzi po tyłku mokrym ręcznikiem i zachowywać się jak palant. Nikt by nie pomyślał, że to ten sam gość. Na przykład dziś: dawniej, jak grał w koszykówkę, zawsze starał się sam mieć piłkę, walił nią ludzi prosto w twarz i uważał, że to świetna zabawa. Teraz z tym skończył.

– Od kiedy się zmienił? Od trzech tygodni?

– Zgadza się. Spotkaliśmy go trzy tygodnie temu na plaży i wyglądał jak zwykle... kopał piasek, obsypując nim ludzi, ściągał im majtki i podtapiał ich w oceanie, ale kiedy w poniedziałek przyszedł do szkoły, był zupełnie inny.

– Zauważyliśmy to po raz pierwszy, kiedy Ollerkin miał problemy w basenie – dodał ostrzyżony na jeża chłopak mówiący schrypniętym głosem, jakby miał zapalenie migdałków.

– Ollerkin? Jakie problemy?

– Gdyby pan znał Ollerkina, nie pytałby pan. Gdyby ktoś z innej planety chciał się dowiedzieć, co to jest „palant”, wystarczyłoby pokazać mu Ollerkina.

– Co się stało?

– Przechodziliśmy obok basenu i zobaczyliśmy, że Ollerkin kaszle, pluje, macha rękami i woła o ratunek. Brad wskoczył do wody w ubraniu... w najlepszych butach, i tak dalej.

Najpierw myśleliśmy, że chce potrzymać Ollerkina pod wodą, bo dawniej tak by zrobił, ale on podparł mu głowę, podpłynął z nim do brzegu i pomógł mu wyjść z wody. Patrzyliśmy na siebie i nie wiedzieliśmy, co o tym wszystkim myśleć.

– I od tego czasu zawsze się tak zachowywał?

Cała piątka skinęła głowami.

– Woleliśmy z niego nie żartować... na wypadek, gdyby nas nabierał. Niech nam pan wierzy, Brad to koleś, który nie zawahałby się wylać człowiekowi na głowę środka do konserwacji drewna albo narobić komuś do pudełka z kanapkami. Znaczą się, taki był kiedyś, ale od trzech tygodni zachowuje się jak cipa.

Jim zdjął okulary.

– Czy podczas weekendu trzy tygodnie temu coś mu się przydarzyło? Coś niezwykłego?

– Chodzi panu o to, czy Bóg do niego przemówił i kazał mu wziąć dupę w troki, bo inaczej nigdy się nie dostanie do nieba?

– Właśnie.

Chłopcy popatrzyli po sobie, ale po chwili pokręcili głowami.

– No dobrze, dziękuję wam – powiedział Jim. – Spodziewam się, że będziecie jutro wszyscy na pogrzebie.

Kiedy pod koniec dnia czyścił tablicę, do klasy weszła niska Murzynka w jasnoróżowych

spodniach i butach o stukających głośno obcasach. Miała płaską twarz, ale okalała ją bardzo kunsztownie upięta peruka, przypominająca brązową chryzantemę.

– A więc to jest pandemonium... – powiedziała zgrzytliwym głosem.

– Słucham?

– To jest klasa, z której dochodzą wszystkie decybele?

– Tak. Druga Specjalna. Czasami są rozbrykani, ale biorąc pod uwagę ich problemy, i tak zachowują się dość spokojnie.

Kobieta podeszła bliżej i wyciągnęła do Jima rękę. Jej paznokcie przypominały brązowe szpony – pasujące kolorem do peruki.

– Raananah Washington. Pańska nowa wicedyrektor.

– Jim Rook. Raananah... ciekawe imię.

– Biblijne. Oznacza „niezepsuta”.

– „Niezepsuta”. Zapamiętam.

Raananah Washington popatrzyła na tablicę, z której Jim zdążył zetrzeć wszystko oprócz słowa „upiorami”.

– Mówił pan dzisiaj swoim specjalnym uczniom o duchach?

– Nie. Dyskutowaliśmy o tym, co czyni ludzi ludzkimi. To słowo pochodzi z fragmentu wiersza Robinsona Jeffersa: „Pognały za upiorami, ominęły mój dom. Źle jest nie pamiętać, ponad jakie otchłanie duch piękna ludzkości, płatek zagubionego kwiatu, leci gnany w morze nocną wichurą, zanim znajdzie spokój”* [*Z wiersza *Apologia koszmarnych snów* Tłumaczył Zygmunt Ławrynowicz].

– I zrozumieli to?

– Oczywiście. Rozumieją, co znaczy być człowiekiem.

– To dobrze, lecz według mnie takie klasy jak ta nie są najlepszą drogą wprowadzania

uczniów ze szkodliwych środowisk do wspólnoty edukacyjnej.

Jim zamierzał właśnie zetrzeć słowo „upiorami”, zawahał się jednak.

– Co pani ma na myśli?

Nowa wicedyrektorka zaczęła krążyć po klasie, stukając obcasami niczym przetrenowany cyrkowy kucyk.

– Moje zdanie jest takie, że pańscy uczniowie powinni być razem z resztą szkoły. Klasy specjalne są edukacyjnie segregacjonistyczne, społecznie poniżające i mają negatywny wpływ na młodzież z problemami w uczeniu się.

Jim zostawił „upiorami” na tablicy i opuścił rękę z gąbką.

– Powiem pani, Raananah, co ma negatywny wpływ na młodych ludzi z problemami w uczeniu się: siedzenie w klasie z uczniami, którzy umieją czytać i pisać dziesięć razy lepiej. Z mojego doświadczenia wynika, że ponieważ czują się poniżeni, bardzo szybko przestają walczyć i wtedy są dla nas straceni na zawsze.

– Przykro mi, Jim, ale uważam, że klasy specjalne są przestarzałe i protekcyjne. Czego ich pan uczy? Poezji Robinsona Jeffersa? Białego poety, który zmarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku?

– Poezji Szekspira też uczę. Był białym poetą i zmarł w tysiąc sześćset szesnastym roku.

– Nie musi pan być sarkastyczny, Jim. Chcę tylko powiedzieć, że zamierzam zamknąć wszystkie klasy specjalne West Grove i włączyć ich uczniów do głównego nurtu edukacyjnego.

– Dziękuję za ostrzeżenie. Ja powiem tylko tyle, że jeżeli tak pani zrobi, wszyscy moi uczniowie w chwili opuszczania szkoły będą półanalfabetami. Będą się też czuli oszukani przez system edukacyjny i zbojkotowani przez społeczeństwo. Staną się asocjalnymi, zależnymi od pomocy społecznej osobnikami, a wielu z nich wejdzie na drogę przestępstwa i zajmie się narkotykami, bo będzie to dla nich jedyny sposób zarabiania na życie. Mało tego, dzieci, które

wychowają, będą takie same jak oni.

– Ostrzegano mnie, że ma pan skłonność do dramatyzowania.

Jim starł słowo „upiorami”.

Kiedy wieczorem przyjechał do domu, Tibbles siedziała na stercie butów stryja Vinniego. Jej oczy połyskiwały żółto w ciemności.

– Cześć, TD, jak minął dzień? Założę się, że nie miałaś spotkania z pompatyczną wicedyrektor w zwariowanej peruce, która powiedziała ci, że jesteś przestarzała i społecznie poniżająca. Niech cholera weźmie te buty... muszę je wreszcie wyrzucić! I niech cholera weźmie te wszystkie kapelusze!

Tibbles miauknęła i zawiesiła mu się na kostkach.

– Co? Jesteś głodna? No wiesz, tyle ci zostawiłem... aha, chcesz się napić? Ja chyba też.

Poszedł prosto do kuchni, wyjął z lodówki karton i nalał trochę mleka do kociej miski. Potem otworzył puszkę piwa i wrócił do salonu.

– Powinnaś była widzieć tę kobietę... Raananah Washington. Wygląda jak Aretha Franklin, a gada jak Fidel Castro.

Zapalił lampkę na stoliku. Kiedy zamierzał upić łyk piwa, uniósł głowę i ujrzał portret Roberta H. Vane’a, wiszący na swoim miejscu nad kominkiem.

Miał wrażenie, jakby za koszulę wślizgnął mu się zimny węgorz, zsunął się po plecach i wjechał między nogi. Stał przed obrazem i wpatrywał się weń w taki sam sposób, jak wcześniej Tibbles. Był wstrząśnięty, kompletnie niezdolny do myślenia.

Powoli podszedł do malowidła. Bez wątplenia był to ten sam obraz. Po prawej stronie ramy znajdowało się wyszczerbienie, a w rogu były wyraźne inicjały GSW. Tym razem jednak nie istniało żadne wyjaśnienie, jakim sposobem obraz mógł wrócić na ścianę. Julia na pewno nie przywiozłaby go z domu aukcyjnego, nie uprzedzając o tym. A nawet gdyby to zrobiła i pan

Mariti wpuściłby ją do mieszkania – czego na pewno nie zrobił – nie zawieszałaby malowidła na ścianie.

Usiadł na zapadniętym „tronie”, a Tibbles wskoczyła mu na kolana i zaczęła obwąchiwać krawat. Prawdopodobnie czuła wieloletnie ślady *moussace*. Jim delikatnie pogłaskał jej nierówno odrastające futerko.

Wiszący nad kominkiem Robert H. Vane w dalszym ciągu ukrywał głowę pod czarnym materiałem, pierścień z czaszką nadal jarzył mu się na palcu. Jim mógł sobie jedynie wyobrażać, jak wygląda jego twarz. Jest triumfująca? Ironiczna? A może Vane patrzy nieruchomym wzrokiem jak na swoim fotograficznym autoportrecie, ukazującym człowieka, który obserwował innych ludzi, ale nigdy do nich nie dołączył?

Nagle zadzwonił dzwonek u drzwi. Jim opuścił Tibbles na podłogę i poszedł otworzyć. Pod drzwiami stała Eleanor – w czarnym golfie i czarnych spiczastych butach.

– Jim... mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Musiałam sprawdzić.

– Sprawdzić? Co sprawdzić?

Rozejrzała się po pokoju.

– Słyszałam straszne hałasy i łomoty, dobiegające z twojego mieszkania. Myślałam, że przesuwasz meble. Zadzwoniłam do drzwi, ale nie reagowałeś. Chciałam otworzyć moim kluczem, ale hałasy umilkły. Obserwowałam przez jakiś czas drzwi, na wypadek, gdyby to byli złodzieje, nikt jednak nie wyszedł.

– O której to było godzinie?

– Nie wiem dokładnie. Chyba o trzeciej po południu, coś koło tego.

Jim skinął głową w kierunku portretu.

– Podejrzewam, że to był pan Robert H. Vane. Wieszał się sam na ścianie.

– O mój Boże...

– Dziś rano zawiozłem obraz do domu aukcyjnego przy Rodeo Drive. Moja znajoma, Julia Fox, obejrzała go i powiedziała, że spróbuje go sprzedać. Zostawiłem obraz u niej i pojechałem do szkoły, ale wrócił...

Eleanor podeszła do malowidła, przyciskając dłoń do ust.

– W końcu Rodeo Drive to tylko piętnaście kilometrów stąd. Kotom i psom zdarza się wędrować po kilkaset, aby wrócić do właściciela. Piętnaście kilometrów to nic.

– Nie ma się z czego śmiać – mruknęła Eleanor.

– A kto się śmieje? Nie mogę się tego cholerstwa pozbyć!

– Nie uda ci się.

– Naprawdę? Zaniosę go zaraz do piwnicy, rozwałę na kawałki i wsadzę do pieca.

Zobaczmy, czy po takim potraktowaniu uda mu się wrócić na ścianę.

– Jim, ja mówię poważnie... nie radziłabym ci tego robić. Minionej nocy o mało cię nie zabił.

– To nie żaden „on”, tylko zwykły obraz!

– Nie rozumiesz – powiedziała Eleanor, ale Jim poszedł już do kuchni, ze stojącego obok zlewu drewnianego bloku wyjął duży nóż i wrócił z nim do salonu. – Jim, proszę cię, to tylko wszystko pogorszy...

– To obraz, Eleanor. Nic więcej.

– Wiesz, że to nieprawda! Sam widziałeś! To obraz, w którym zamknięta jest ludzka dusza!

Jim podciągnął fotel do kominka, wszedł na siedzenie i zamachnął się nożem, celując w zakrytą czarnym materiałem głowę Roberta H. Vane’a.

– Jim! Nie!

Ale Jim wbił już nóż w obraz – i w tym samym momencie oślepił go niesamowicie jaskrawy błysk. Uderzenie gorąca pchnęło go z taką siłą, że uderzył plecami o kanapę i zderzył się z nocnym stolikiem, zrzucając z łoskotem lampkę.

Leżał na plecach – osmalony, pozbawiony tchu, oślepiony. Eleanor uklęknęła obok i uniosła mu głowę.

– Jim, nic ci nie jest?

– Nic nie widzę – szepnął. Miał wrażenie, że wargi ma trzy razy grubsze niż zwykle. – Nie mogę oddychać...

Rozdział 12

Eleanor pomogła mu wstać. Obił sobie plecy o bok kanapy, a uderzając o podłogę, zrobił sobie siniaka na lewym barku. Twarz go piekła i czuł smród swoich spalonych włosów. Eleanor podprowadziła go do jednego z plecionych krzeseł, by usiadł. Widział jedynie pomarańczowy, tańczący powidok materiału zakrywającego głowę Roberta H. Vane'a.

– Chcesz się czegoś napić? – spytała Eleanor.

Skinął głową, więc włożyła mu w dłoń puszkę piwa. Upił trzy łyki lodowatego płynu i musiał przestać pić, bo zaboląło go podniebienie.

– Widzisz coś?

Zakaszłał i pokręcił głową. Przypomniawszy mu się wiersz Edgara Lee Mastersa *Butch Weldy* – o człowieku, obok którego wybuchła benzyna i którego oczy „usmażyły się na chrupko jak dwa jajka”.

– Twoje brwi... – powiedziała Eleanor, delikatnie gładząc go po czole.

– Co z nimi?

– Zniknęły. Włosy z przodu też wyglądają trochę szczeciniaste.

– Jezu... – Wyciągnął palcami kąciki oczu, sprawdzając widzenie po bokach, na szczęście stopniowo wracało. Z lewej strony widział już kawałek kanapy i jedną z poduszek, a z prawej ościeżnicę i włosy Eleanor.

– Ostrzegałam cię. Mamy do czynienia z potężnym duchem. Do tego straszliwie złym.

Jim pomacał brwi. Eleanor miała rację: zostały z nich jedynie resztki. Odwrócił się ku niej i zamrugał, potem jeszcze raz i w końcu udało mu się dostrzec jej twarz, choć jeszcze nie widział jej zbyt wyraźnie.

– Chyba już wszystko w porządku... odzyskuję wzrok.

– Nie dostałeś pełnego błysku. Vane nie mógł unieść materiału nad głowę, bo wbiłeś nóż. To cię uratowało.

– Jak to „nie mógł unieść materiału”? Eleanor, to nie jest ani żywy człowiek, ani prawdziwy materiał. To obraz.

– Tak i nie...

Przez chwilę milczała, jakby zastanawiała się, od czego zacząć.

– Wiesz o tym wszystkim znacznie więcej, niż mówisz, prawda? – mruknął Jim.

– Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Giovanni Boschetto.

– Masz na myśli stryja Vinniego? Sądziłem, że nigdy z nim dłużej nie rozmawiałaś.

Eleanor odsunęła włosy z czoła.

– Nie rozmawiałam, ale mieszkam w tym budynku tylko dlatego, że oni chcieli, abym była pod ręką, gdyby Giovanni kiedykolwiek potrzebował pomocy. Myślisz, że stać mnie na takie mieszkanie?

– „Oni”? Jacy „oni”?

– Benandanti. Właściciele budynku.

– Dlaczego Giovanni Boschetto miałby potrzebować twojej pomocy?

– Bo jestem wrażliwa. Bo mogę się komunikować ze zjawami.

– Chodziło o jakieś szczególne zjawy?

– Tak. W przypadku Roberta H. Vane’a. Giovanni Boschetto próbował zrobić to samo co ty.

– Skinęła głową w kierunku obrazu. – Pozbyć się tego.

- Najwyraźniej mu się nie udało.
- Nie, choć próbował pozbyć się tego obrazu kilkanaście razy. Raz zabrał go na *Mauretanię* i wrzucił do wody pośrodku oceanu. Innym razem zawiózł go do Doliny Śmierci, ale obraz zawsze wracał. Jakimś sposobem odkrył jednak, co robić, aby duch Vane’a nie wydostawał się na zewnątrz.
- Co trzeba zrobić?
- Nie powiedział. Nikomu nie ufał, nawet mnie. Uważał, że jeżeli się tego dowiem, duch Vane’a może wniknąć do mojego umysłu i namówić mnie, abym go uwolniła. Zanim znalazł sposób na zatrzymanie Vane’a w obrazie, jego duch często z niego wychodził, zwłaszcza nocą, w taki sam sposób, w jaki wydobył się wczoraj, i podpalał ludziom łóżka.
- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu? Mogłem zostać spalony w czasie snu! Mogłaś ze mnie pozostać tylko kupka kości, popiołu i... – Jim uniósł w górę dłoń – ...stary pierścień z korporacji studenckiej.
- Przepraszam... Wiedzieliśmy, że masz wysoko rozwiniętą zdolność wyczuwania złych duchów, i założyliśmy, okazuje się, całkiem zasadnie, że obraz zakłóci twoją równowagę i zechcesz się go jak najszybciej pozbyć. Niestety założyliśmy także, że ci się to uda. Musisz nas zrozumieć: nie mogliśmy ci powiedzieć więcej, niż to było konieczne... na wypadek, gdybyś poddał się wpływowi Roberta H. Vane’a i postanowił mu pomóc.
- Pomóc mu? W czym?
- Eleanor nie odpowiedziała. Jim zamknął oczy i przycisnął czubki palców do powiek. Wciąż widział pomarańczowe plamy i wirujące zielone diamenty.
- Dobrze się czujesz? – spytała Eleanor.
- Chyba tak. Jestem na wpół upieczony i półślepy, ale pewnie przeżyję.
- Jim, nie mogę ci więcej powiedzieć. Zresztą sama niewiele więcej wiem.

- No dobrze... Jak to jednak możliwe, aby Vane był jeszcze ciągle uwięziony w obrazie? Po tylu latach powinien być martwy.
- Martwy... oczywiście, że jest martwy, tyle że nie znalazł spokoju.
- Nie rozumiem.
- Jim... musiałeś widzieć setki wędrujących dusz ludzi, którzy nie dokończyli swoich spraw w realnym świecie albo nie mogą uwierzyć, że nie żyją. Ile religii głosi, że nie można przejść na drugą stronę, dopóki ciało nie zostanie zakopane lub spalone? Indianie z niektórych plemion odcinali swoim wrogom głowy i zabierali je, aby ich dusze nie mogły dostać się do Krainy Wiecznych Łowów.
- Robertowi H. Vane'owi nie obcięto głowy.
- Wiem, ale jeżeli człowiek ma znaleźć spokój po śmierci, jego dusza i ciało muszą być całe. Dobra strona duszy i jej zła strona muszą być zjednoczone. Dlatego Robert H. Vane nie może znaleźć spoczynku. Jego dobra strona leży wraz z ciałem gdzieś na cmentarzu, niestety nie wiemy na którym, a ciemna jest uwięziona w tym obrazie i w dalszym ciągu robi to, o co Vane był oskarżany za życia. Nie zawaha się zabić każdego, kto stanie jej na drodze. Uważa, że ma do spełnienia misję.
- Jim popatrzył na obraz. Nóż tkwił w płótnie na wysokości głowy Roberta H. Vane'a i rzucał cień niczym wskazówka zegara słonecznego.
- A na czym ona polega? Ta misja Vane'a?
- Na łapaniu złych stron ludzkich dusz, aby świat stał się lepszym miejscem.
- Kto mu ją zlecił?
- Benandanti.
- Ale przecież oni chcą, żeby zniknął.

Eleanor kiwnęła głową.

– Nie przewidzieli, że misja Vane’a stanie się czymś zupełnie innym, niż zaplanowali, a łapanie złych stron ludzkich dusz będzie się wiązać z tyloma tragediami. Dlatego tak bardzo chcą go zniszczyć... i próbują to zrobić od ponad stu pięćdziesięciu lat.

Jim wziął puszkę z piwem i znów się napił. Nie mógł oderwać oczu od obrazu. Od pierwszej chwili, gdy go ujrzał, wywoływał w nim niepokój, teraz jednak wzbudzał w nim przerażenie, jakby był bombą, mogącą w każdej chwili wybuchnąć.

– Kim są ci Benandanti?

– To tajne sprzysiężenie. Powstało w piętnastym wieku w północnych Włoszech jako kult płodności, czczący boginię Dianę. Nazwa stowarzyszenia oznacza „tych, którzy dobrze idą” albo „dobrych wędrowców”, choć my byśmy raczej powiedzieli „dobrze czyniących”. Zawsze działali w tajemnicy, a o ich istnieniu wiadomo tylko z przekazów inkwizycji, która uważała członków bractwa za czarowników. W pewnym sensie inkwizytorzy mieli rację, ponieważ Benandanti stosują magię. Jest to jednak biała magia, bo przysięgli sobie, że będą walczyć ze złem we wszystkich jego przejawach. Toczą niekończącą się wojnę z siłami ciemności... noc po nocy, tydzień po tygodniu, rok po roku.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– To bardzo tajne stowarzyszenie i raczej się nie reklamują, ale naprawdę dbają o to, abyśmy wszyscy byli zdrowi, płodni i aby nam się dobrze powodziło.

– Wszyscy? Nie sądzę. Rozmawiasz z człowiekiem, który cierpi na chroniczny katar sienny, nie ma dzieci i jest niemal zupełnie splukany.

Eleanor uśmiechnęła się.

– Nie masz pojęcia, jak źle by się sprawy miały, gdyby Benandanti nie stali po naszej stronie.

– A kto walczy po tamtej stronie?

– Legiony zła, czyli Malandanti. Tak przynajmniej nazywają ich Benandanti.

– Jak Benandanti ich zwalczają? I gdzie?

– Zazwyczaj wykorzystują astralne projekcje i polują na Malandantich w strefach cienia.

Benandanti mogą opuszczać swoje ciała, by udać się na tajne spotkanie w dowolnym miejscu świata.

– Hm... eksperymentowałem trochę z opuszczaniem własnego ciała. Nie zalecałbym tego ludziom, którzy muszą następnego dnia iść rano do pracy.

Eleanor wstała, podeszła do kominka i popatrzyła na obraz.

– Kiedy wymyślono fotografię, Benandanti uznali, że odkryto naukową metodę przegania zła na zawsze. Rozsyłali fotografów takich jak Robert H. Vane po całym świecie, niczym misjonarzy, by robili zdjęcia jak największej liczbie ludzi. Srebro na płytach fotograficznych nie tylko odbijało tkwiące w ludziach zło, ale także, po utrwaleniu obrazu, zatrzymywało je w nich.

– I to działało?

– Znakomicie – odparła Eleanor. – Benandanti nie rozumieli jednak, że ludzie, po odebraniu im wszelkiego zła, stają się słabi, łatwo ich zranić i tracą odruchy samoobronne. Wszyscy pierwotni Amerykanie, których sfotografował Robert H. Vane, ginęli albo z powodu chorób, albo dlatego, że nie bronili się przed chciwymi białymi osadnikami i innymi indiańskimi plemionami.

– Na przykład Daguenuwie, tak? Indianie, których Robert H. Vane oplakuje do dziś?

– Właśnie.

– Chwileczkę... ale przecież Daguenuwie zaatakowali osiedle białych osadników, wymordowali wszystkich i wypruli im bebechy! Nie był to raczej czyn świadczący o słabości i bezbronności.

– To była druga strona tej całej sprawy... Owszem, każdy, kto został sfotografowany, tracił swoje zło, które zostawało zamknięte w posrebrzanej płycie, ale jak z pewnością wiesz, każdy wizerunek ma własne życie. Każdy portret może widzieć i myśleć. Niektóre z nich

w określonych okolicznościach mogą się nawet poruszać, zwłaszcza nocą, kiedy ci, którzy znają osoby z wizerunku, śpią.

Jim znów usiadł. Na własne oczy widział kiedyś poruszającą się fotografię. Raz nawet słyszał, jak fotografia przemówiła – powiedziała tylko jedno przepełnione cierpieniem słowo: „mamo...”. Widział też płaczące portrety. Nietrudno było się domyślić, co działo się z ludźmi sportretowanymi na płytach dagerotypowych Roberta H. Vane’a: wraz z nadejściem nocy ich wizerunki, odwrócone kolorystycznie jak negatywy, wyruszały w podróż. Biali ludzie z czarnymi twarzami i białymi oczami, żądni krwi, szukający czegoś do spalenia i zniszczenia.

– Co się stało z Vane’em? – spytał.

– Kiedy Benandanti zorientowali się, co się dzieje, odnaleźli go i kazali mu przestać robić zdjęcia. Choć nie powiedzieli dlaczego, wykonał polecenie. Benandanti nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, że Vane zrobił sobie autoportret, więc jego zły wizerunek został ukryty w płycie dagerotypowej, przechowywanej razem ze wszystkimi innymi negatywami w jego pracowni.

Jego dobre ja przestało fotografować ludzi, ale zła część jego ja wychodziła co noc z autoportretu i nadal robiła zdjęcia. Im więcej zdjęć gromadził, tym bardziej się przemieniał, aż przybrał postać, w jakiej widziałeś go wczoraj w nocy: pół człowieka, pół aparatu. W tamtych czasach w południowej Kalifornii ludzie bali się wychodzić w nocy z domu, tak wiele zdarzało się morderstw, straszliwych gwałtów i okaleczeń. Nie wiedzieli, że są prześladowani przez samych siebie, przez własne złe wizerunki, wychodzące z płyt Roberta H. Vane’a. No a ponieważ byli dobrzy, byli bezbronni. Kiedy wreszcie jeden z misjonarzy Benandantich odkrył prawdę, wysłano agentów, by pojмали złego ducha Roberta H. Vane’a. Znalezione wiele jego tajnych pracowni i magazynów i zniszczono setki dagerotypów, ale Vane zabezpieczył przed zniszczeniem dagerotyp z własnym wizerunkiem: udał się do najlepszego ówczesnego malarza, Gordona Shelby’ego Welkina, i zapłacił mu fortunę za swój portret. Welkin namalował jego

wizerunek na warstwie pokrytej srebrem miedzi... właśnie dlatego obraz jest tak ciężki. W swoim pamiętniku malarz napisał, że Vane kazał mu też zmielić zasuszony „czepek”, w którym się urodził, i mieszać proszek z farbami.

– Czepek?

– Tak. Benandanti uważają, że „czepek” noworodka ma wielką magiczną siłę. Większość z nich nosi swoje „czepki” na szyi przez całe życie, w szczelnie zamkniętej rurce. Nie wiem, czy należy w to wierzyć, ale co innego może powodować, że ten obraz jest niezniszczalny i zawsze wraca do tego mieszkania?

Jim poczuł, że ogarnia go wściekłość.

– Vinnie musiał o tym wiedzieć!

– Podejrzewam, że tak, choć nic nie wiem o rodzinie Giovanniego. Benandanti nigdy nie mówią więcej niż to konieczne... albo jeszcze mniej.

– Cholera, nic dziwnego, że wynajął mi to mieszkanie tak tanio! Nic też dziwnego, że pytał, czy dobrze spałem. „Nie przeszkadzały ci żadne zgarbione postacie z nogami jak fotograficzne trójnogi? Nie? Cóż za ulga!”.

Eleanor złapała go za rękaw.

– Przysięgam... wiem jedynie to, że w dniu, kiedy Giovanni zmarł, Benandanti zadzwonili do mnie, że pilnie szukają kogoś, kto mógłby tu zamieszkać, i że do tego czasu mam szczególnie uważać.

– Rozumiem. Szukali kogoś, kto mógłby tu zamieszkać, tak? Kogoś o zdolnościach paranormalnych, kto mógłby zawalczyć z Robertem H. Vane'em i powstrzymać go przed zamienieniem całego świata w negatywowe piekło. I pewnie miał być to ktoś, kogo nikomu nie będzie brakowało, jeżeli coś pójdzie nie tak. Któż byłby lepszy od dobrego starego Jima Rooka?

– Kiedy zdecydowałeś się tu wprowadzić, byli bardzo zadowoleni. Ludzie o twoich

zdolnościach zdarzają się raz na dziesięć milionów.

Jim nie wiedział, co powiedzieć. To, co początkowo wyglądało na wspaniałą okazję, okazało się śmiertelną pułapką, a ludzie, którzy udawali przyjaciół, okazali się zmijami. Zeszłej nocy mógł zginąć w płomieniach. Mogło mu się to również przydarzyć dziesięć minut temu, gdyby przypadkiem nie unieruchomił materiału zakrywającego głowę Roberta H. Vane'a. Mógłby tu teraz leżeć na dywanie jako kupka szarego popiołu, kilka kości i czaszka.

– Chyba powinnaś już iść – powiedział, patrząc z niechęcią na Eleanor.

– Jim, uwierz mi: znam Benandanti i ufam im. Gdyby mieli inne wyjście...

– Nawet mnie nie spytali! Nie zadzwonili, aby powiedzieć: „Przepraszamy, jesteśmy Benandanti, przypadkiem mamy obraz olejny, który w pięć sekund może zamienić człowieka w popiół, i chcielibyśmy spytać, czy byłbyś gotów go dla nas popilnować”.

– Wiedzieli, że byś odmówił, dlatego!

– I to jak cholera bym odmówił!

– Nawet gdybyś wiedział, do czego Vane jest zdolny, kiedy wychodzi z obrazu? Jim, on krąży po okolicy, wyłapuje tkwiące w ludzkich duszach zło, gromadzi je w swoich magazynach z płytami fotograficznymi i któregoś dnia nigdzie nie będziesz bezpieczny ani w dzień, ani w nocy, bo świat będzie zalany negatywowymi obrazami ludzkich dusz, ich całym złem, a dobro będzie zbyt słabe, by powstrzymać katastrofę.

Jim przeciągnął palcami przez swoją mocno skróconą fryzurę.

– Przykro mi, Eleanor. Lubię cię i rozumiem, o co ci chodzi, ale nic z tego. To robota nie dla mnie. Miałem już dość nieprzyjemnych kontaktów ze złymi duchami i starczy mi ich do końca życia, a po tym, co przydarzyło mi się w Waszyngtonie...

Nagle przez głowę przemknęła mu dziwna myśl. A jeżeli Benandanti usłyszeli o jego zdolnościach paranormalnych jeszcze wtedy, gdy pracował w Waszyngtonie? Może to oni

sprawili, że wrócił do Los Angeles i West Grove Community College? Dwa dni po tragicznym wydarzeniu w Waszyngtonie, kiedy był jeszcze w kompletnym szoku, zadzwonił jego telefon... i po drugiej stronie usłyszał głos Seymoura Wallisa z zarządu West Grove – siwobrodego i dobrodusznego Seymoura Wallisa: „Nie wiemy, jak radzisz sobie w stolicy, ale zwolniło się twoje dawne miejsce w Drugiej Specjalnej... może byłbyś zainteresowany?”.

– Prześpię się dziś w nocy gdzie indziej – powiedział do Eleanor – a jutro rano się spakuję i wyprowadzę.

Ujęła go za dłonie, jej srebrne pierścionki wbiły mu się w skórę.

– Jim, bardzo mi przykro. Nie wyprowadzaj się. Nie wiem, co się wydarzy, jeżeli to zrobisz.

To nie będzie *Noc żywych trupów*, ale coś znacznie gorszego. Ludzie negatywy są uosobieniem zła... są gorsi od wampirów, a mnożą się tak szybko, jak szybko Vane robi zdjęcia. Czasem całymi grupami... nawet po stu naraz.

W tym momencie zadzwonił telefon. Jim uwolnił się z uścisku Eleanor i podszedł do aparatu.

– Jim? Tu Julia Fox. Muszę ci powiedzieć coś nieprzyjemnego... mamy najlepsze zabezpieczenia, trzymaliśmy bez problemów rembrandty, ale twój welkin jakimś sposobem zniknął.

– Nie przejmuj się, Julio. Jak mówiłem, prawdopodobnie dużo byś za niego nie uzyskała.

– Mimo wszystko zawiadomiliśmy policję i prawdopodobnie będą chcieli z tobą porozmawiać.

– Oczywiście, Julio. Dziękuję. – Odłożył słuchawkę. Eleanor stała z opuszczonymi ramionami i przyglądała mu się. – Dzwonili z domu aukcyjnego – wyjaśnił. – Uważają, że ktoś ukradł mój obraz.

– Jim...

– Nie. Gdyby Vinnie mnie nie okłamał, nie wprowadziłbym się tutaj i nie zostałbym tu,

gdybyś nie pomagała Benandantim w omotaniu mnie. „Czuję obecność dwóch zjaw...

przepraszam cię bardzo...”.

– Te zjawy to ojciec i matka Giovanniego.

– Tak? Dzięki za informację.

– Posłuchaj... rodzice Giovanniego uczestniczyli w rodzinnym weselu jednego z kuzynów, kiedy zjawił się Robert H. Vane i porobił zdjęcia. Potem ich złe ja zjawiały się tu co noc i waliły w drzwi, aż któregoś dnia Giovanniemu udało się znaleźć dagerotypy i zniszczył je. Teraz pozostały już tylko ich dobre ja... i pozostaną tu prawdopodobnie do czasu, aż budynek zostanie zburzony.

– Szkoda twojego wysiłku, Eleanor. Nic mnie nie przekona, że powinienem tu zostać. Nie.

Na cmentarzu Rolling Hills zebrało się ponad sto osób – członków rodzin i przyjaciół, kolegów i koleżanek ze szkoły ‘oraz przedstawiciele mediów. Poranek był wilgotny, a niebo przybrało dziwną czerwonawą barwę, jakby oglądało się je przez truskawkowy filtr albo jakby zaraz miało stać się coś niezwykłego.

Rodziny Bobby’ego i Sary stały razem, co chwila ocierając oczy. Doktor Ehrlichman wygłosił przemowę o przerwanych obiecujących żywotach – tę samą, którą wygłaszał zawsze, gdy umierał któryś z uczniów West Grove, niezależnie od tego, czy zginął pod kołami samochodu, podciął sobie żyły czy przedawkował narkotyki. „Kto wie, kim mogli zostać... co mogliby osiągnąć? Kto wie, dokąd mogłaby ich zaprowadzić droga losu?”.

Na końcu wystąpił Jim. Był zmęczony i przygnębiony, a nadpalone włosy kleiły mu się do czoła, obiecał jednak powiedzieć kilka słów, które by pocieszyły uczniów Drugiej Specjalnej.

– Nie znalazłem osobiście Bobby’ego ani Sary, ale wiem, co myśleli o nich inni uczniowie, jak bardzo ich kochali i szanowali i jak bardzo będą za nimi tęsknić. Oto wiersz, który zamierzałem przeczytać w klasie w przyszłym tygodniu i który potem omówimy. Nie wiem, co pomyśleliby

o nim Bobby i Sara, ale sądzę, że pasuje do ich śmierci. To *Pożegnanie* Waltera de la Mare.

*Gdy odejdę, gdzie mrok cieni
piachu w oczy mi nie wepchnie
ani deszcz nie będzie płakał,
gdy wiatr westchnie
i odejdzie świat, którego cuda
potwierdzały me istnienie,
wspomnienia zbledną.*

*Czy więc pamięć też odpłynie?
Gdy ma nicość już się podda,
dłoń, brzuch, usta w pył się zmieniają,
niechaj twarze, które kochałem,
innych cieszą.*

*Rdzawy żywopłot na polu
w żniwa niech oplata wino.*

*Gdy szczęśliwe dzieci przyjdą,
dam im wszystko,
co mi było mile.*

*Wzrok twój trwa na wszystkich rzeczach,
ale nie pozwól nocy
zamknąć czucia w martwym półśnie
niemocy.*

*Zapłaciłeś za swoje szczęście;
odtąd wszystko, coś chciał chwalić,*

tym, co to kochali w dawnych dniach,

odebrano.

Kiedy recytował ostatnie wersy, po policzkach Cienia spływały łzy, a Sue-Marie wyjęła różową chusteczkę i wydmuchała nos. Ojciec i matka Bobby'ego rzucili na trumnę po garści ziemi, potem to samo zrobili rodzice. Wszyscy jeszcze przez chwilę stali przy grobach – jedni wrzucali do nich róże, inni stali ze spuszczoneymi głowami i zamkniętymi oczami.

Jim zebrał Drugą Specjalną i poprowadził uczniów opadającą w dół ścieżką do parkingu, gdzie stał ich autobus.

– Nie mogę uwierzyć, że oboje odeszli – powiedziała idąca obok Jima Delilah. – Ciągłe mi się wydaje, że zobaczę ich jutro w klasie, jak zawsze.

– Będą z nami duchem – pocieszył ją Jim. – Porozmawiamy jutro o umieraniu ludzi i o tym, jak wyrażać emocje słowami. Uwierz mi, jeżeli człowiek umie opisać na papierze, co czuje, pozwala mu to łatwiej znieść ból.

Delilah popatrzyła na niego, mrużąc jedno oko, aby nie oślepiało jej słońce.

– Mogę pana o coś spytać, panie Rook? Kiedy tak pan na nas patrzy, na Drugą Specjalną, czy uważa pan, że jesteśmy głupi?

Jim uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Jedyńi głupi ludzie, których znam, to ci, którzy nie chcą się uczyć angielskiego, ponieważ uważają, że to nie *cool* albo że znają już dość słów.

– Dziś widziałam nowe słowo. To znaczy... nie jestem pewna, czy to słowo, czy czyjeś imię.

– Jak brzmiało? – Niezbyt uważnie słuchał Delilah, bo między grobami szła Karen, najwyraźniej zamierzając się z nimi spotkać.

– „Nemezys”. Było napisane w autobusie, na oparciu siedzenia przede mną.

– To określenie kogoś, kto szuka zemsty. Ale także imię greckiej karzącej bogini, Nemezys.

– Popatrzyl na Delilah. – Dziwna rzecz do pisania w autobusie...

– Bylo wyciete bardzo glęboko. Musialo to komus zajac wiele godzin.

Podeszla do nich Karen.

– To byl bardzo smutny pogrzeb.

– Tak, to prawda.

– Moze odwioze cię do szkoły? – spytala Jima. – Nie musisz chyba wracac autobusem?

– Nie... Wsciekla Banda poradzi sobie beze mnie. Sa po tym wszystkim troche przytlumieni.

Stanal przy drzwiach i liczyl wsiadajacych uczniow. Sue-Marie wchodzila ostatnia. Byla ubrana w bardzo kroutka czarna sukienke, a usta wymalowala jasnozolta szminka.

– Usiadzie pan obok mnie? – spytala.

– Przyjalem propozycje pani Goudemark, ktora chce mnie odwiedzic. Musimy omowic kilka spraw szkolnych.

Sue-Marie spojrzala na Jima uwodzicielskim wzrokiem, tak goracym, ze moglaby przepalac nim papier.

– Spraw... szkolnych... szkoda.

Jim i Karen ledwie mogli sie powstrzymac, aby nie wybuchnac glousnym smiechem. Jim przycisnal dlon do ust i czekal, az Sue-Marie wejdzie na schodki, krzac tylkim. Po chwili drzwi autobusu zamknely sie za nia z glousnym sykiem.

– Ona naprawde na ciebie leci – stwierdzila Karen, kiedy szli do jej bletkitnego mustanga.

– Gdybym tylko byl dziesiec lat mlodszy...

– Gdybys byl dziesiec lat mlodszy, nie podrywalaby ciebie.

Jim wsiadl.

– Chyba nie jeste zardrosna.

– Zardrosna? *Moi?*

Włożyła klucz do stacyjki i właśnie miała go przekreślić, kiedy Jim kątem oka

zarejestrował jakiś ruch po przeciwległej stronie parkingu. Położył dłoń na ręce Karen.

– Zaczekaj...

– Co? Zapomniałeś czegoś?

– Nie. Popatrz... widzisz tam? Za tamtymi krzakami!

Karen zmarszczyła czoło i spojrzała we wskazanym kierunku.

– Nic nie widzę. Co tam jest?

Jim poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy. Przez parking, niecałe sto metrów od nich, przemykał aparatostwór, Robert H. Vane. W jasnym świetle wyglądał tak samo przerażająco jak w ciemnościach, jego korpus był mocno zgarbiony, a nogi tak niepewne, jakby zaraz miał się wywrócić. Ale mimo tej swojej nieporadności Robert H. Vane poruszał się zadziwiająco szybko

– i sunął prosto w kierunku autobusu.

Rozdział 13

– Co się stało? – spytała Karen. – Jim, co jest?

– Nie widzisz tego? – wysapał Jim i po krótkiej walce z pasem bezpieczeństwa wyskoczył z samochodu.

– Co się dzieje?

– Dzwon pod dziewięćset jedenaście! Do straży pożarnej! Szybko!

Ruszył biegiem w kierunku autobusu, pokrzykując i machając ramionami. Aparatostwór nie zwracał na niego uwagi i klekocząc, pokonywał kolejne metry asfaltu. Mimo iż nic się w jego wyglądzie nie zmieniło, sprawiał wrażenie znacznie większego i potężniejszego niż poprzednio.

– Wsiadajcie z autobusu! – wrzasnął Jim. – Wszyscy wsiadać z autobusu!

Ale kierowca włączył już silnik, zwolnił hamulec i powoli ruszał. Dłonie trzymał płasko na kierownicy.

– Stop! Stać! Otworzyć drzwi! Wszyscy wysiadać!

Jim widział wpatrujące się w niego twarze uczniów. Widział Randy i Delilah, Edwarda i Sally Broxman, nawijającą włosy na pałce. Miał wrażenie, że biegnie przez melasę, a jego głos grzęźnie w gęstej mgle.

– Sssttaćććć! Wwwwszszszyyyyscccy wwwysssiaaaadddaaaaać...

Aparatostwór zatrzymał się nagle, jego nogi niepewnie drobiły, z trudem utrzymując równowagę. Po chwili spod czarnego materiału wychynęło dwoje ramion i odrzuciło go do tyłu, odsłaniając białą, niemal prostokątną czaszkę z kilkoma pasmami tłustych szarosiwych włosów. W twarzy dominowała wielka ciemna soczewka, przypominająca cyklopie oko. Stwór uniósł rękę, ale nie była to ręka, tylko poczerniały kawał metalu. Nie wiadomo było, gdzie kończy się człowiek, a gdzie zaczyna aparat – stanowili jedność.

Jim pognał w jego stronę, zdecydowany zaatakować go rzutem ciała i przewrócić, ale aparatostwór był zbyt szybki. Gdy Jimowi pozostało jeszcze dwadzieścia metrów, rozległ się ogłuszający trzask i świat pobieleł – autobus, niebo, drzewa, parking – po czym buchnęła fala gorąca, zmuszająca Jima do cofnięcia się. Zaplątały mu się nogi i padł ciężko na asfalt, uderzając się w skroń i zdzierając skórę z ręki.

Kiedy udało mu się unieść głowę i rozejrzeć wokół, autobus płonął. Aparatostwór cofnął się trzy kroki, zarzucił czarny materiał na głowę i zaczął odchodzić szybkim krokiem. Jim musiał pozwolić mu uciec, by zająć się autobusem, zamienionym w jeden wielki kłęb pomarańczowych płomieni, z których dolatywały krzyki próbujących się ratować uczniów Drugiej Specjalnej. Podbiegł do przedniej części autobusu, zasłaniając twarz ręką. Za drzwiami widział przerażoną, szarpiącą się Ruby. Spróbował podejść bliżej, ale gorąco zbyt mocno paliło. Randy i Roosevelt walili w szyby pięściami, próbując stłuc szkło.

Jim odwrócił się. Biegli już ku niemu ludzie.

– Młotek! – wrzasnął. – Łyżka do opon! Cokolwiek! Musimy ich stamtąd wydostać!

Ściągnął marynarkę i owinął nią lewą rękę, po czym zaczął przysuwać się powoli do drzwi, cały czas zasłaniając twarz prawą dłonią. Rękaw jego marynarki zaczął się palić, ale mógł wytrzymać. Po kilku dalszych centymetrach dotarł do klamki bezpieczeństwa i szarpnął za nią. Drzwi otworzyły się z dygotem i na asfalt wypadła Ruby z dymiącymi włosami. Kiedy Jim odciągnął ją od autobusu, podbiegła do nich matka Sary Miller i owinęła dziewczynę swoim zakietem. Po Ruby wyskoczyli Brenda, Vanilla i Freddy, ledwie żywi od dymu i gorąca. Zaraz po nich – dusząc się i gwałtownie kaszląc – Roosevelt i George.

Jim poczekał chwilę, by sprawdzić, czy jeszcze komuś uda się wyskoczyć z autobusu, wyglądało jednak na to, że nikt więcej nie wyjdzie.

– Sonny! – wrzasnął. – Sue-Marie!

Nie było odpowiedzi. Spróbował wskoczyć do środka, ale przednia opona, która do tej pory tylko gwałtownie dymiła, nagle buchnęła ogniem i stopnie autobusu zalały przypominające lawę strumienie płynnej gumy.

– Jim! – krzyknął doktor Ehrlichman. – Jim, nie wchodź tam! Autobus zaraz wybuchnie!

Jim zignorował go. Odwrócił się do jednego z przedsiębiorców pogrzebowych.

– Niech mi pan da marynarkę! – krzyknął.

– Słucham?

– Marynarka! Pańska marynarka!

Przedsiębiorca pogrzebowy zdjął marynarkę i z wahaniem podał Jimowi, który natychmiast zarzucił ją sobie na głowę, po czym przykucnął, wziął głęboki wdech i wszedł na schodki.

Autobus wypełniały kłęby czarnego dymu, widoczność sięgała zaledwie kilku centymetrów.

Kierowca leżał na kierownicy, miał zalaną potem, ciemnoczerwoną twarz. Jim podniósł go i sturlał po schodkach, a potem ruszył przejściem między fotelami. Niemal natychmiast znalazł

Randy'ego, skulonego na podłodze i walczącego o powietrze. Dysząc z wysiłku, przeciągnął go do wyjścia i pchnął w dół schodków. Nie miał czasu na delikatność ani myślenie o płonącej oponie.

Kaszłąc i nie mając czym oddychać, wrócił do środka i po chwili zderzył się z Sonnym, Edwardem i Sue-Marie, którzy stali, trzymając się za ręce.

– Tędy! – krzyknął chrapliwie i poprowadził ich do drzwi. – Wynoście się stąd!

Zaczęli schodzić po schodkach, a Jim zajrzał do środka autobusu. Musiało tam być jeszcze dwóch albo trzech uczniów. Sunął centymetr po centymetrze w głąb autobusu, przez cały czas zasłaniając twarz dłonią. Temperatura była tak wysoka, że czuł się, jakby siedł przez hutniczy piec. Paliły mu się włosy w nosie, a podeszwy jego najlepszych czarnych butów topiły się i przyklepiały do podłogi, więc każdy krok był męczarnią.

Pięć rzędów przed końcem autobusu znalazł Delilah – leżała półprzytomna na dwóch fotelach. Pochylił się nad nią i zaczął potrząsać.

– Delilah! Delilah! Obudź się! Musisz stąd wyjść! Kiedy jeszcze raz gwałtownie nią potrząsnął, otworzyła oczy, zamrugła i kaszlnęła. W oparciu siedzenia przed nią było głęboko wycięte słowo nemezys.

– Delilah! Musisz stąd wyjść!

Udało mu się wyciągnąć ją z fotela.

– Ccc... co? – wymamrotała. – Co się dzieje?

– Tędy! – krzyknął i wskazał dziewczynie kierunek ucieczki.

W tym samym momencie jedna po drugiej gruchnęły dwie głośne eksplozje – to popękały tylne szyby. Do wnętrza natychmiast wpadło powietrze i trzy ostatnie rzędy foteli zajęły ogniem. Winyłowe obicia siedzeń zaczęły się odwijać jak smocza skóra, a pianka ze środka foteli kapiała wielkimi, płonącymi gwałtownie kleksami. Nawet podłoga płonęła.

To koniec, pomyślał Jim. Nikt więcej nie przeżył, to niemożliwe. Muszę uciekać.

Kiedy już miał się odwrócić, między płomieniami mignął jakiś cień. Jim spojrział przez rozstawione palce. Nikt nie mógł czegoś takiego przeżyć, to było niemożliwe.

Ale z ognia wyszły dwie postacie – obie płonęły. Szli ku niemu Pinky i David, powoli, jakby wspinali się na stromą górę. Włosy Pinky płonęły, w górę jej sukienki pełzły płomienie. Miała twarz czarną i spękaną jak spalony boczek i jaskraworóżowe wargi. Unosiła ramiona w niewypowiedzianym bólu, jak wszyscy palący się ludzie.

David szedł tuż za nią, również z uniesionymi ramionami. Popychał Pinky, bo nic nie widział – jego obie gałki oczne pękły i wypłynęły, oczodoły były jedynie czarnymi, zalanymi kleistą masą dziurami. Nie miał już na głowie włosów, zamiast nich pokrywały ją błyszczące czarne łuski.

Pinky stanęła. Jimowi zdawało się, że wpatruje się w niego, nie umiał jednak powiedzieć, czy go widzi. David także się zatrzymał i oboje znieruchomieli, wciąż płonąc jak pochodnie. Z ich głów unosił się gęsty czarny dym, jakby byli żywymi świecami.

Usta Pinky poruszały się, próbowała coś powiedzieć. Zabrzmiało to jak „proszę”, ale równie dobrze mogło to być każde inne słowo. Jim wyciągnął rękę – choć nie mógł dosięgnąć dziewczyny, chciał dać jej do zrozumienia, że mu na niej zależy. Po chwili Pinky zwała się na podłogę, a David upadł na nią. Natychmiast ogarnęły ich płomienie buchające z płonącej podłogi i po kilku sekundach obydwie ciała zaczęły się palić jeszcze gwałtowniej.

Jim po omacku szukał drogi na przód autobusu. Dotarł do schodków, przez chwilę się wahał, po czym wyskoczył bokiem za drzwi, przez płomienie strzelające z palącej się opony. Uderzył o ziemię i zaczął się toczyć.

Ktoś natychmiast złapał go za lewą rękę, zaraz potem złapano go również za prawą.

Ktokolwiek to był, musiał być bardzo silny, bo odciągano go niemal biegnąc, aż jego pięty

podskakiwały na asfalcie. Przeciągnięto go do pasa trawy rosnącej obok parkingu, po czym delikatnie położono na niej.

Podniósł głowę i zamrugał. W dalszym ciągu łzawiły mu oczy, a słońce świeciło tak jaskrawo, że widział jedynie czarne sylwetki swoich wybawicieli.

– Wszystko w porządku, proszą pana? – spytała jedna z postaci.

Jim przysłonił oczy i zobaczył, że powiedział to młody czarnoskóry strażak w hełmie i gumowanej kurtce.

– Tak... – Zakaszał. – Dziękują. – Ponownie zakaszał, potem jeszcze raz. Po chwili dostał tak silnego napadu kaszlu, że musiał usiąść.

Ujrzał szkolny autobus, płonący niczym podążający do Walhalli nordycki statek pogrzebowy.

– Pinky... – wycharczał. – David... nie mieli szans...

– Proszę mi uwierzyć, zrobił pan wszystko, co było w pana mocy.

W tym momencie autobus eksplodował z potężnym hukiem. W poranne niebo wystrzeliła ogromna kula pomarańczowego ognia, a zaraz za nią wzbiła się kula czarnego dymu. We wszystkie strony rozprysnęły się kawałki plastiku, ram okiennych i metalowych rurek i po chwili zaczęły spadać na ziemię. Jakies dziesięć metrów od Jima o asfalt uderzyło płonące koło, podskoczyło i zaczęło się toczyć w dół zbocza, ścigane przez strażaka.

Karen przepchnęła się przez tłumek i uklękła obok Jima.

– Jim! Jim... nic ci się nie stało?

Zakaszał, pokiwał głową i znów zakaszał.

– Dym... – wychrypiał, wskazując na swoją klatkę piersiową. Objęła go i mocno przytrzymała.

– Jesteś szalony... mogłeś zginąć.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Miał podrażnione gardło i nie mógł złapać powietrza. Myślał tylko o jednym – o Pinky i Davidzie powoli podchodzących do niego i płonących jak pochodnie. Wiedział, że ten obraz będzie mu towarzyszył do końca życia.

Ten obraz i słowo nemezys.

Do sali dla rekonwalescentów wszedł porucznik Harris, bez zaproszenia przysunął sobie krzesło i usiadł. Miał dziś szczególnie jaskrawy krawat z purpurowymi błyskawicami. Wyjął chusteczkę i starł pot z górnej wargi.

– No i... jak się pan czuje, panie Rook?

– Lepiej. Nadal boli mnie gardło, ale przynajmniej mogę już mówić.

– Powiedziano mi, że zrobił pan kawał dobrej roboty. Uratował pan masę dzieciaków.

Jim zakaszłał i pokręcił głową.

– Powinienem być uratować wszystkich.

– Wiem, jak się pan czuje, ale zrobił pan, co w pańskiej mocy. Kiedy nadszedł czyjś czas, aby umrzeć, nawet Wszechmogący nic na to nie poradzi.

Jim sięgnął po plastikowy kubek i wypił trzy łyki ciepłej wody.

– Rozmawiał pan ze świadkami?

– Jak na razie z siedmioma albo ośmioma, ale będziemy rozmawiać ze wszystkimi, którzy tam byli. Ekipa naszych techników razem z ludźmi ze straży właśnie zabezpiecza wrak.

– Czy któryś ze świadków widział silny błysk światła?

Porucznik Harris skinął głową.

– Wszyscy go widzieli. To jedna z teorii: wędrujący piorun kulisty. Coś takiego zdarza się czasami na polach golfowych.

– A czy nikt nie widział... czegoś w rodzaju ludzkiej postaci?

Porucznik Harris poślinił palec i przerzucił w notesie kilka kartek.

– Nie – odparł policjant, po czym zapytał: – A pan widział?

– Tak, coś widziałem. I dlatego jestem pewien, że przyczyną pożaru nie był piorun kulisty.

– Tak? A co?

– Sądzę, że ma to związek z Sarą Miller i Bobbym Tubb – ...ze sposobem, w jaki zginęli.

Porucznik popatrzył na niego podejrzliwie.

– Chyba nie mówimy znowu o samozapaleniu człowieka? Poważnie zająłem się tym

tematem i wiem, że nie było prawdziwych przypadków samoistnego zapalenia się ludzi.

Przypadki spalenia się ludzi zdarzają się tylko wtedy, gdy są pijani i podpalą sobie ubranie, bo

usiedli za blisko otwartego ognia. Materiał ubrania działa jak knot, a tłuszcz w ciele jest jak

świeca.

– Nie było tam niczego takiego – odparł Jim. – Był gwałtowny wybuch gorąca i światła, coś

podobnego do błysku magnezji, używanej przez dawnych fotografów zamiast lamp błyskowych.

Porucznik Harris milczał i czekał, jakby spodziewał się usłyszeć coś więcej.

– To wszystko – powiedział po chwili Jim.

– To wszystko? Chce pan powiedzieć, że zadziałała tu magnezjowa lampa błyskowa?

A przez kogo została uruchomiona?

– Kogoś chcącego mi pokazać, kto tu rządzi.

– Może mi pan podać nazwisko tego „kogoś”? Wyjaśnić, jak to zrobił? I dlaczego to zrobił?

Jim znów zakaszłał.

– Nie sądzą, aby to cokolwiek dało... raczej tylko pogorszyłyoby sprawę. Chciałem jedynie

powiedzieć, że jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewien, iż wiem, w jaki

sposób zginęli Bobby Tubbs i Sara Miller... oraz kto i dlaczego ich zabił.

Porucznik otworzył i zamknął usta jak złota rybka.

– Nie próbuje pan chyba powiedzieć, że sprawcą nie był Brad Moorcock?

– Nie. W pewnym sensie to zrobił, ale w pewnym nie. Na pewno lepiej będzie, jeżeli zatrzyma go pan w areszcie... choćby dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Rozumiem – mruknął porucznik Harris, choć widać było wyraźnie, że niczego nie rozumiał. – Ale uważa pan, że obie te sprawy są ze sobą powiązane? Dzisiejsza z autobusem i śmierć tamtych dzieciaków?

– Owszem, są powiązane, tylko sprawcą był ktoś inny.

Porucznik Harris ponownie otarł twarz, a potem kark.

– To wszystko, co mi pan ma do powiedzenia?

– Jak na razie tak. Najpierw sam muszę wszystko zrozumieć.

Policjant wstał.

– Niech pan posłucha, panie Rook. Większość moich kolegów uważa, że już rozmawiając z panem, dowodzę, iż mam nierówno pod sufitem. Nie wierzą w świat pozaziemski i na pewno nie uwierzą, że istnieje sposób kontaktowania się ze zmarłymi i pogrzebanymi ludźmi. Ja jestem na takie sprawy otwarty, wierzę, że posiada pan jakąś rzadko spotykaną zdolność, i jestem gotów iść pańskim torem myślenia... jeżeli może to doprowadzić do rozwikłania tej sprawy. Jeżeli jednak stwierdzą, że wie pan o czymś, co mogłoby popchnąć do przodu śledztwo, ale ukrywa pan przede mną te informacje z sobie tylko znanych powodów, wrzucę pański tyłek do więzienia i zadbam o to, aby pozostał tam bardzo, bardzo długo... tylko na spleśniałych krakersach i ciepłym bezalkoholowym piwie. *Comprendo?*

Jim odpowiedział jedynie kasznięciem i kiwnięciem głową.

Kiedy wczesnym popołudniem wrócił do swojego mieszkania, promienie słońca padały na ścianę nad kominkiem i portret Roberta H. Vane'a. Cały obraz był skąpany w jaskrawopomarańczowym świetle – jakby płonął.

Jim stał i przyglądał się malowidłu. Z kuchni wyszła Tibbles, oblizując wąsy, które umazała

sobie olejem, jedząc kolację złożoną z pogniecionej widelcem przez Jima zawartości puszek sardynek. Wspięła się na tylne łapy i wbiła pazury przednich łap w materiał jego czarnych, pogrzebowych spodni.

– Zadowolony jesteś? – zapytał Jim Roberta H. Vane’a. Ale ukryty pod czarnym materiałem dagerotypista milczał.

– Co ci zawinili Pinky i David? Pinky wierzyła w raj, a David w Boga, i co z nimi zrobiłeś? Zniszczyłeś ich, zniweczyłeś ich wiarę... w imię czego?! Aby mi pokazać, że nie uda mi się ciebie pozbyć? Żeby mi udowodnić, że kiedy tylko zechcesz, możesz sobie wychodzić z obrazu, w dzień i w nocy, i nie ma sposobu, aby cię powstrzymać?

Staął na krawędzi paleniska i przysunął się do obrazu.

– Próbujesz sprawić, abym poczuł się słaby i bezradny? No to gratuluję, osiągnąłeś swój cel! Jeżeli chcesz wiedzieć, to mam wrażenie, że jestem kompletnie nieprzydatny, ale uwierz mi: jeszcze ukarzę cię za to, co dziś zrobiłeś, zmuszę cię do zejścia z tej ściany i gwarantuję, że już nigdy na nią nie wrócisz!

Stał ciągle przed obrazem, kiedy zapukano lekko do drzwi i do pokoju weszła Eleanor. Miała na sobie długą czarną suknię z materiału przypominającego gazę, bez bielizny pod spodem, i czarne sandały na bardzo wysokich podszewkach, wiązane na krzyżujące się na łydce rzemienie.

– Pan Mariti? Ach, to ty, Jim! Przepraszam, drzwi były otwarte... sądziłam, że się wyprowadzasz.

– Zmieniłem zdanie. Muszę najpierw wyrównać rachunki.

– Rachunki?

– Nie oglądałaś wiadomości? Na cmentarzu Rolling Hills zapalił się autobus z kilkunastoma uczniami w środku. Moimi uczniami. Dwoje zginęło w płomieniach.

– O Boże... – Eleanor podeszła i ujęła Jima za rękę. – straszne. Musisz być zdruzgotany.

Jim nie odwracał oczu od obrazu. Eleanor również popatrzyła na Roberta H. Vane'a.

– Nie sądzisz chyba, że...

– Nie sądzę, Eleanor. Jestem pewien. Pamiętaj, że umiem „widzieć”, a widziałem go tam.

Roberta H. Vane'a. Nikt poza mną go nie widział, ale to i tak nie ma znaczenia. Nie da się aresztować złego ducha. Nie można oskarżyć portretu o zabójstwo. Niechętnie to przyznaję, ale miałaś rację... jestem jedyną osobą, która może go ukarać.

– Co zamierzasz?

– Będę musiał się dowiedzieć, w jaki sposób Giovanniemu Boschetto udawało się utrzymać go w portrecie. Cokolwiek robił, działało to jedynie za jego życia. Będę musiał pójść krok dalej i spróbować zatrzymać tu Vane'a na zawsze... albo zniszczyć obraz, aby nie mógł do niego powrócić.

– Giovanni nie dał mi najmniejszej wskazówki. Powiedział, że im mniej będę wiedziała na ten temat, tym będę bezpieczniejsza.

– No cóż, są tu wszystkie książki i notatki Giovanniego. Wygląda na to, że mam do wykonania trochę pracy domowej.

– Jadłeś coś? Jeśli jesteś głodny, przyniosę ci coś. Zostało mi jeszcze trochę zapiekanki z kurczaka w bazylii.

– Czemu nie? Otworzę butelkę wina. – Zdjął okulary i przetarł oczy. Ciągle go jeszcze bolały od dymu. – Nie sądzę, by w nocy udało mi się zasnąć.

Eleanor delikatnie dotknęła jego policzka.

– Zostanę z tobą.

– Świetnie. Zobaczmy, czy uda nam się uwięzić tego potwora, zanim słońce znów wzejdzie.

Rozdział 14

Zrobili na stole w jadalni trochę wolnego miejsca i zjedli kolację, obłożeni książkami

i pamiętnikami Giovanniego Boschetto. Jim znalazł ponad trzydzieści książek o początkach fotografii oraz o metalach szlachetnych i stosowaniu srebra od czasów starożytnych po dzisiejsze do celów magicznych i w mistycyzmie.

– Srebro to metal księżycowy, kojarzony z okultyzmem, ciemnością i podświadomością. Jest w opozycji do złota, metalu Słońca, symbolizującego światło i życie. Czystość srebra i jego związek z Księżycem czyni je doskonałym materiałem na talizmany i amulety i sam Mahomet zabronił używania do ich wyrobu innych materiałów. – Jim wyciągnął rękę nad stołem wziął do ręki medalion, który Eleanor nosiła na szyi. – To srebro?

Skinęła głową.

– Dali mi go Benandanti, kiedy zgodziłam się tu zamieszkać. Ma ostrzegać mnie przed zbliżaniem się zła.

– Działa?

– Gdy podchodzę do portretu, zaczyna wariować. Niemal kipi. Tak, sądzę, że działa. Widzisz twarz na nim? To Głupiec. Mówi się, że głupcy są bardzo wrażliwi na zło... jak psy i koty.

– Rozumiem. To by chyba wyjaśniało, dlaczego ja też jestem wrażliwy na zło.

Eleanor ujęła go za rękę.

– Nie jesteś głupcem, Jim. I wykazałeś się niezwykłą odwagą. Najpierw wyciągnąłeś innych...

– Może masz rację. Jak powiedział Blake: „Gdyby głupiec wytrwał w głupstwie swoim, stałby się mądry”* [*William Blake: *Zaślubiny Nieba i Piekła – Przysłowia Piekła* (tłum. ze strony internetowej w.w.w.poema.art.pl)]. – Dołał sobie i Eleanor wina. – Nie zrozum mnie źle... nie robię tego dlatego, że chcę. Robię to tylko dlatego, że nikt inny nie może.

Eleanor sprzątnęła naczynia i włożyła je do zmywarki, a Jim zaczął czytać pamiętniki

Giovanniego Boschetto. Było ich w sumie czterdzieści jeden, wszystkie oprawione w brązową

skórę. Ponieważ pismo Giovanniego było małe i nierówne, w dodatku wypełniało całe strony, bez marginesów i odstępów, Jim musiał założyć okulary.

Większość zapisków dotyczyła tego, co Giovanni zjadł („świeże figi i *prosciutto* z serem *scamorza*”) albo przeczytał (*Święta magia Maga Abramelina, Dyskurs o sztukach przeklętych, Księga Fausta*), ale w niektórych partiach tekstu rzucał gromy na Benandantich i Roberta H.

Vane’a i narzekał, że całe jego życie zostało zmarnowane przez „to niemożliwe i niebezpieczne zlecenie”.

Powoli Jim zaczął rozumieć, dlaczego obraz z Robertem H. Vane’em wisi właśnie tutaj, w tym mieszkaniu, i dlaczego Benandanti nie mogą się go pozbyć. Ciemną stroną osobowości Roberta H. Vane’a Giovanni nazywał „cienistym ja”.

W ostatnich latach życia Robert H. Vane uczynił wiele dobra, był jednak słaby fizycznie i często miewał długie okresy złego samopoczucia. Nie waham się przypisywać jego chorowitości utracie energii, spowodowanej przez uwięzienie jego cienistego ja na srebrnej płycie fotograficznej, co nastąpiło, kiedy wykonywał swój autoportret. Człowiek pozbawiony zła może stać się świętym, ale jednocześnie staje się podatny na wszelkiego rodzaju ataki – czy to wirusa, czy innego człowieka o niegodziwych intencjach.

Vane zmarł na zapalenie płuc wiosną 1861 roku. Jego ciało zostało najpierw pochowane na rancho Nuestra Senora, należącym do jednego z jego przyjaciół, farmera o nazwisku John Wakeman, ale po trzech miesiącach ekshumowano ciało i przeniesiono w nieznane miejsce. Pan Wakeman skarżył się, że Vane „nie spoczął”, bo po pogrzebie zarówno jego córki, jak i robotnicy zatrudnieni przy zrywaniu owoców widzieli go wiele razy w oddali, wędrującego przez sad.

Tak więc dobre ja Vane’a, choć martwe, wciąż przebywało na naszym świecie, a z dużej liczby podpałek i zabójstw dokonanych za pomocą ognia w okolicach Los Angeles wynikało, że jego cieniste ja nadal zachowuje dużą moc. W dalszym ciągu robił portrety i zbierał na

posrebrzanych płytach złe ja ludzi, którzy zgodzili mu się pozować – a było ich bardzo wielu.

Ale dagerotypia to skomplikowany proces i do zrobienia choćby jednego zdjęcia potrzeba sporo ciężkiego sprzętu. Pod koniec wieku aparaty na płyty fotograficzne wyszły z użycia i stosowano je już tylko do fotografowania statycznych grup ludzkich, toteż Vane'owi coraz trudniej było pracować bez zwracania na siebie uwagi. Aby zebrać jak najwięcej dusz, wkradał się na wesela, wchodził na imprezy sportowe i robił masowe zdjęcia na ulicach, zdawał sobie jednak sprawę, że Benandanti mają go nieustannie na oku, musiał więc działać coraz ostrożniej.

W 1909 roku, po latach szczegółowego śledztwa, agenci Benandantich odkryli wreszcie, że cieniste ja Vane'a ma kryjówkę i magazyn płyt w pewnym budynku gospodarczym na Long Island. Agenci włamali się tam i zniszczyli wszystkie dagerotypy, jakie udało im się znaleźć, włącznie z autoportretem Vane'a.

Niestety przez następne dwa i pół roku liczba pożarów i morderstw nie spadła i agenci Benandantich doszli do wniosku, że cieniste ja Vane'a musi ukrywać się gdzie indziej. Po serii podpałek w Malibu odkryto kolejną partię dagerotypów i namalowany portret Vane'a. Agenci zniszczyli płyty fotograficzne, okazało się jednak, że nie da się zniszczyć obrazu. Nie można było się go pozbyć żadnymi stosowanymi powszechnie sposobami. Próbowano go spalić. Pocięto na kawałki i rozwieziono je po kraju. Zawieziono go do Meksyku i zakopano w ziemi. Za każdym razem wracał – cały i nienaruszony – do miejsca, skąd go zabrano.

Benandanti doszli w końcu do wniosku, że nie są w stanie zrobić nic więcej poza nieustannym pilnowaniem obrazu i jednocześnie szukaniem sposobu na złamanie zaklęcia, które go zabezpieczało. Piszę „zaklęcie”, ponieważ nie przychodzi mi do głowy żadne inne słowo, jakim można by opisać nadnaturalną moc chroniącą portret.

Agenci Benandantich zniszczyli cały sprzęt fotograficzny Vane'a, a dla zagwarantowania, że dagerotypista nie wyjdzie z obrazu i nie zbierze kolejnych dusz, od 1912 roku kolejni Benandanti

zglaszali się na ochotnika do pilnowania obrazu.

W 1935 roku, kiedy ukończono budowę Benandanti Building, wydzielono w nim specjalne mieszkanie dla człowieka, który zgłosił się do pilnowania portretu Roberta H. Vane'a. Benandanti uważali, że choć do tej pory nie udało im się zniszczyć portretu, uratowali kilka pokoleń Kalifornijczyków przed bezlitosnymi działaniami tego „sępa dusz”.

Na początku 1965 roku do Benandantich zaczęły docierać ze Środkowego Zachodu niepokojące raporty o tajemniczych wypadkach, w których ludzie spalali się na popiół, a ich farmy były zrównywane z ziemią. Agenci Benandantich podjęli dochodzenie w Iowie i Nebrasce i wkrótce odkryli, że po obu stanach krąży osobnik, robiący „staromodne” zdjęcia. Okazało się, że człowiek ten robi to już od dłuższego czasu – od dwudziestu albo i trzydziestu lat – wędrując pomiędzy Maine a Miami [*Wschodnie wybrzeże USA.] .*

W końcu znaleziono zrobione tuż pod Cedar Rapids w stanie Iowa zdjęcie białej furgonetki marki Ford, na boku której znajdował się napis: ROBERT H. VANE, FOTOGRAFIE RODZINNE W STARYM STYLU. Zdjęcie nosiło datę z października 1964 roku. Gdy Benandanti sądzili, że cieniste ja Vane'a tkwi uwięzione w portrecie, dagerotypista krążył po kraju i gromadził złe ja ludzi.

Przez nikogo nie zauważony bez trudności opuszczał portret. W końcu był martwy (choć nie przeszedł w zaświaty) i właśnie dzięki temu mógł pojawiać się tam, gdzie chciał, i znikać, kiedy chciał.

Jim opadł plecami na oparcie.

– A więc dlatego Benandanti chcieli, abym tu zamieszkał... – mruknął i podał Eleanor pamiętnik. – Vane potrafi być niewidzialny, jeśli chce. Nikt nie może go zobaczyć, poza takimi ludźmi jak ja. Jeżeli w ogóle istnieją inni „tacy jak ja”...

– Tak mi przykro... – powiedziała Eleanor.

– Niepotrzebnie. Nie przywróci to życia młodym ludziom, którzy zginęli.

Eleanor wzięła kolejny tom dziennika i przerzuciła kartki.

– Czy Giovanni napisał, w jaki sposób uwięził Vane’a w obrazie?

Jim wziął do ręki dziennik z 1965 roku i poszukał wpisów z września.

– Zobaczymy... wtedy właśnie zgodził się tu zamieszkać.

Mimo tego wszystkiego, co Benandanti wiedzą o niewidzialnych wyjściach i powrotach

Roberta H. Vane’a, X poprosił mnie dzisiaj, abym przejął pilnowanie portretu. Odmówiłem.

Wiedziałem, jakie to będzie niewdzięczne i nużące zadanie, a do tego – gdybym próbował przeszkodzić Vane’owi w zbieraniu dusz – na pewno także niebezpieczne.

W następnym tygodniu Giovanni napisał jednak:

Z ciekawości podjąłem pewne badania z zakresu malowania obrazów, zwłaszcza portretów, i dowiedziałem się, w jaki sposób wykorzystywano je przez wieki jako miejsca ukrywania ludzkich dusz.

Odbyłem na przykład, że ksiądz Urban Grandier, którego oskarżono o to, że w 1634 roku spowodował opanowanie zakonnicy w Loudun przez diabła, kilka dni przed egzekucją poprosił, aby namalowano mu portret. Przez wiele następnych lat na ulicach Loudun widywano postać bardzo przypominającą Grandiera, a dziewięciu ludzi spośród tych, którzy go torturowali albo zeznawali przeciwko niemu, zostało uduszonych we własnych łóżkach.

Z Watykanu przysłano kardynała Vaudreya, który miał zbadać te przypadki. Przesłuchał on artystę, który namalował portret Grandiera – dowiedział się, że ponoć Grandier zażądał domieszania do farb tlenku srebra oraz sproszkowanej „suszonej skórzanego czapeczki”, czyli najprawdopodobniej chodziło o „czepek”, w którym urodził się Grandier.

Kardynał Vaudrey próbował spalić obraz, ale malowidło nie chciało się zapalić – nawet nasączone olejem. Wrzucił je więc do rzeki Vienne, jednak następnego dnia stało oparte o ścianę

w domu, z którego go zabrano.

Kardynał uznał, że ma do czynienia z dziełem szatana, i postanowił uwięzić Grandiera w portrecie, aby nigdy nie mógł stamtąd uciec. Jediną metodą osiągnięcia tego było odwrócenie procedury egzorcyzmu. Innymi słowy, zamiast wypędzać złego ducha, Vaudrey musiał sprawić, aby pozostał on wewnątrz portretu.

Problem polegał na tym, że kardynał musiałby przeprowadzać ów rytuał dwa razy każdego dnia przez całe swoje życie, po nim zaś przejmowałiby ten obowiązek kolejni egzorcyciści – aż do końca świata. Byłoby to konieczne z powodu wpływu księżyca, który przy każdym obrocie wokół Ziemi oddziałuje nią siłą grawitacyjną, powodując przyływy i odpływy w oceanach, a w przypadku srebra wyciągając z niego naj – się we wnętrzu metalu złe duchy.

Gdybym przyjął na siebie obowiązek utrzymania Roberta H. Vane’a w portrecie, musiałbym powtarzać ów rytuał dzień w dzień, noc w noc do końca życia, prowadzić nieustanną walkę z Księżycem.

Następny wpis był bardzo krótki:

Muszę podjąć decyzję. Szukałem rady w modlitwie. Spierałem się sam ze sobą. Wiem, co będę musiał poświęcić: moją wolność, moje życie, moje szczęście. Ale wiem też, że nie mam wyboru. Jeżeli odmówię pilnowania portretu, zginą setki, tysiące ludzi. Co noc cały kraj zalewałyby cieniste jaźnie, dokonując wszelkich aktów zła, jakie tylko można sobie wyobrazić, a ogień pożarów ogarniających Amerykę płonąłby gwałtowniej od ogni piekła.

– No tak... – mruknął Jim. – Teraz wiemy, z czym mamy do czynienia. Giovanni zmarł i w tym momencie egzorcyzmy zostały przerwane, więc Vane mógł wyjść z portretu. Znow zaczął robić zdjęcia. Musiał też zrobić zdjęcie Bradowi Moorcockowi, ponieważ to jego widział nocujący na plaży pijaczków, wchodzącego do domku Tubbsów. Oczywiście nie był to Brad Moorcock z krwi i kości, a tylko jego złe ja, które postanowiło zemścić się na Sarze Miller za to,

że z nim zerwała.

Wstał.

– Wszystko pasuje – dodał po chwili. – Giovanni zmarł mniej więcej trzy tygodnie temu i dokładnie w tym samym czasie koledzy Brada zauważyli, że ich kumpel zachowuje się zupełnie inaczej. Ni stąd, ni zowąd zaczął być tak miły, że nie mogli uwierzyć, iż to on. Powodem było oczywiście to, że nie w nim zła, ani krztyny zła. Był stuprocentowo Dobrym Bradem. Całe jego zło ja zostało przez Roberta H. Vane’a przeniesione na płytę fotograficzną. Ale jest teraz czymś w rodzaju wampira, tyle że kryjącego się nie w trumnie, a w posrebrzonej płycie dagerotypowej... i podobnie jak wampir wychodzi jedynie nocą, kiedy Księżyc wyciąga je ze srebra.

– Co planujesz? – spytała Eleanor.

– Krok numer jeden: znaleźć miejsce, w którym Robert H. Vane trzyma swoje dagerotypy.

Do pokoju przesłuchań wszedł Brad w jasnopomarańczowym więziennym kombinezonie, ze skutymi rękami. Był nieogolony i sprawiał wrażenie wyczerpanego, a kiedy usiadł, spuścił głowę.

– Radzisz sobie jakoś? – zapytał Jim.

– Widziałem w telewizji, jak palił się autobus. To było straszne.

– Właśnie między innymi dlatego tu jestem. Uważam, że to, co stało się z autobusem, może mieć związek ze sposobem, w jaki zginęli Bobby i Sara.

Brad podniósł głowę i wbił wzrok w Jima.

– Jak to?

– Jeszcze nie umiem tego dokładnie wyjaśnić, ale chcę, żebyś wiedział, że to nie ty ich zabiłeś, i myślę, że potrafię to udowodnić. To znaczy ty ich zabiłeś, ale nie byłeś sobą. Nie byłeś

tym Bradem, który teraz siedzi tu i rozmawia ze mną.

– Przepraszam, panie Rook, ale nie rozumiem.

– No dobrze... ujmijmy to w ten sposób... czułeś się w ostatnich trzech tygodniach inaczej?

Byłeś szczęśliwszy? Bardziej przyjacielski? Koledzy ze szkoły mniej cię irytowali?

Brad wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym.

– Czy w ciągu ostatnich trzech tygodni ktoś robił ci zdjęcia?

– Robił. Po wygranym meczu z Santa Cruz.

– Kto cię fotografował?

– Jakiś facet z furgonetką, do której boku zamocowano namiot.

– Gdzie to było?

– Zaraz obok college’u, na West Grove Drive. Miał na furgonetce napis, że robi fotografie w starym stylu. Kilka wisiało na samochodzie i wyglądały naprawdę ekstra... no wie pan, jak fotki ze starych listów gończych.

– Mógłbyś opisać tego człowieka?

– No... nie wiem. W namiocie było dość mroczno, a on przez większą część czasu miał na głowie czarny materiał. Poprosił mnie, abym stanął na jakimś tle i nagle BAM!, błysnął fleszem, a potem widziałem tylko gwiazdy.

– Kto przyjął od ciebie pieniądze i zapisał twoje nazwisko i adres?

– Kobieta. Była chyba jego asystentką.

– Mógłbyś ją opisać?

Brad przez chwilę się zastanawiał, po czym powoli pokręcił głową.

– Nie wiem dlaczego, ale... nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądała. Mam wrażenie, że była... ciemna.

– Wysoka? Niska? Pamiętasz, jak brzmiał jej głos?

– Nie. Przykro mi, mam dziurę w pamięci.

– Nie pamiętasz niczego, co powiedziała? Zupełnie niczego?

– Powiedziała... nie, naprawdę niczego nie pamiętam.

– Spróbuj.

Brad przycisnął palce do czoła i zamknął oczy.

– Powiedziała coś takiego: „Zrobiliśmy ci zdjęcie, młody człowieku, a także odebraliśmy ci wszelkie kłopoty...”. Coś tym rodzaju.

– Dostałeś to zdjęcie?

– Tak. Mniej więcej tydzień później. Mam je w domu.

– Zwróciłeś może uwagę, skąd zostało wysłane?

– Nie. To ważne?

– Możliwe. Ktoś jeszcze zrobił sobie zdjęcie?

– Nie, tylko ja. Danny Magruder też chciał sobie zrobić, ale przyjechała jego dziewczyna, więc wziął bon na zrobienie sobie zdjęcia gdzie indziej.

– No cóż, dziękuję, Brad – powiedział Jim i wstał.

– Wyciągnie mnie pan stąd, panie Rook? – spytał chłopak. – Nie wytrzymam tu dłużej.

– Robię, co mogę.

– Przysięgam na Biblię, że nie zabiłem Sary. Ani Bobby’ego.

– Wiem, Brad. Ale musisz okazać jeszcze trochę cierpliwości.

Z powodu tragedii na cmentarzu doktor Ehrlichman rozważał zamknięcie West Grove

Community College do końca tygodnia, jednak Nita Kherevensky, szkolny psycholog, wyraźnie zaleciła, aby tego nie robił. Jej zdaniem uczniowie powinni być razem, aby móc się wygadać i podzielić żałobą.

– Muzimy wyrazić naższ ból i zapydadź, dlażego to zie zdarzyło. Dlażego, dlażego, dlażego?

– oświadczyła swoim dziwnym angielskim.

– Ona po prostu stara siej zwrócić na siebie uwagę – stwierdziła sucho Raananah

Washington.

Kiedy Jim wszedł do Drugiej Specjalnej, z zaskoczeniem stwierdził, że wszyscy byli obecni

– włącznie z Randym, który mocno się posiniaczył, kiedy wypadał z autobusu, wyrzucony stamtąd przez Jima. Większość miała plastry albo bandaże na głowie, a oko Roosevelta zasłaniała piracka klapka.

Gdy Jim odłożył książki na stolik, cała klasa wstała i zaczęła klaskać. Stał z pochyloną głową i z całych sił powstrzymywał płacz. Po kilkunastu sekundach uniósł dłoń, aby uciszyć uczniów.

Wszyscy usiedli.

– Zazwyczaj, kiedy dzieje się coś straszego, nie rozumiemy tego. Samochody się rozbijają, ludzie przypadkowo toną, przedawkowują, giną w pożarach. Możemy wtedy jedynie rozpaczać, mówić sobie, że nasz Pan chadza tajemniczymi ścieżkami, i próbować żyć dalej. To jednak, co stało się wczoraj, kiedy straciliśmy Pinky i Davida, nie było przypadkowym, niemożliwym do wyjaśnienia działaniem siły wyższej. Wasz autobus nie zapalił się przypadkowo. Choć wiele osób widziało błysk światła, nie było błyskawicy. Nie pękł też żaden przewód paliwowy.

Uczniowie patrzyli po sobie zdezorientowani, a Cień mruknął:

– Hę? O czym on gada?

Jim przez chwilę milczał, po czym znowu zaczął mówić:

– To, co powiem, być może brzmi wariacko i kto nie zechce uwierzyć... jego sprawa, ale to prawda... niezależnie od tego, jak dziwnie brzmi. Poza tym, aby coś takiego nie wydarzyło się nigdy więcej, potrzebuję waszej pomocy. Niektórzy z was być może słyszeli, że mam zdolność widzenia rzeczy, których większość ludzi nie widzi. Kiedy byłem młodym chłopcem, o mało nie

umarłem i od tego czasu widzę zmarłych tak samo wyraźnie jak was teraz. Widzę także zjawy, które nazywamy demonami. Wczoraj wasz autobus został zaatakowany przez ducha Roberta H. Vane'a, tego samego Roberta H. Vane'a, na temat którego zbieraliście informacje.

– Pięknie... – mruknął Roosevelt, opadając plecami na oparcie.

– Czy to coś w rodzaju egzaminu? – spytał podejrzliwie Philip.

– Ależ proszę pana! – zawołał Edward. – Robert H. Vane zmarł ponad sto pięćdziesiąt lat temu!

Jim zaczekał, aż się uciszą.

– Zgadza się. Robert H. Vane zmarł w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym roku, a jego ciało zostało pochowane gdzieś w Los Angeles, w nieoznakowanym grobie. Zła część jego duszy żyje jednak dalej. Ukrywa się we wnętrzu portretu Roberta H. Vane'a, który wisi na ścianie w moim mieszkaniu. Według mnie boi się, że mogę odkryć sposób zniszczenia go, i dlatego rozpaczliwie stara się mnie pierwszego zniszczyć. – Rozejrzał się po klasie. – Niestety dotyczy to także wszystkich osób, na których mi zależy... a więc i was.

Większość uczniów Drugiej Specjalnej była bardzo sceptyczna, choć niektórzy wierzyli w istnienie Blair Witch, zombi i uważali za prawdziwe legendy miejskie o autostopowiczach mordercach oraz atakujących w toaletach pszczołach zabójcach. Ale minionego dnia o mało wszyscy nie zginęli w płomieniach podpalonego autobusu, a Jim ryzykował własne życie, aby ich ratować. Wystarczyło to, aby siedzieli teraz w pełnym szacunku milczeniu i słuchali, co ma im do powiedzenia.

Opowiedział o wszystkim, co przydarzyło mu się od przeprowadzki do mieszkania w Benandanti Building, a także o tym, co odkrył w dziennikach Giovanniego Boschetto.

Opowiedział o Bradzie i wyjaśnił, że za dokonanie zemsty na Sarze i Bobbym odpowiedzialne jest cienie ja Brada.

Roosevelt podniósł rękę.

– To cieniste ja jest w dalszym ciągu częścią Brada, prawda? Więc za zabicie Sary i Bobby’ego odpowiedzialna jest część Brada?

– Zgadza się, ale nie ta część, która siedzi w areszcie w komendzie głównej policji i czeka na przedstawienie mu oskarżenia. Ta część jest stuprocentowo dobra. I jeszcze jedno: gdyby nie sfotografowano Brada i zła część osobowości dalej by w nim tkwiła, w dalszym ciągu wszyscy uważaliby go za wrzód na dupie, jakim zawsze był, ale jest bardzo mało prawdopodobne, że zabiłby Bobby’ego i Sarę. Jego dobre ja trzymałoby w szachu jego złe ja... tak samo, jak to się dzieje u każdego z nas. Wszyscy jesteśmy istotami, w których zło i dobro stale się równoważą.

– Jak w przypadku doktora Jekylla i pana Hyde’a – stwierdził Edward.

– Coś w tym rodzaju. Ale złe ja Brada może się uzewnętrznić, kiedy tylko chce... nawet kiedy Brad siedzi w więzieniu. I tak będzie, dopóki istnieje jego dagerotyp.

– Powiedział pan, że potrzebuje naszej pomocy – wtrącił Freddy. – Co moglibyśmy zrobić?

Nie widzimy zmarłych. Gdybym któregoś zobaczył, narobiłbym chyba w spodnie.

– Potrzebuję do pomocy czworo albo pięcioro z was. Oddział A. Kiedy Robert H. Vane znów wyjdzie z obrazu, ruszę za nim w pogoń. Gdy dowiem się, gdzie ukrywa swoją furgonetkę i gdzie trzyma dagerotypy, zniszczę je.

Uczniowie Drugiej Specjalnej patrzyli po sobie zaniepokojeni.

– To legalne? – spytała Sue-Marie.

– Robert H. Vane nie żyje od stu pięćdziesięciu lat. Jak miałby złożyć skargę?

– A co z jego asystentką? – spytał George. – Kobieta, której Brad płacił, kiedy robiono mu zdjęcie? Ponieważ Vane zamienił się w... mutanta, ktoś musi prowadzić samochód oraz dbać o sprzęt i materiały.

– Nie wiem, kto to jest ani dlaczego mu pomaga – odparł Jim. – Nie zapominajcie jednak, że

ta osoba pomagała w popełnianiu morderstw, więc też raczej nie będzie składać skarg na policję.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza. Uczniowie próbowali i pojąć, co właściwie Jim powiedział i o co prosi. Widział to na ich twarzach. A jeśli stracił rozum? Sposób, w jaki zapalił się autobus, świadczył o tym, że musiał to być piorun. Co jest bardziej prawdopodobne: uderzenie pioruna czy działalność ducha, pół człowieka i pół aparatu fotograficznego? Cień uniósł dłoń, jakby składał hołd sztandarowi narodowemu, i wstał powoli.

– Chciałem tylko powiedzieć, że to największa bzdura, jaką słyszałem w życiu, i gdyby ktokolwiek inny mi coś takiego powiedział, dałbym mu na taksówkę do wariatkowa, ale panu wierzę, panie Rook, ponieważ wiem, że pan nigdy nie kłamie i jeżeli pan chce, aby ktoś panu pomógł rozwalić zbiór tych dage-coś-tam, idę z panem.

Zanim skończył mówić, podnieśli ręce Randy i Freddy.

– Ktoś jeszcze? – spytał Jim. – Nie mówię, że to będzie bezpieczne, ale nie widzę innego sposobu ochrony się przed tym zagrożeniem. Wczoraj trafiło Pinky i Davida, jutro może trafić każdego z was.

Jako następni ręce podnieśli Edward i – ku zaskoczeniu Jima – Sue-Marie.

– Sue-Marie... nie wiem, czy to dobry pomysł, aby uczestniczyła w tym dziewczyna.

– Zamierza mnie pan dyskryminować z powodu pici?

– Hm... jeśli nie będziesz oczekiwać innego traktowania niż chłopcy, to nie.

– Proszę pana, Pinky była moją najlepszą przyjaciółką.

Jim popatrzył na Sue-Marie i zobaczył, że dziewczyna jest bliska płaczu.

– Oczywiście. Wiem o tym. Dzięki za zgłoszenie się.

– Ten koleś z aparatem zabił Pinky i Davida i pokażemy mu, że nikt nie może sobie pogrywać z Drugą Specjalną, nieważne, jak długo nie żyje – oznajmił buńczucznie Cień. – Nawet jeżeli zmarł w czasach dinozaurów.

– No dobrze – powiedział Jim. – Chcę zakończyć lekcję fragmentami wiersza, który przeczytam dla Pinky i Davida. Chciałbym, żebyście wszyscy wstali, zamknęli oczy i pomyśleli o Pinky i Davidzie, o ich rodzicach oraz ich braciach i siostrach i o wszystkich, którzy są w żałobie z powodu ich śmierci. Ten wiersz napisał Conrad Aiken, a nosi on tytuł *Zachowaj w sercu kodeks natury** [*Tłumaczył Jarosław Marek Rymkiewicz.] .

Zauważ: tu jest księżyc, tak zimny jak zawsze,

Na jego twarzy wieki i lody, i śnieg;

Ten chłód umysł zmrożony, tylko on, znać może.

Gdy miłość i nienawiść są drżeniem gałązek.

W postscriptum dodaj, że deszcz przestał padać.

Wiatr z południo-zachodu lub z południa wieje,

Kłęski są zapomniane, rany wybaczone;

Gwiazda Północna zawsze, przemieniona, świeci.

Przestrzegaj, aby głogi płonęły najjaśniej,

Gdy słońce Biegun Północny porzuca.

Zapisz w diariuszu: serce uderzyło

Dwa lub trzy razy, data, bez powodu;

To tylko przyjaciele umarli przed czasem;

Mądrość przyszła zbyt późno, ta mądrość zbyteczna.

Zamknął książkę, a Vanilla powiedziała:

– Amen.

Rozdział 15

Około jedenastej Jim poczuł głód i odgrzał sobie w kuchence mikrofalowej puszkę, chili *con carne*. Ledwie zjadł, zadzwonił dzwonek do drzwi. Poszedł otworzyć, wycierając po drodze usta

kawałkiem papieru kuchennego. Pod drzwiami stała jego „drużyna A”: Cień, Randy, Edward, Freddy i Sue-Marie. Wszyscy byli ubrani na ciemno i mieli wełniane czapki, a Cień – choć i tak zwracał uwagę swoim wzrostem – miał kaptur.

– Niezły budynek, panie Rook – mruknął Freddy. – Mieszkał tu Scratch Daddy?

– Gdybym wiedział, kto to jest, pewnie bym ci odpowiedział na to pytanie.

– Najbardziej czadowy mikser we wszechświecie. Sue-Marie weszła do salonu i zaczęła po nim krążyć z otwartymi ustami.

– Niesamowite... – powiedziała. – Jak w zamku Draculi.

– Jadł pan chili na kolację? – spytał Randy, pociągawszy nosem. – Wrzuca pan do chili pokruszone płatki kukurydziane? Ja zawsze tak robię. Nadaje to fasoli lepszą konsystencję.

A mój stryj dodaje do swojej popiołu z papierosa... słyszał pan kiedyś o czymś takim?

– To było chili z puszki. Nie mam czasu gotować.

Cień podszedł do portretu Roberta H. Vane’a.

– A więc ten gość tutaj się chowa? Rany, naprawdę dziwny obraz...

Zebrali się wokół malowidła. – Nie wiem na pewno, czy będzie próbował wyjść dziś –

wieczorem – powiedział Jim. – Możliwe, że będziemy musieli czekać dwie albo trzy noce,

a może nawet dłużej... nie wiadomo. Mam jednak przeczucie, że on musi nieustannie zbierać

nowe zdjęcia ludzi... tak, jak wampiry potrzebują nieustannie świeżej krwi. W końcu był

uwięziony przez niemal czterdzieści lat i do odbudowania swojej siły może potrzebować dużo

świeżego ludzkiego zła.

– Panie Rook, powiedział pan w szkole, że potrafi pan widzieć zmarłych, demony i tak dalej.

Czy kiedy Vane wyjdzie z tego obrazu... jeżeli wyjdzie... my też go zobaczymy? – spytał Freddy.

– Nie wiem. Może go ujrzycie, ale nie jestem pewien, bo jeszcze nigdy nie miałem z czymś

takim do czynienia. To, co kryje się w portrecie, nie jest duchem w zwykłym znaczeniu tego

słowa, bo reprezentuje tylko jedną część osobowości Roberta H. Vane'a. Poza tym on się zmutował. Jak już mówiłem, jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ma nogi jak trójnog fotograficzny, jedno oko, podobne do obiektywu aparatu fotograficznego, i rękę jak flesz.

– Pół człowiek, pół maszyna – podsumował Randy. – Jak Robocop. Albo Seven of Nine ze *Star Treka*.

– Ale Robocop i Seven of Nine to postacie z filmów, a Robert H. Vane jest prawdziwy – oświadczyła Sue-Marie.

Jim wziął do ręki splątany kłęb sznurka, do którego końca przywiązany były mały bożonarodzeniowy dzwoneczek, otwieracz do puszek i dwa pęczki kluczy.

– Zawieszę to w poprzek obrazu. Jeżeli będzie chciał wyjść, powinniśmy go usłyszeć.

– I co wtedy?

– Podążymy za nim. To wszystko, co możemy zrobić.

W tym momencie do salonu weszła Tibbles. Stała i rozejrzała się wokół.

– Co się stało pana kotu? – spytała przerażona Sue-Marie.

– Pan Vane próbował go podpalić, ale nie do końca mu się to udało.

Tibbles zrobiła rundę wokół salonu, po kolei podejrzliwie obwąchując uczniów Jima.

Wyglądało na to, że wszystkich zaakceptowała, bo kiedy skończyła przegląd, wspięła się Cieniowi na nogę i zaczęła ocierać mu się o kolano.

Jim podrapał kotkę za uszami.

– Wygląda teraz dość paskudnie, ale niedługo futro jej odrośnie. To cud, że nie zginęła.

– Może wcale nie cud – mruknął Edward. – Jest w końcu kotem, a zwierzęta nie mają złej części osobowości. Przecież nie umieją odróżniać dobra od zła.

Cień próbował oderwać Tibbles od nogawki.

– Aua! Może nie odróżnia dobra od zła, ale wie, jak wbijać pazury!

Jim oprowadził swoją drużynę po mieszkaniu. Sue-Marie była zachwycona łazienką i wprosiła się pod prysznic. Randy zbadał kuchnię, przejrzał leżące tam książki i poczęstował się dużą łyżką chili, które Jim zostawił. Cień obejrzał kolekcję płyt Jima, cały czas kręcąc przy tym głową.

– Człowieku, muszę kiedyś wpaść i dobrać panu muzykę. Co to jest *Fountains of Wayne*?

Potrzebuje pan trochę *Choppy*, *Kingpina* *Skinny Pimpa* i *Ying Yang Twins*.

Edward usiadł przy stole w jadalni i zaczął przeglądać należące do Giovanniego Boschetto albumy.

– Niektóre z tych zdjęć dawnego Los Angeles są naprawdę niesamowite. Niech pan spojrzy na to: *Drzewo pomarańczowe, które umarło przez noc*, *Simi Valley*, tysiąc osiemset osiemdziesiąty dziewiąty rok. Kim są ci ludzie w kapturach, którzy Stoją dookoła? Wyglądają na członków Ku-Klux-Klanu.

– Giovanni Boschetto zebrał setki przedziwnych fotografii – odparł Jim. – Moim zdaniem kolekcjonował wszystkie zdjęcia, które mogły być zrobione przez Roberta H. Vane’a. Wszystkie wizerunki czystego zła.

– Ma pan dziwne fotki na ścianach – stwierdziła Sue-Marie. Stała tuż obok Jima, przyciskając lewą pierś do jego ramienia. – Nie wiem, jak pan może tu spać. Ja bym nie mogła... bez kogoś, kto by mnie przytulił.

Jim popatrzył na nią. Odwzajemniła jego spojrzenie i zamrugała czarnymi jak sadza powiekami, jakby chciała powiedzieć: „No co?”.

– Słuchajcie, mam mnóstwo coli, gatorade i pączków, a jeżeli ktoś zgłodnieje, mogę zrobić hot dogi – powiedział. – Proponuję, żebyśmy usiedli w kuchni i słuchali, czy Vane nie próbuje wyjść.

– Nie będziemy trzymać warty przy obrazie?

– Nie możemy być za blisko niego. Widzieliście, co może zrobić za pomocą swojego flesza.

Jeżeli wyjdzie z obrazu i zobaczy, że stoimy mu na drodze, w jadłospisie będą skremowani uczniowie.

– Ludzki popiół... – mruknął Randy. – Mógłby być dobry do chili.

Usiedli wokół kuchennego stołu i przez ponad dwie godziny rozmawiali. Uczniowie mówili o swoich ulubionych filmach, programach telewizyjnych, muzyce. Opowiadali o tym, kim chcą zostać po skończeniu szkoły. Cień był przekonany, że uda mu się stworzyć „imperium stylu”.

Zamierzał produkować płyty hiphopowe i DVD, projektować modę męską, chciał być menedżerem gwiazd sportu i międzynarodowym wzorem wszystkiego, co byłoby *cool*.

Sue-Marie pragnęła „latać po świecie, jak robiła to Diana, i pomagać ludziom, którzy nie mają wykształcenia ani jedzenia”. Edward zamierzał pisać programy komputerowe, które pozwolą ludziom stworzyć sobie całkowicie wymyślone życie: z fotografiami z dzieciństwa, świadectwami szkolnymi, historią kredytową i szczegółami urlopów w miejscach, w których nigdy tak naprawdę nie byli.

– To fantastycznie użyteczne, jeżeli jest się oszustem, bigamistą albo ma się tak nudne życie, że człowiek czuje się, jakby ciągle walił głową o ścianę – oświadczył.

Kiedy włoski zegar w salonie wybił wpół do trzeciej, wszyscy posprawdzali zegarki. Wypili już jedenaście puszek coli, trzy czwarte wielkiej butli gatorade i zjedli prawie całą podwójną paczkę oreos.

– Wygląda na to, że nie będzie przedstawienia z Vane’em Porąbajnem – stwierdził Freddy. Jim potarł oczy.

– Dajmy mu czas do czwartej, a potem możemy się przespać.

– Może wie, że na niego czekamy? – zasugerowała Sue-Marie.

– Prawdopodobnie tak – odparł Jim. – Sądzę, że zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się

wokół niego dzieje, ale równocześnie bardzo mu się spieszy. Musi nadrobić masę czasu i zebrać mnóstwo dusz.

– Mnie czekanie nie przeszkadza – oświadczył Randy, wydrapując resztki chili z garnka i oblizując łyżkę. – Al następnym razem przyniosę trochę produktów i zrobię dla wszystkich *gumbo*. Lubicie *gumbo* z kurczaka?

– Ja jestem wegetarianinem – powiedział Edward.

– Nic nie szkodzi, możesz zjeść *gumbo*, a kurczaka odłożyć.

Nagle Freddy uniósł dłoń.

– Ciii! Słyszeliście?

Zamilkli i zaczęli nasłuchiwać. Jim słyszał jedynie pomrukującą lodówkę, terkoczący klimatyzator i stłumiony śmiech, dolatujący z czyjegoś zbyt głośno nastawionego telewizora.

– O co chodzi, Freddy? – spytała Sue-Marie.

– Nie wiem, ale to brzmiało, jakby ktoś zatrzasnął drzwi.

– Zaczekajcie – powiedział Jim.

Wyszedł z kuchni i podszedł ostrożnie do drzwi salonu. Zanim przenieśli się do kuchni, zostawił je uchylone na kilka centymetrów, by słyszeć ewentualne podzwanianie przedmiotów na zawieszonym na portrecie sznurku.

Staął przed drzwiami i zaczął nasłuchiwać. Kiedy uznał, że w salonie panuje cisza, zaczął powoli otwierać drzwi. Skrzypnęły lekko, ale oprócz tego jedynym słyszalnym dźwiękiem był tylko śmiech dochodzący z telewizora sąsiada. Spojrzał w kierunku kuchni – członkowie jego „oddziału” obserwowali go z napiętymi twarzami.

– Wszystko gra – powiedział nagle schrypniętym głosem. – Chyba nic się nie rusza.

Pchnął drzwi i zajrzał do pokoju. Salon oświetlała jedynie mała stolikowa lampka z kloszem w stylu Tiffany’ego, zrobionym z brązowego szkła. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim

miejscu. Pled był pomięty dokładnie tak samo jak poprzednio, a poduszki na kanapie, na których spała Tibbles, tak samo wgniecione.

Jim wszedł do pokoju i zaczął powoli podchodzić do obrazu. Robert H. Vane stał w zwykłym miejscu, z czarnym materiałem udrapowanym wokół głowy. Ale sznurek z dzwoniącymi przedmiotami, który zawiesili na obrazie, był przerwany, a dzwoneczki i klucze stopiły się w pokurczone grudki metalu. Jim wziął do ręki jeden z końców sznurka i stwierdził, że został przepalony.

Kiedy uświadomił sobie, co się stało, poczuł rozchodzący się po plecach chłód. Wizerunek Roberta H. Vane'a był jedynie zamalowaną płaszczyzną, więc pozostał na płótnie, ale jego cieniste ja musiało być ukryte w tlenku srebra, znajdującym się pod warstwą farby. Teraz wypełzło z ram i odeszło, a oni w ogóle nie zdawali sobie z tego sprawy. Dźwięk, który usłyszał Freddy, był trzaśnięciem zamykających się drzwi do mieszkania.

– Chłopaki! – wrzasnął Jim. – Cień! Sue-Marie! Edward!

Jego Oddział A natychmiast pojawił się w drzwiach.

– Co się stało?

Jim pokazał sznurek.

– Vane wydostał się. Popatrzcie: stopił dzwoneczki, aby go nie zdradziły. Odgłos, który słyszeliśmy, powstał, kiedy wychodził z mieszkania.

– Nie mógł odejść daleko – stwierdził Freddy. – Jeżeli ma zamiast nóg fotograficzny trójnóg...

– Nie wiesz, jak szybko może się poruszać – powiedział Jim. – Jest szybszy od pająka.

– Blee... – jęknęła Sue-Marie. – Nienawidzę pajaków.

– Sprawdźmy, czy nie da się go dogonić – zaproponował Randy. – Co innego mamy do roboty?

– Jeśli chcecie ryzykować, ruszajmy. – Jim wziął ze stołu kluczyki od samochodu i cała szóstka rzuciła się do wyjścia, hałaśliwie potykając się o zgromadzone w holu buty Giovanniego Boschetto.

– To wszystko... pańskie? – spytał Cień, biorąc do ręki brązowo-biały mokasyn z białymi kuleczkami ze skóry, przymocowanymi cienkimi rzemykami do wierzchu eleganckiego pantofla. Mokasyny idealnie nadawały się do pokazywania się w łoży VIP-ów na wyścigach konnych.

– Poprzedniego lokatora – odparł Jim. – Ja tak nie szpanuję.

Cień uniósł na czoło swoje ciemne okulary i zlustrował go od stóp do głów.

– Raczej nie... – przyznał.

Pobiegli korytarzem i po chwili Freddy wcisnął guzik windy.

Kiedy przyjechała, szybko wcisnęli się do środka. Jadąc powoli w dół, z zainteresowaniem przyglądali się swoim wielokrotnym odbiciom w lustrach.

– Pamiętajcie: jeżeli go zobaczymy, tylko za nim pójdziemy, nic więcej – zarządził Jim. –

Nie chcę żadnych konfrontacji. Jest zbyt niebezpieczny.

– Moglibyśmy wziąć broń – powiedział Cień. – Doganiamy go i BAM! Wystarczy wsadzić mu parę kulek w łeb.

– To byłoby morderstwo pierwszego stopnia – oświadczył Edward.

– Jakie morderstwo? Koleś nie żyje od stu pięćdziesięciu lat! Poza tym to w połowie facet, a w połowie aparat fotograficzny... nie da się nikogo aresztować za aparatobójstwo.

Wysiedli na dole, przeszli przez hol i wyszli obrotowymi drzwiami na ulicę. Choć minęła już trzecia rano i od oceanu wiała lekka bryza, było nietypowo zimno jak na tę porę roku. Po ulicy, szurając o asfalt, przeleciała gazeta, i Jim poczuł dreszcz przerażenia. Nigdzie nie było widać Roberta H. Vane'a z czarnym materiałem na głowie, krocącego na pająkowatych nogach.

Jim zakaszłał.

– Obawiam się, że nam umknął. Chyba powinniśmy się przespać.

– Tam... ta furgonetka! – zawołał nagle Freddy. – To jego, no nie?

Po przeciwnej stronie ulicy, zaparkowana pod łukowato sklepieniami podcieniami, stała ukryta w cieniu ciemnobrązowa furgonetka. Mimo ciemności można było dostrzec złote litery, układające się w napis: FOTOGRAFIE W STARYM STYLU. Musiano dopiero co uruchomić silnik, bo z rury wydechowej buchnął kłęb spalin.

– Masz rację – przyznał Jim. – Jedziemy za nim.

Lincoln stał zaparkowany na końcu kwartału domów, dwoma kołami na chodniku. Pobiegli do samochodu i wsiedli – Sue-Marie i Edward z przodu, pozostała trójka uczniów z tyłu.

– Nie ma miejsca na kolana... – poskarżył się Cień.

Jim uruchomił silnik i lincoln ciężko stoczył się z krawężnika. We wstecznym lusterku Jim widział, że furgonetka powoli wyjeżdża spod łukowatego sklepienia. Nie ruszał, chcąc najpierw zobaczyć, w jakim kierunku Vane pojedzie. Furgonetka skierowała się na zachód, ku oceanowi, Jim musiał więc mocno przekręcić kierownicę i zawrócić o sto osiemdziesiąt stopni, czemu towarzyszył jęk zawieszenia lincolna i pisk opon przypominający wrzask wściekłego kota. By nie stracić równowagi, Sue-Marie mocno złapała Jima za udo i przycisnęła się do niego całym ciałem. Po chwili samochód wrócił do pionu, ale dziewczyna się nie odsunęła.

Furgonetka jechała bardzo szybko. Na ulicach niemal nie było ruchu, toteż Jim starał się zachowywać jak największy dystans. Minęli Dziesiątą, Dziewiątą i Ósmą, po czym furgonetka, bez włączania kierunkowskazu, skręciła w Siódmą.

– Jak na trupa, prowadzi całkiem nieźle – stwierdził Freddy.

Randy pociągnął nosem i pokręcił głową.

– Założę się, że za kierownicą siedzi ta kobieta. Patrz, przejechali na czerwonym... o, znowu.

Tak jeździ moja siostra.

Furgonetka skręciła w lewo w Pico, a potem w prawo, w Palimpsest – ulicę pełną obskurnych apartamentowców i tanich hoteli o nijakich fasadach. Po dwustu metrach – bez kierunkowskazu – wjechała na chodnik i stanęła. Jim również się zatrzymał i natychmiast zgasił światła.

Siedzieli i czekali. Furgonetka zatrzymała się przed dwupiętrowym budynkiem z lat 20. XX wieku z wielkimi szybami wystawowymi, oprawnymi w masywne metalowe ramy. Biała farba na fasadzie łuszczyła się jak martwy naskórek, a okna były zamalowane na czarno. Nad frontowymi drzwiami widać było wyblakły napis: SZPITAL DLA ZWIERZĄT IM. DELANCEYA, ZAŁ. 1922.

– Co robimy, proszę pana? – zapytała szeptem Sue-Marie. Nawet gdyby wykrzyczała to pytanie, nie usłyszano by jej w furgonetce, ale wszyscy członkowie Oddziału A uważali, że mówienie szeptem bardziej pasuje do ich konspiracyjnej działalności.

– Chyba zaczekamy.

– Może powinniśmy wrócić do pańskiego mieszkania i zniszczyć obraz? – zaproponował Edward. – Gdybyśmy to zrobili, Vane nie miałby dokąd wrócić, prawda? Kiedy wampiry krążyły po świecie, wysysając z ludzi krew, doktor Van Helsing* [*Abraham van Helsing to łowca wampirów i główna postać *Draculi* Brama Stokera] wkładał im do trumien czosnek, aby nie miały się gdzie schować, kiedy wszędzie słońce.

– Dobry pomysł, ale z tego, co wiem, nie da się ani zniszczyć, ani wyrzucić portretu Vane’a

– odparł Jim.

– Czekaście! – zawołał nagle Freddy. – Chyba ktoś wychodzi z furgonetki.

Drzwi od strony kierowcy uchyliły się, znieruchomiały na moment, po czym otworzyły się szeroko. Z samochodu wysiadła postać w czarnej wiatrówce z kapturem, czarnych dżinsach i czarnych butach i podeszła do tylnych drzwi. Sposób poruszania się wskazywał, że to kobieta.

Kiedy otworzyła tylne drzwi, Jim zobaczył, że wewnątrz furgonetki oświetla czerwona żarówka – taka, jakich używa się w ciemniach fotograficznych. Początkowo widział jedynie kłęb czarnego materiału i coś, co wyglądało jak staromodny powiększalnik z miechami. Ale po chwili materiał zadrżał i zaczął się unosić. Wysunęła się spod niego mahoniowa noga, potem druga. Po chwili z samochodu, poruszając się bardzo powoli i niezdarnie, wyszedł Robert H. Vane, wyprostował się i naciągnął głębiej na „głowę” czarny materiał.

– To on – powiedział cicho Jim.

Freddy popatrzył na Edwarda, a Edward na Sue-Marie.

– Kto? – spytał Randy.

– Robert H. Vane! Jest przy furgonetce, stoi na jezdni! Nie widzicie go?

– Mówi pan poważnie? – spytał Cień.

Jim spojrzał na swoich uczniów.

– Przysięgam wam, że tam jest! Stoi na jezdni, przy otwartych tylnych drzwiach furgonetki.

Trzy nogi, jak w trójnogu fotograficznym, i do tego czarny materiał na głowie.

Randy zrobił z palców dwa kółka i przystawił dłonie do oczu, udając, że patrzy przez lornetkę.

– Nie widzę go, proszę pana. Widzę tylko kobietę.

– Ja też – potwierdziła Sue-Marie.

– W takim razie musicie mi uwierzyć na słowo. Stoi tam i chyba z trudem próbuje zachować równowagę. Teraz idzie do schodów przed budynkiem... wchodzi na schody... czeka, aż kobieta zamknie drzwi furgonetki.

– Dziiw...nnn...cee... – wymamrotała Sue-Marie. – Czuję się jak we śnie.

– Bo jesteśmy we wnętrzu snu – odparł Jim. – Na świecie istnieje znacznie więcej rzeczy, niż widzimy.

Obserwował, jak kobieta w czerni wchodzi po schodach i otwiera frontowe drzwi byłego szpitala dla zwierząt. Kiedy Robert H. Vane znalazł się w środku, weszła za nim i zamknęła za sobą drzwi.

– Co teraz? – spytał Edward.

– Jeszcze trochę poczekamy.

– Mogą tam siedzieć kilka godzin.

– Więc będziemy czekać kilka godzin. Bobby, Sara, Pinky i David zasługują na to. Dla spokoju ich dusz musimy przygwoździć tego drania raz na zawsze.

Cień zacisnął pięść.

– Jasne! – zawołał. Po chwili dodał jednak: – Ale naprawdę moglibyśmy spróbować użyć broni. Dziewięciomilimetrowych glocków. BAM! BAM!

Jim odwrócił się do niego.

– Przecież nie widzisz go, Sonny. Do czego byś strzelał?

– No to w takim razie najlepsze byłoby automatyczne uzi. Zasypalibyśmy całą okolicą kulami. BA-BA-BA-BA-BA-BA! Na pewno byśmy go trafili!

– Zobaczymy – powiedział Jim. – Może okaże się, że masz rację i to jedyny sposób na niego.

– Nie ma sprawy – oświadczył Cień. – Znam gościa w zachodnim Hollywood, który może załatwić, co tylko zechcemy. Glocki, uzi, ingramy. Ma też świetne dojścia do roleksów...

Minęło nie więcej niż piętnaście minut i frontowe drzwi dawnego szpitala ponownie się otworzyły. Przez szparę wyjrzała towarzyszka Vane'a i sprawdziła, co się dzieje na ulicy.

Pochylili głowy, co właściwie nie było potrzebne, bo stali zbyt daleko, aby mogła ich dostrzec.

Kobieta zniknęła we wnętrzu domu i kilka sekund później pojawiła się znowu, z dwoma płaskimi drewnianymi skrzynkami.

– Płyty dagerotypowe – powiedział Edward. – Nosi się je w takich właśnie skrzynkach.

Widziałem w Internecie.

Kobieta włożyła skrzynki do furgonetki. Kiedy to robiła, w otwartych drzwiach ukazał się

Robert H. Vane i zaczął nieporadnie schodzić po schodkach.

– Wychodzi – poinformował swoich uczniów Jim. – Podchodzi do furgonetki. Czeka, aż kobieta otworzy mu drugie drzwi. Teraz wsiada.

– A skąd ona wie, że on tam jest? – spytał Randy. – Jeżeli my nie widzimy Vane’a, dlaczego ona go widzi?

– Może ma taką samą zdolność jak ja – odparł Jim. – Z pewnością nie jestem jedynym człowiekiem, który ją posiada.

Kobieta zatrzasnęła tylne drzwi furgonetki, zamknęła je na klucz i podeszła do kabiny kierowcy. Była za minutę czwarta. Po chwili uruchomiła silnik i ruszyła. Na końcu Palimpsest Street skręciła w prawo i pojechała na wschód.

– Nie jedziemy za nimi? – spytał Freddy.

– Nie – odparł Jim. – Nie warto. Gdybyśmy pojechali za Vane’em, może udałoby się nam powstrzymać go przed zrobieniem kilku kolejnych zdjęć, ale naszym zadaniem jest unieszkodliwienie go raz na zawsze. Wejźmy do środka. – Otworzył schowek i zaczął w nim grzebać w poszukiwaniu latarki.

– Do... środka? Chce pan powiedzieć, że mamy wejść do środka... tego budynku?

– A gdzieżby indziej?

– A jeśli ktoś nas zobaczy i wezwie gliny?

– To im powiemy, że odrabiacie lekcje. Macie wykonać plan zabytkowych budynków w Venice.

– Pewnie... O czwartej rano, do tego ubrani jak terroryści?

Ruszyli ulicą i podjechali pod Szpital dla Zwierząt imienia Delanceya. Freddy przyglądał się

budynkowi z lekką obawą.

– To najpaskudniejszy budynek, jaki widziałem w życiu. Chyba jeszcze nie zbudowano czegoś, czego można by się bardziej bać. Zaczernione okna, odłóżąca farba. I ten zapach... czujecie go? Jak ścieki z kanału.

– To tylko zwykły budynek, nic więcej – powiedział Edward.

– Ale co jest w środku? – spytał Cień. – Pewnie zły trup. A może martwe zło? No, na pewno jedna z tych dwóch rzeczy.

– Sprawdźmy, czy da się otworzyć drzwi – zaproponował Jim.

Ruszył schodkami do frontowych drzwi. Były kiedyś pomalowane na oliwkowy kolor, ale przez lata farba spękała i złuszczyła się tak bardzo, że wyglądała jak krokodyla skóra. Na lewej połowie wisiała skorodowana mosiężna kołatka, przedstawiająca szczerzącego kły kojota.

Przypominała Jimowi rzeźby kojotów, wykonywane przez Indian. Zawsze kierowali je pyskiem ku wschodowi – skąd właśnie nadchodzą złe duchy. W kołatce było coś niepokojącego. Kiedy Jim się odwracał, wydało mu się, że kojot szybko poruszył łbem, jakby był żywy.

Sprawdzili zamki. Były trzy, wszystkie wpuszczane w drzwi, pięciozapadkowe. Nie było mowy o włamaniu się za pomocą karty kredytowej. Do budynku nie było także dostępu od tyłu.

Jim cofnął się i spojrzał w górę fasady. Ktoś o zręczności pawiana mógłby wspiąć się na daszek nad wejściem i zbić szybę w jednym ze znajdujących się tam okien. Odwrócił się do swoich uczniów.

– Kto lubi się wspinać?

Wystąpił Freddy, klaszcząc ochoczo w dłonie.

– Myśli pan o wejściu przez tamto okno? *No problemo*. Kiedy byłem dzieciakiem, matka zawsze zostawiała mnie zamkniętego w domu, a mieszkaliśmy na czwartym piętrze. Randy, podsadzisz mnie?

Randy splótł dłonie i Freddy wspiał się po nim jak po drabince sznurowej. Kiedy stanął mu na głowie, Randy głośno stęknął, ale wszystko potrwało tylko kilka sekund. Freddy kucnął na daszku i zastukał w znajdującą się w dolnej części okna dużą szybę.

– Łyżka do opon... – wyszeptał teatralnie.

Jim pobiegł do lincolna i po minucie wrócił z żądanym narzędziem. Rzucił łyżkę

Freddy'emu, który bez wahania zbił szybę i szybko oczyścił ramę z wystających resztek szkła.

Zaraz potem przeszedł przez parapet i zniknął w budynku.

– Ten facet powinien zostać zawodowym włamywaczem – stwierdził z uznaniem Edward.

Po chwili rozległ się szcęk otwieranych zamków, frontowe drzwi uchyliły się i Freddy gestem dłoni zaprosił ich do środka.

Rozdział 16

W środku było mroczno i duszno, a smrodek, który czuło się na zewnątrz, zrobił się intensywniejszy. Na pewno nie dochodził z kanalizacji, kojarzył się raczej z pleśniejącymi futrami, skwaśniałym czerwonym winem i chemikaliami. Choć szyby zamalowano na czarno, wpadające przez świetlik w dachu światło barwiło klatkę schodową na pomarańczowo. Nagie deski podłogi były pokryte kurzem i okruchami szkła.

Jim przeszukał pomieszczenie światłem latarki. W rogu stała stara lada recepcyjna – wielka jak fortepian konstrukcja z orzechowego drewna. Na ścianie wisiało wyblakłe zdjęcie owczarka niemieckiego z wywieszonym jęzorem, z podpisem u dołu: ZNOWU SZCZĘŚLIWY!

Przeszli przez hol i Cień otworzył drzwi z tabliczką z napisem POCZEKALNIA. Jeśli nie liczyć dwóch koślawych krzeseł, pomieszczenie było puste. Zajrzeli do pokoju naprzeciwko, który w czasach funkcjonowania szpitala musiał służyć jako gabinet, bo w jednym rogu stał staromodny stół do wykonywania zabiegów, a na ścianach wisiały poprzybijane pineskami pożółkłe karty zleceń.

– Tu nie ma dagerotypów – stwierdził Jim. – Spróbujmy na piętrze.

– W pokoju, do którego się włamałem, też niczego nie było – powiedział Freddy. – Tylko kilka pustych klitek.

Jim ruszył schodami w górę, a członkowie jego oddziału podążyli za nim. Krótco zaświecił latarką do pomieszczenia, przez które Freddy włamał się do budynku, ale rzeczywiście stały tu jedynie trzy rzędy drucianych klitek z pootwieranymi drzwiczkami. Jim przeszedł na drugą stronę korytarza i spróbował otworzyć drzwi naprzeciwko. Były zamknięte.

– Sonny... – zwrócił się do Cienia. – Masz największe stopy.

– Co z tego? Mam też najlepsze buty – burknął chłopak.

– Miałem na myśli to, że chyba najlepiej z nas wszystkich poradzisz sobie z tymi drzwiami.

Trzeba je otworzyć kopniakiem.

– W porządku, zrozumiałem – odparł Cień.

Cofnął się dwa kroki, nabrał rozpędu i kopnął z całej siły. Zrobił to bardzo fachowo, tuż pod klamką. Trzasnęło i część framugi pękła, ale drzwi pozostały na miejscu. Chłopak znów się cofnął, znów kopnął, potem jeszcze raz. Za trzecim uderzeniem drzwi odskoczyły i z impetem walnęły o ścianę wewnątrz pokoju.

Weszli do środka. W pomieszczeniu pachniało stęchlizną i było ciemno, ale od razu dostrzegli stojące pod trzema ścianami drewniane szafki na akta. Jim policzył je: trzynaście.

Podszedł do najbliższej i poświecił latarką na znajdujący się na pierwszej szufladce napis:

WESOŁE MIASTECZKO – HRABSTWO ESCONDIDO, 23-25 WRZEŚNIA.

– To tydzień temu... – szepnął Edward.

Jim wyciągnął górną szufladkę. W środku, w brązowych wyściełanych kopertach, znajdowało się trzydzieści albo czterdzieści dagerotypów o wymiarach piętnaście na dwadzieścia centymetrów. Każdą płytę oprawiono w pomalowaną na czarno drewnianą ramkę

i zabezpieczono szybko. Na kopertach były nazwiska – pojedyncze lub po kilka naraz. PETER T. REYNOLDS. JULIE INKSTER. DAN FORSMAN. LANNY PEETE. COREY KITE. NANCY LOPEZ.

– Oto i one – mruknął Jim, ostrożnie wyjmując jeden z dagerotypów z koperty. – Zdjęcia, które Robert H. Vane zrobił od śmierci Giovanniego Boschetta.

– To dagerotyp? – spytał Freddy. – Wygląda jak brudne lustro.

– Ogląda się je pod kątem, wtedy ciemniejsze miejsca stają się jasne, a jaśniejsze ciemne – wyjaśni! Jim.

Poświecił skośnie latarką i nagle zobaczyli poważnego młodzieńca z kręconymi włosami i w okularach.

– W pewnym sensie masz rację, mówiąc, że dagerotyp wygląda jak lustro, bo obraz jest tu odwrócony, tak samo jak w lustrze.

Druga szuflada od góry została oznaczona napisem: WEST GROVE I WESTWOOD, I – 4 WRZEŚNIA.

– Właśnie wtedy musiał zrobić zdjęcie Bradowi – mruknął Jim. Otworzył szufladkę i rzeczywiście – zaraz z brzegu znajdowała się koperta z napisem: BRAD MOORCOCK. Leżała między kopertami z nazwiskami ELROY HERBER i VINCE MCNALLY.

Pierwsza szafka była cała wypełniona dagerotypami, ale w drugiej płyty znajdowały się tylko w górnej szufladzie. Pozostałe szafki były puste.

– Biorąc pod uwagę, że miał niecały miesiąc, narobił masę zdjęć – powiedział Jim. – Musiał planować zapelnienie wszystkich szafek. Kopalnia złych dusz...

– Kiedy zobaczy, że mu je zniszczyliśmy, dostanie szału – stwierdził Randy.

Jim otworzył kolejną szufladkę, wziął do ręki kopertę z napisem DANIEL JOHN

HAUSMAN i ostrożnie wyjął ze środka oprawiony w szkło dagerotyp. Kiedy zaczął go

sprawdzać, świecąc latarką pod różnymi kątami, okazało się, że posrebrzana płyta jest pusta. Na jej powierzchni nie było ludzkiego wizerunku, jedynie nieregularne szarawe plamki. Może obraz wyblakł? Dagerotypy nawet po utrwaleniu roztworem soli albo przemyciu złotem są bardzo wrażliwe na działanie światła.

Wziął następną kopertę. PHILIPPA OSTLANDER. Także ten dagerotyp był „czysty”. Zaczął wyjmować kolejne płyty i okazało się, że na żadnej płycie ze środkowej szuflady nie ma ludzkich wizerunków.

Edward, który przez cały czas obserwował Jima, wziął jedną z płyt do ręki i uważnie jej się przyjrzał.

– Nie ma twarzy.

– Teraz tak.

– Nie rozumiem...

– Wyszli z płyt i krążą po okolicy, robiąc to, co zwykły robić złe dusze. Jak Brad Moorcock, który zemścił się na Sarze. Która godzina?

– Dwadzieścia po czwartej.

– O której będzie świtać?

– Nie wiem. Chyba koło piątej. Wtedy mój starszy brat wychodzi pobiegać.

– W takim razie musimy się stąd natychmiast wydostać!

– Myślałem, że mamy zniszczyć dagerotypy.

– Możemy zrobić to później – odparł Jim. – Teraz najlepiej będzie stąd zniknąć.

Powkładał wszystkie dagerotypy na miejsce i zamknął szufladę. Ledwie to zrobił, z dołu dobiegł odgłos zamykania drzwi. Uniósł dłoń, dając wszystkim znak, aby zachowywali się cicho.

– Co jest? – spytała Sue-Marie.

– Nie wiem... sprawdzę.

Podszedł do drzwi i poświecił latarką na schody.

– Coś widać? – spytał Randy.

– Nie. To pewnie tylko wiatr zamknął któreś drzwi na dole. Mimo to uważam, że powinniśmy stąd zniknąć, zanim zrobi się widno.

– Super... – mruknął Edward, wyraźnie podniecony. – Czuję się, jakbym był doktorem van Helsingiem...

– To wcale nie jest śmieszne – jęknęła Sue-Marie. – To straszne...

– Widziałaś wampiry w *Buffy*? – spytał Freddy. – Jak trafiali je czymś w łeb i rozpryskiwały się w chmurze nietoperzy?

– Chodźcie! – ponaglił ich Jim. – Możemy wrócić tu za kilka godzin, kiedy słońce będzie stało wysoko na niebie, a wszystkie cienie ja wrócą na swoje miejsca.

Wyszedł na schody i w tym momencie zobaczył, że ktoś wchodzi na nie z dołu. Był to młody człowiek w szarym ubraniu. Kiedy dotarł do pierwszego zakrętu stopni, spojrzał w górę, prosto na Jima. Miał srebrnoczarną twarz, bielusieńkie włosy i fosforyzujące oczy.

Zaraz za nim na schody weszła następna postać, a za jej plecami już czekała trzecia, czwarta i kolejne. Wszyscy przybysze byli ubrani w stroje o najróżniejszych odcieniach czerni i szarości, wszyscy mieli srebrnoczarne twarze i białe oczy. Musiało ich być przynajmniej dwudziestu.

Stłoczyli się u stóp schodów i w milczeniu patrzyli na Jima i członków jego Oddziału A.

Jim pomyślał o kupkach popiołu, w które zmienili się Bobby i Sara, leżących na resztkach łóżka poczerniałych kościach i czaszkach, uśmiechających się do siebie bezzębnymi ustami.

Pomyślał o ich fotograficznych odbiciach, wtopionych w ścianę tworzącą tył szafy w domku plażowym Tubbsów. Odbicia te wytworzyło światło tak jasne, że mogło przenikać cegłę.

– Nie przyszliśmy tu, aby was skrzywdzić – powiedział głośno, zwracając się do przybyszy.

Srebrnoczarne postacie nie odpowiedziały, ale w dalszym ciągu się w nich wpatrywały.

Czarne dłonie mocno ścisnęły poręcz schodów.

– Jeżeli pozwolicie nam odejść w spokoju, bez problemów, to... wyjdziemy w spokoju, bez problemów...

– Panie Rook.. – szepnęła Sue-Marie. – Co to za ludzie?

– Widzisz ich?

– Oczywiście, że widzę! Kto to jest?

– Ludzie z pustych dagerotypów. Zbliża się świt, więc wrócili.

– Jasna cholera! – jęknął Randy. – Co zrobimy?

– Przyładujemy im – odparł Freddy. – Widziałeś kiedyś, jak ćwiczę kung-fu? Hong Fat to przy mnie neptek.

– Nie przyładujesz im – powiedział. – Są zrobieni ze światła. To fotograficzne wizerunki. I w dodatku są uosobieniem zła.

Młody człowiek idący na czele srebrnoczarnych istot zaczął wchodzić na drugi podest schodów. Reszta podążyła za nim. Choć wyglądali jak negatywy, bez trudu można było odróżnić mężczyzn od kobiet i ludzi młodych od starych. Jeśli nie brać pod uwagę ledwie słyszalnego metalicznego poszumu, wchodzili, nie robiąc hałasu.

– Proszę! – zawołał Jim i uniósł obie ręce. – Ci młodzi ludzie nie zrobili wam nic złego!

Możecie wrócić do ramek... obiecujemy, że nic wam nie zrobimy! Pójdziemy sobie, zostawimy was w spokoju i zapomnimy, że kiedykolwiek was widzieliśmy!

Ale srebrnoczarne istoty albo nie słyszały, albo nie były zainteresowane słowami Jima.

Wchodziły coraz wyżej, a im bardziej się zbliżały, tym wyraźniejszy stawał się zapach tkwiącego w nich zła. Przypominał swąd kurzu, palącego się na rozżarzonym drucie. Źrenice przybyszy były pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu białymi plamkami, a ich czarne zęby otaczały wargi kołom foczego futra.

– Proszę! – powtórzył Jim, ale srebrnoczarne istoty dotarły już niemal na samą górę i było jasne, że ani się nie zatrzymają, ani nie będą litościwe. Nie były zdolne do litowania się. Wszelka dobroć, jaką kiedykolwiek posiadały, pozostała w ich fizycznych ciałach, a Bóg jeden wie, gdzie one się teraz znajdowały.

Jim odwrócił się do swoich uczniów.

– Okno! – krzyknął. – Musimy wydostać się stąd drogą, którą wszedł Freddy!

Pchnął Sue-Marie w kierunku pomieszczenia z pustymi klatkami. Randy, Cień, Freddy i Edward ruszyli tuż za nimi. Ledwie Jimowi udało się wciągnąć Randy’ego do pokoju, na podeście schodów błysnęło światło, jasne jak eksplozja jądrowa.

– Jezu! – wrzasnął Freddy i zamrugnął niczym sowa.

Po chwili błysnęło ponownie, potem jeszcze raz i zaraz potem buchnęła cała kanonada błysków. Jim zatrzaskał drzwi i przekręcił klucz w zamku. Słysząc było trzaskanie farby, palącej się po drugiej stronie drzwi.

Freddy pierwszy wyskoczył przez okno, potem to samo zrobiła Sue-Marie. Burza błysków trwała i choć drzwi były zamknięte, powstawał efekt stroboskopowy, jakby Jim i jego uczniowie znajdowali się w środku filmu z serii *Keystone Kops** [* *Keystone Kops* – burleski z epoki filmu niemego, których bohaterami była grupa policjantów nieudaczników.] i rozpaczliwie próbowali uciec przed rozpędzoną lokomotywą.

Cień był ostatnim z uczniów, który wydostał się na zewnątrz, po nim pozostał już tylko Jim.

– Nie musi się pan przejmować tym, że nie jest pan modny, panie Rook – powiedział Cień. – Równy gość z pana.

– A ty nie musisz mi nadskakiwać – odparł Jim. – Zabieraj z drogi dupsko albo obleję cię na dwudziestowiecznej poezji.

Wystawił nogę za okno i oparł ją na zewnętrznym parapecie. W tym momencie wyłamano

drzwi i błysnęło tak silne światło, że został całkowicie oślepiony. Rzucił się w bok, w kierunku daszku nad wejściem, na szczęście Cieniowi udało się go złapać za rękaw i uchronić przed upadkiem w dół. Przez parę sekund trzymał się rynny, postępując z wysiłku i próbując o coś zaczepić stopy, ale Edward złapał je i postawił na barkach Randy'ego.

– Auu! – stęknął Randy. – Uwaga na moje uszy! Cień zwiesił się z rynny i zeskoczył na schodki przed

frontowymi drzwiami. Po chwili cała szóstka zebrała się na chodniku przed szpitalem. Wbili wzrok w okno, którym właśnie uciekli. Błysnęło jeszcze dwa, może trzy razy i światło zgasło.

Niebo z kilkoma truskawkowymi chmurami pobladło, a Palimpsest Street zaczął sunąć w ich kierunku samochód cysterna z zakładu oczyszczania miasta, polewając chodniki wodą. Jim od lat nie palił papierosów, ale nagle rozpaczliwie zapragnął zaciągnąć się dymem.

– Wrócimy tu? – spytał Edward. Miał pod oczami ciemne koła i potargane włosy.

Jim skinął głową.

– Chyba nie mamy wyboru. Kto wie, co ci ludzie cienie nawyrabiali dziś w nocy? Jeżeli są podobni do Brada, pewnie spalili kogoś, kto nadepnął im na odcisk. Kto wie, co planują na następną noc i dalsze?

– Przyznam się bez bicia, że prawie narobiłem w gacie – mruknął Freddy. – Nie sądzę, by po dzisiejszym dniu coś jeszcze było w stanie mnie przestraszyć. Ci ludzie cienie... rany... są gorsi od duchów.

– „Niedobrze mi od cieni tych”* [*Z wiersza Alfreda Tennysona *Pani Shalottu*] – zacytował Jim. – Chodźcie, może uda nam się gdzieś zjeść śniadanie. Ja stawiam.

Poszli do The Truck Stop przy Santa Monica Boulevard, wesołej knajpki w stylu lat 50., z pokrytymi czerwonym i białym laminatem stołami i szafą grającą. Randy, Freddy i Edward zamówili jajecznicę, smażony boczek i pieczone pomidory, a Cień wziął sobie owocowy

biojogurt, oświadczając, że jego ciało jest „świętym miejscem kultu”. Sue-Marie była tak rozdygotana, że tylko dziobała widelcem naleśniki, które zamówiła. Jim wypił dwie filiżanki czarnej jak smoła kawy, po czym zjadł naleśniki Sue-Marie, polewając je syropem klonowym, aby były pożywniejsze.

– Wrócimy na Palimpsest Street około pierwszej – powiedział w końcu. – Przyniosę młotki, kwas siarkowy ze szkolnego laboratorium i rękawice ochronne. Wyjmiemy wszystkie dagerotypy, porozbijamy ramki i polejemy płyty kwasem. W magazynie Vane prawdopodobnie trzyma nienaświetlone płyty i rtęć do utrwalania obrazu. To też zniszczymy.

– Co się wtedy stanie z ludźmi na zdjęciach? Prawdziwymi ludźmi... takimi jak Brad?

– Nie wiem – przyznał Jim. – Nie sądzę jednak, żebyśmy zrobili im krzywdę, niszcząc złą stronę ich osobowości. Raczej ich uwolnimy, wyzwolimy. – Nadeszła kelnerka i Jim uniósł kubek, aby mu dołała kawy. – Przynajmniej miejmy taką nadzieję.

– Ale w dalszym ciągu nie rozwiązuje to problemu, co zrobić z samym Vane’em Porąbajnem – stwierdził Edward.

– Fakt, nie rozwiązuje, myślę jednak, że on potrzebuje tych zdjęć. Dają mu siłę, więc kiedy je zniszczymy, osłabnie. Wtedy poszukam sposobu skończenia z nim raz na zawsze.

– Może powinien pan spróbować utrzymać go w portrecie... jak ten Giovanni jakiś – tam...

Jim pokręcił głową.

– Myślałem o tym, ale to by oznaczało, że musiałbym dwa razy dziennie, do końca życia, przeprowadzać „odwrotny” egzorcyzm. Zresztą nawet nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać... nie znalazłem nic na ten temat w dziennikach Giovanniego Boschetta.

– A co z kobietą, która go wozi? – spytała Sue-Marie. – Gdybyśmy się dowiedzieli, kto to jest, i powstrzymali ją... Vane nie mógłby wyjeżdżać na miasto, by robić zdjęcia...

– Masz rację – przyznał Jim. – Sporo o niej myślałem. Nie wiem, jak ją znalazł ani jak udało

mu się namówić ją do pomocy. Przecież jest potworem. Jaka kobieta chciałaby pomagać komuś takiemu?

Freddy starł z brody keczup.

– Następnym razem, panie Rook, powinniśmy zostawić go w spokoju i zająć się właśnie nią.

Załatwić ją, rozwalić furgonetkę. Co Vane zdołała bez samochodu i kierowcy?

– W dalszym ciągu byłby niebezpieczny. Kiedy zjawił się na cmentarzu i podpalił wasz autobus, nie widziałem nigdzie furgonetki. Uwierz mi: potrafi przemieszczać się nawet bez samochodu. Jest bardzo szybki, a ludzie go nie widzą.

– Czyli rozwalenie opon w furgonetce raczej go nie powstrzyma? – spytał Randy z pełnymi ustami.

– Na pewno nie – odparł Jim. – No, czas jednak, byście poszli do domów. Wykąpcie się i prześpijcie kilka godzin. Spotkamy się w szkole o wpół do pierwszej.

Wrócił do Benandanti Building. Kiedy szedł przez hol, natknął się na pana Maritego.

– Wygląda pan jak dziesięć kilometrów kiepskiej nawierzchni, panie Rook.

– Dzięki, panie Mariti.

Tibbles czekała za frontowymi drzwiami, a kiedy Jim krążył po mieszkaniu, plątała mu się pod nogami i ciągle się o nią potykał.

Podszedł do kominka i popatrzył na obraz. Był pewien, że Robert H. Vane jest już z powrotem w środku. A przynajmniej jego duch lub to, w co Robert H. Vane się przemienił.

– Kim jesteś, Robercie Vane? – spytał głośno. – Czego właściwie chcesz?

Tibbles otarła mu się o kostki i zamruczała. Wiedział, o co jej chodzi: miała ochotę na rozgnieczonego widelcem tuńczyka.

Nakarmił ją, a potem rozebrał się i wziął prysznic. Odkręcił kran z napisem POTOK. Hałas, jaki dobiegł z rur, był ogłuszający – przypominał pędzący zamkniętym tunelem pociąg metra,

a woda trysnęła z taką siłą, że Jim musiał się oprzeć o ścianę, aby się nie przewrócić.

Kiedy skończył, owinał się w pasie wielkim niebieskim ręcznikiem i poszedł do kuchni, by zrobić sobie kawę. Włączył stojący na kuchennej ladzie przenośny telewizor.

„...dziewięć osób zginęło wczoraj w jedenastu niezależnych od siebie pożarach, które wybuchły w różnych okręgach Santa Monica i zachodniego Hollywood. Aktorka telewizyjna Kathy Mulholland spłonęła we własnym samochodzie, który się zapalił, gdy stanęła na światłach na Pacific Coast Highway. Prezes sieci telefonii komórkowej Cellcorp został znaleziony martwy w apartamencie hotelu The Palms Marina razem z niezidentyfikowaną kobietą...”

Jim stał z czajnikiem w dłoni i słuchał doniesień o kolejnych pożarach. Wszystkie łączyło jedno: ofiary spaliły się „w sposób niemal uniemożliwiający identyfikację”. W pewnym momencie jakiś szybki ruch kazał mu spojrzeć w kierunku drzwi. Stała tam Eleanor, blada i nieruchoma, i wbijała w niego zdumiony wzrok. Miała na sobie krótką czarną tunikę, czarne spodnie i czarne buty na bardzo wysokim obcasie. Jej widok tak zaskoczył Jima, że omal nie wypuścił z ręki czajnika.

– Eleanor! Boże! Ale mnie przestraszyłaś!

– Przepraszam, nie chciałam. Usłyszałam hałas i chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Jim włączył czajnik i poprawił ręcznik wokół talii.

– Prawdopodobnie słyszałaś prysznic. Walił jak Niagara. Eleanor weszła głębiej do kuchni i okrążyła go.

– No i? Jak poszło w nocy?

Stała bardzo blisko. W swoich wysokich butach przewyższała go niemal o pięć centymetrów, co sprawiało, że czuł się bardzo nieswojo.

– Omal nie zginęliśmy, ale wiemy, gdzie Vane trzyma dagerotypy.

Jej oczy rozszerzyły się.

– Ale nic ci się nie stało?

– Dzięki Bogu nie, choć niewiele brakowało. Kiedy przeglądaliśmy płyty, wróciły obrazy, które z nich wyszły... cieniste ja ludzi, których Vane sfotografował. Mogą robić to samo, co on: błyskać jaskrawym światłem i podpalać wszystko, co im stanie na drodze.

– Dużo ich było?

– Przynajmniej dwadzieścia. Musieliśmy uciekać przez okno na piętrze.

– Gdzie to się działo?

– W starym szpitalu weterynaryjnym przy Palimpsest. Chyba jest nieczynny od lat.

– Nie miałeś czasu zniszczyć płyt?

Jim pokręcił głową.

– Nie, ale zrobimy to. Wybieramy się tam dziś ponownie.

– A co z Vane'em?

Woda w czajniku zagotowała się i Jim nalał wody do kawiarki.

– Już mnie dziś o to pytano. Nie znam jeszcze odpowiedzi, ale... – postukał się w czoło – pracuję nad tym.

– Nie boisz się, że kiedy wrócisz do tego szpitala, Vane zechce ci przeszkodzić?

Jim przyjrzał jej się uważnie. Miała minę, której nie umiał rozszyfrować. Prowokowała go czy chciała ostrzec?

– Jeżeli zechce nas powstrzymać, będzie musiał się tam najpierw jakoś dostać – powiedział ostrożnie.

Eleanor nie odpowiedziała, nie odrywała jednak oczu od Jima i ani razu nie mrugnęła.

– Porusza się furgonetką, reklamującą fotografie w starym stylu. W ten sposób nakłania ludzi, aby mu pozwolili. Jeżeli chciałby nam przeszkodzić, musiałby po pierwsze wiedzieć, co

planujemy, a po drugie, zorganizować sobie transport...

Eleanor w dalszym ciągu się nie odzywała. Jim wyłączył kawiarkę.

– Kawy? – spytał.

– Nie, dziękuję. I bez kawy nie mogę zasnąć.

Jim nalał kawy do dużego kubka z sepiową podobizną Harry’ego Houdiniego.

– Tę furgonetkę prowadzi kobieta... dziś w nocy była ubrana na czarno. Przypominała mi ciebie, choć mogła być nieco wyższa. Masz jakiś pomysł, kto to mógłby być?

– Obawiam się, że nie.

– Może wiedzą to twoi przyjaciele Benandanti?

– Jeżeli nawet tak, nie zdradzili mi tego.

– Zastanawiam się, w jaki sposób Vane’owi udało się kogoś namówić, aby mu pomagał. Jaka kobieta mogłaby się zgodzić wozić go po mieście? Nawet nie wiemy, czy Vane mówi.

Eleanor wzruszyła ramionami.

– Wystarczy się rozejrzeć, by zauważyć różne dziwne układy między ludźmi. Jeśli się jednak zastanowić nad tym, czego ludzie szukają w związkach... czasami jest to miłość, kiedy indziej wspólny gust muzyczny... przestają dziwić nawet najdziwniejsze relacje.

Rozdział 17

Kiedy Jim szedł korytarzem do swojej klasy, ujrzał nadchodzącego z przeciwka Vinniego Boschetto. Vinnie miał na sobie czerwono-żółtą koszulę w papugi, trudno więc było go nie zauważyć. Zobaczywszy kolegę, szybko odwrócił się na pięcie i próbował umknąć drzwiami prowadzącymi do basenu, ale Jim dogonił go i złapał z tyłu za pasek.

– Dokąd wiejesz, Boschetto?

Vinnie obronnym ruchem uniósł obie ręce, rozrzucając wokół papiery, które w nich trzymał.

– Jim, uwierz mi... tak mi przykro...

- Przykro ci? Dwoje moich uczniów zginęło na moich oczach w płomieniach!
 - Nie sądziłem, że do tego dojdzie. To tragiczne.
 - Wiedziałaś przecież, z czym mamy do czynienia! Pozwoliłaś, abym ja też prawie zginął!
 - Nie mieliśmy pojęcia, że Vane tak się wścieknie! Sądziliśmy, że znajdziesz jakiś sposób na niego! Daj spokój, Jim... radziłeś już sobie przecież z podobnymi sprawami.
- Jim złapał Vinniego za koszulę i tak gwałtownie nim obrócił, że urwał mu dwa górne guziki.
- Ty draniu! Ty i ci twoi przekłenci Benandanti! Specjalnie zaproponowałaś mi mieszkanie po tak niskiej cenie... wiedząc, że stanę tam twarzą w twarz ze stworem, który może mnie skremować? Mógłbym być dziś kupką popiołu, jak Pinky i David!
 - Co miałem zrobić? Byliśmy zrozpaczeni. Stryj Giovanni zmarł nagle na zawał, a nie mieliśmy nikogo do pilnowania Vane'a.
 - Tak? Dlaczego więc sam się nie zgłosiłeś?
 - Nie wiedziałbym, od czego zacząć. Jestem tylko nauczycielem historii. Nie znam się na religijnych rytuałach jak stryj Giovanni i nie mam, jak ty, zdolności parapsychicznych. Jak miałbym walczyć z niewidzialnym tworem, który ukrywa się w obrazie i kradnie ludziom dusze?
 - I dlatego wmanipulowałaś mnie w tę sprawę!
 - Przepraszam... Kiedy usłyszałem, że wracasz do West Grove, pomyślałem, że spadasz nam z nieba. Przykro mi, że wszystko poszło źle. Żałuję, że nie mogę niczego naprawić.
- Choć Jim w dalszym ciągu dygotał ze złości, rozluźnił chwyt na koszuli Vinniego.
- Powinienem zażądać, żebyś zadzwonił do rodziców Pinky i Davida i powiedział im, dlaczego ich dzieci zginęły... ale to by tylko pogorszyło sprawę.
 - Stary... zrobię wszystko, co zechcesz. Nie wiedzieliśmy, że Vane zaatakuje ciebie i twoich uczniów. Był uwięziony w obrazie przez ponad trzydzieści lat. Nie chcieliśmy tylko, aby wyszedł i znów zaczął fotografować.

– Chcesz powiedzieć, że chciałeś, abym się nim zajął... i nawet nie zamierzałeś mi wspomnieć o niczym?

– Przepraszam – powtórzył Vinnie. – Sądziliśmy, że kiedy zobaczysz Vane’a, od razu się domyślisz, co planuje, i odkryjesz sposób powstrzymania go. Widziałeś wiadomości? Te cieniste ja wszędzie porobiły pożary. Zanim się spostrzeżemy, zaczną podpalać lasy i puszcza z dymem pół hrabstwa.

Jim z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Wiesz, co powinienem teraz zrobić? Odwrócić się na pięcie, odejść i zostawić wszystko na twojej głowie.

– Jim... nie możesz. Stoimy na krawędzi piekła. Nie tylko my, ale także setki, tysiące innych ludzi.

– Wiem. Nie mogę pozwolić, aby okazało się, że Pinky i David zginęli na darmo, i nie pozwolę Vane’owi robić kolejnych zdjęć.

Vinnie przez chwilę w milczeniu obserwował Jima. Wiatr powoli rozwiewał kartki z klasówkami, które powypadały mu z rąk, ale nie zwracał na to uwagi.

– Co zamierzasz? – zapytał w końcu.

– Zeszłej nocy śledziłem Vane’a... ja i kilku moich uczniów. Znaleźliśmy magazyn, w którym trzyma dagerotypy. Wybieramy się tam dziś, żeby je zniszczyć, i jeśli chcesz, w ramach pokuty możesz iść z nami.

– Jim, nawet nie wiesz, jak mi jest z tym źle...

– Vinnie, zanim to się zakończy, zrobię wszystko, co w mojej mocy, abyś poczuł się jeszcze gorzej.

Pierwszą lekcję miał o dziesiątej. Kiedy wszedł do klasy, od razu się zorientował, że członkowie Oddziału A opowiedzieli pozostałym, co się działo w nocy, bo wszyscy byli napięci,

pełni oczekiwania i zachowywali się bardzo cicho. Raananah Washington, która akurat przechodziła korytarzem, zajrzała do środka przez otwarte drzwi, aby się upewnić, czy na pewno w klasie są uczniowie Drugiej Specjalnej.

– Dzień dobry, Raananah! – zawołał Jim. Kiedy sobie poszła, odwrócił się do klasy.

– Wygląda na to, że już o wszystkim wiecie. Ubiegłej nocy odkryliśmy, gdzie Robert H.

Vane trzyma dagerotypy, i dziś je zniszczymy. Nie rozwiąże to jednak ostatecznie problemu, musimy jeszcze znaleźć sposób na unieszkodliwienie samego Vane’a.

Ruby podniosła ręką.

– Panie Rook... rozmawiałam wczoraj z babcią o złych duchach.

– I co?

– Powiedziała mi, że kiedy była dziewczynką... mieszkała wtedy w Dominica w Santo

Domingo... w sąsiedztwie krążył duch, który dusił domowe zwierzęta i kradł jedzenie. Czasem nawet porywał dzieci, których kości znajdowano potem w lasach, pogruhotane wielkimi zębami.

Prababcia nie pozwalała wychodzić babci po zmroku z domu. Nazywali tego ducha *El Espejo*,

Lustro, ponieważ kiedy przychodził po człowieka i patrzyło się na niego, widziało się własną twarz.

– Udało się go wypędzić?

– Babcia powiedziała, że z Rzymu przyjechało dwóch księży, którzy pomogli miejscowym go złapać. Mieli wielkie lustro i zapędzili *El Espejo* w ślepią uliczkę, po czym pokazali mu lustro.

Babcia ma takie powiedzenie: „Zło nie lubi na siebie patrzeć”. *El Espejo* padł jak ścięty i księża zakopali go. W jego trumnie też umieścili lustro... w taki sposób, aby po otwarciu oczu widział własną twarz. Może dałoby się coś podobnego zastosować w przypadku Roberta H. Vane’a...

– Może tak, a może i nie – mruknął Cień. – Ten duch, o którym mówiła twoja babcia, nie smażył ludzi żywcem. Robert H. Vane przerobi nas na węgiel, zanim znajdziemy się dwadzieścia

metrów od niego. To samo mogą z nami zrobić te wszystkie typki, które spotkaliśmy dziś w nocy.

– Ktoś ma jakiś inny pomysł? – spytał Jim.

– Może zrobimy odwrotny egzorcyzm? – zaproponował George. – Może ojciec Foley mógłby nam w tym pomóc?

Ojciec Foley zajmował się duchowymi potrzebami uczniów rzymskokatolickiego wyznania.

Jim od dawna z nim nie rozmawiał – od czasu, kiedy jednego z uczniów nawiedzały koszmary nocne, w których pojawiały się demony – i pamiętał, że ksiądz Foley był bardzo sceptyczny, jeśli chodzi o zjawiska nadprzyrodzone. „Demony to nic innego jak nasze własne poczucie winy, Jim” – oświadczył wtedy.

– Moglibyśmy spróbować, ale nie sądzę, aby ojciec Foley był wielkim entuzjastą egzorcyzmów. Chyba cały Kościół katolicki nie jest w tej chwili zwolennikiem tej metody.

Trzeba przedstawić przynajmniej jeden z pięciu dowodów opętania przez demona, no i musielibyśmy pokazać Roberta H. Vane’a.

– Co to za pięć dowodów opętania przez demona? – zainteresował się Edward.

Jim zaczął odliczać na palcach.

– Po pierwsze, ofiara opętania musi mówić w nieznanym języku. Po drugie, musi znać rzeczy, które są odległe albo ukryte. Po trzecie, musi umieć przewidywać przyszłość. Po czwarte, musi czuć odrazę do wszystkiego co święte. Po piąte, musi wykazywać się niezwykłą siłą fizyczną.

– Pasują mi do Freddy’ego – stwierdził Edward. – Nie da się zrozumieć ani słowa z tego, co mówi, i zawsze wie, kto ma pieniądze, nawet jeżeli są schowane w szafce.

– Ale lubi mieć święty spokój, wcale nie czuje do niego odrazy! – zaprotestował Roosevelt.

Wyjechali ze szkoły tuż po pierwszej, dwoma samochodami. Jim wziął do swojego lincolna

Vinniego, Sue-Marie i Edwarda. Za nimi jechał Cień swoim błyszczącym fordem explorerem razem z Randym, Freddym i Philipem, który zgłosił się w ostatniej chwili. W wąwozach płonął las i niebo było mroczne od dymu oraz latających wszędzie cząsteczek popiołu, czuć też było silny odór spalenizny. Jim miał nadzieję, że nie jest to zły znak.

Vinnie kręcił głową i ciągle przeproszał.

– Nie sądziłem, że do tego dojdzie – powtarzał.

– Za późno na przeprosiny, Vinnie – mruknął Jim. – Nie cofniesz czasu. Spróbujmy uratować, co się da.

W stojącej w bagażniku skrzynce po mleku grzechotały butelki ze stężonym kwasem siarkowym.

– Tak właśnie bywa, kiedy uznajemy zło za rzecz naturalną – powiedział po chwili Jim. – Dopóki Vane tkwił uwięziony w portrecie, Benandanti nie myśleli o nim, prawda? Powinni przeczesać każdą religijną bibliotekę świata, by znaleźć sposób pozbycia się go na zawsze.

Vinnie sięgnął do kieszonki koszuli i wyjął mały mosiężny cylinderek na łańcuszku.

– Nie „oni”, Jim, tylko „my”. Jestem jednym z nich... w tym pojemniczku znajduje się „czepek”, w którym się urodziłem.

Jim popatrzył na cylinderek i zmarszczył brwi.

– Zdziwiłbyś się, ilu jest Benandantich – dodał Vinnie. – Polityków, biznesmenów, gwiazd przemysłu rozrywkowego... Walczymy ze złem w każdej postaci.

– Ale z Robertem H. Vane’em pokpiliście sprawę... nie wiadomo, ilu ludzi z tego powodu zginęło.

– Niestety – przyznał Vinnie.

Jim podjechał do szpitala imienia Delanceya przy Palimpsest Street i zatrzymał się. Cień zaparkował tuż za nim. Wszyscy wysiedli. Rozejrzeli się, by sprawdzić, czy nie ma policyjnych

radiowozów, po czym Freddy podszedł do frontowych drzwi i wyjął zestaw narzędzi włamywacza. Randy wyciągnął z bagażnika skrzynkę z kwasem, Cień worek młotków i śrubokrętów, które Jim pożyczył od Waltera, szkolnego dozorca, a Sue-Marie torbę z czerwonymi roboczymi rękawicami.

Zanim minęła minuta, Freddy poradził sobie ze wszystkimi trzema zamkami. Pchnął drzwi i powiedział:

– Sylwiu-ple, jak mawiają we Francji. To lepsze od włożenia przez okna.

Jim jeszcze raz się rozejrzył po ulicy, po czym weszli i zamknęli za sobą drzwi.

– Ale miejsce... – zdrygnął się Vinnie.

Po przebywaniu na słońcu od razu poczuli panujący w szpitalu chłód. Śmierdziało jeszcze gorzej niż w nocy. Zaczęli omiatać przestrzeń latarkami, wydobywając z ciemności wielką recepcyjną ladę i postać „znowu szczęśliwego” owczarka niemieckiego.

– Rzeczywiście niesamowite – przyznał Jira i zaczął wchodzić na schody.

Poszli prosto do pokoju, w którym Robert H. Vane poustawiał szafki na dagerotypy. Jim wyciągnął pierwszą szufladę i położył ją na pokrytej brązowym linoleum podłodze.

– Wyjmujcie wszystkie szuflady po kolei i sprawdzajcie każdy dagerotyp. Rozbijajcie szkło, polewajcie powierzchnię płyty kwasem i przechylajcie ją na boki, aby spalił się cały obraz. Po skończeniu przekazujcie płyty Rooseveltowi i panu Boschetto, którzy będą je ciąć sekatorem, aby nie dało się ich ponownie użyć.

Sue-Marie kucnęła przy szufladce z dagerotypami, wyjęła pierwszą płytę z koperty i przyjrzała się jej.

– Proszę pana, niczego tu nie widzę!

– Musisz patrzeć pod kątem – odparł Jim. Przekręciła płytę skosem w lewo, potem skosem w prawo.

– W dalszym ciągu nic nie widzę.

Jim podszedł i przyjrzał się powierzchni posrebrzanego prostokąta. Poświecił latarką po przekątnej płyty, ale Sue-Marie miała rację. Na mętej powierzchni nie było obrazu.

– Dziwne... – mruknął i wyjął z koperty inną płytę. Także ta była pusta.

Nagle poczuł, że ogarnia go fala przerażenia.

– Wyciągajcie szuflady! Sprawdźcie wszystkie dagerotypy!

Członkowie Oddziału A zaczęli szybko wyjmować płyty.

– Czysta! – krzyknął Edward.

– Czysta! – powtórzył Randy.

– Na mojej też nic nie ma! – zawołał Cień.

Jim znalazł kopertę z nazwiskiem, które widział w nocy. Otworzył ją i wyjął płytę, ale również była pusta. Wkrótce całą podłogę zaścielały puste brązowe koperty i płyty dagerotypowe bez ludzkich wizerunków.

– Co jest? – spytał przestraszony Vinnie.

– Nie ma ich tu – odparł Jim. – Cieniste ja poznikały. Nie możemy zniszczyć płyt, bo ludzie cienie wyszli z nich i są teraz gdzieś indziej.

– Zdawało mi się, że mogą chodzić po świecie tylko w nocy – powiedział Randy. – No wie pan... jak wampiry.

– Po świecie pewnie tak... – Jim wstał powoli i zaczął nasłuchiwać. Kiedy Edward hałaśliwie wyjął z koperty kolejny dagerotyp, uciszył go syknięciem.

– Co się dzieje? – spytał Philip. Był bledszy niż zwykle, a pryszcze na jego twarzy wydawały się znacznie bardziej czerwone.

– Nie wiem – odparł Jim. Był pewien, że z dołu doleciał cichutki szelest, taki sam, jaki słyszał kiedyś na ciemnym strychu, którego krokwie obwiesiły nietoperze. Podszedł ostrożnie do

uchylonych drzwi, otworzył je nieco szerzej i zaczął nasłuchiwać. – Są na dole.

– Cieniste istoty?

– Nie słyszysz ich? Nie mogą wychodzić za dnia na świat, bo słoneczne światło sprawiłoby, że wyblakłyby i zginęły, ale w środku jest ciemno. Okna są zaczernione.

– Jezu... – jęknął Freddy. – Zaraz nas usmażą...

– Musieli się skądś dowiedzieć, że się tu wybieramy! – stwierdził Vinnie. – Skąd się o tym dowiedzieli?

– Nie mam pojęcia, wiem jednak, że musimy stąd wiać, i to szybko – powiedział Jim.

Wyszedł na podest schodów. Nie było nikogo widać, ale z dołu dolatywały szurania i oddechy. Jim podszedł do balustrady i spojrzał w dół.

Nigdy nie klął, uważał bowiem, że świadczy to o ubogim słownictwie, teraz jednak – choć pod nosem – zrobił to.

Cały hol wypełniały postacie o srebrnoczarnych twarzach i wszystkie patrzyły w górę, prosto na niego. Musiała ich być ponad setka, a wciąż jeszcze wypływały z każdych drzwi – z poczekalni, gabinetu zabiegowego, recepcji. Tim, Vinnie i członkowie Oddziału A nie mieli szans dotrzeć do wyjścia. Zostaliby spaleni, zanim udałoby im się dobiec do połowy schodów.

Jim odwrócił się. Wszyscy jego towarzysze stali w drzwiach.

– Musimy zrobić to samo, co w nocy... uciec oknem – oświadczył.

– Co się stało, Jim? – spytał Vinnie. – Kto jest na dole?

– Sam zobacz.

Vinnie wyjrzał za balustradę. Nic nie powiedział, ale kiedy odwrócił się do Jima, w jego oczach był paniczny strach.

– Zadowolony? – zapytał Jim i odwrócił się do swoich uczniów. – No dobra, ruszajmy!

Cień podszedł do drzwi po przeciwległej stronie korytarza i otworzył je. Okazało się, że za

nimi stoi pięć albo sześć srebrnoczarnych postaci.

– Chollerrra! – zaklął i zatrzasnął drzwi. – Panie Rook! Nie wydostaniemy się tamtędy!

Pełno tam tych skurczybyków!

– Spróbujmy dostać się na tył budynku!

Roosevelt szarpnął kolejne drzwi, były jednak zamknięte. Tak samo następne. Pokój za trzecimi drzwiami wypełniały cieniste istoty o czarnych twarzach i białych oczach, które natychmiast ruszyły w ich stronę. Roosevelt zatrzasnął drzwi tak samo szybko, jak je otworzył.

– Nie mogę ich zamknąć! – wrzasnął. – Nie ma klucza! Szarpią za klamkę, a nie ma klucza!

– Wchodzimy tutaj! – zawołał Jim. – Szybko! Musimy wybić szybę!

Dał wszystkim znak, aby weszli do pomieszczenia z szafkami na dagerotypy. Vinnie, który wszedł jako przedostatni, tuż przed Jimem, trząsł się z przerażenia.

– Wydostaniemy się stąd, jasne?! – krzyknął Jim.

Vinnie patrzył na niego rozszerzonymi z przerażenia oczami.

– Spalą nas żywcem! – zawył. – Wszyscy zginiemy!

– Weź się w garść, dobrze? Musimy zadbać o dzieciaki!

– Przepraszam! Przepraszam! Nie wiedzieliśmy, że coś takiego może się wydarzyć!

Przysięgam!

Jim wepchnął go do pokoju i właśnie miał sam wejść, gdy ścianę korytarza przeciął skośny pas słonecznego światła. Natychmiast zniknął, ale bez wątplenia było to światło słoneczne. Przez ułamek sekundy Jim nie mógł zrozumieć, skąd się wzięło, zaraz jednak dotarło do niego, że ktoś otworzył frontowe drzwi.

Cofnął się ostrożnie do balustrady i spojrzał w dół. Ludzie cienie w dalszym ciągu kłębili się w holu. Było ich teraz jeszcze więcej i wszyscy patrzyli na niego, szczerząc czarne, negatywowe zęby. Na wypadek gdyby zechcieli błysnąć światłem, Jim zasłaniał oczy dłonią, ale ludzie cienie

najwyraźniej na coś czekali.

Podszedł bliżej do poręczy i wtedy zobaczył, na co czekali. Pośrodku tłumu stał Robert H. Vane. Trzy nogi rozłożył na boki, dzięki czemu wydawały się jeszcze dłuższe i cieńsze, co sprawiało, że wyglądał, jakby był dwa razy większy.

Zrobił krok do przodu w kierunku schodów, a potem drugi i trzeci. Dwa pierwsze kroki wystarczyły mu do przejścia holu, trzeci przeniósł go w górę, do połowy pierwszego ciągu schodów. Rój cienistych istot sunął tuż za nim; klekotowi stóp Vane'a towarzyszył ten sam metaliczny poszum, który słychać było poprzednio, tyle że teraz znacznie głośniejszy.

Jim wrócił biegiem do pomieszczenia z szafkami i zamknął za sobą drzwi. W zamku nie było klucza, szarpnął więc Randy'ego za rękaw i przykazał mu:

– Przyciśnij je ramieniem! Zatrzymaj ich najdłużej, jak potrafisz.

Odwrócił się do okna. Cień i Freddy próbowali obcęgami odkręcić śruby, przytrzymujące chroniącą okno od wewnątrz metalową siatkę. Ponieważ była pomalowana na czarno, zlewała się z zaczernioną szybą i dlatego nie zauważyli jej przedtem.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Robimy, co możemy, proszę pana! Śruby są pordzewiałe i zamalowane!

– Spieszcie się! Jest tu Vane i wchodzi na górę!

– Vane? – powtórzył przerażony Vinnie. Jego głos przypominał skrzek.

– To była pułapka! – krzyknął Jim. – Musiał wiedzieć, że przyjdziemy.

Wziął młotek i uderzył z boku w ramkę siatki, aby poruszyć śruby. Walił raz za razem, udało mu się jednak tylko przekrzywić mocowanie.

– Panie Rook! – wrzasnął Randy. – Panie Rook! Pchają drzwi!

– Cień! Pomóż Randy'emu! Vinnie, ty też!

– Spalą nas żywcem! – zawył Vinnie. – Nie mamy szans! Spalą nas żywcem!

– Zamknij się i pomóż ich powstrzymać!

Drzwi zaczęły dygotać, bo istoty cienie wzmogły wysiłki. Randy, Cień i Vinnie pchali z całych sił, pomagał im Edward, a Jim i Philip walczyli z siatką.

Nagle ze szpar między drzwiami a ościeżnicą strzeliło oślepiające, jaskrawe światło, któremu towarzyszyła fala niemożliwego do wytrzymania gorąca. Chłopaków odrzuciło do środka i zaczęli gwałtownie machać rękami, łapiąc się za poparzone miejsca. Coś potężnie walnęło w drzwi od drugiej strony, a potem jeszcze raz. Niemal wyrwane z zawiasów, odskoczyły i do pomieszczenia wpadła chmura gryzącego dymu. Farba na drzwiach paliła się i kapała, opryskując podłogę kuleczkami ognia. W drzwiach stał Robert H. Vane – czarny materiał już nie osłaniał jego kwadratowej, białej jak kość głowy. Teraz dopiero widać było, że tylko jego prawe oko zmutowało, stając się wielką czarną soczewką. Lewe było szare i niepokojąco normalne, choć patrzyło na Jima tak, jakby Vane był krótkowidzem albo znajdował się pod wpływem narkotyków. Jeden kącik jego ust opadał jak po udarze, a zęby były krzywe i poznaczone czarnymi kropkami próchnicy.

Jim stanął przed swoimi uczniami i rozłożył ramiona, jakby chciał ich zasłonić. Nikt się nie odzywał. Robert H. Vane wszedł do środka i stanął przed grupą swoich przeciwników, a sześć lub siedem srebrnoczarnych ludzi cieni próbowało precyzyjnie się przed niego.

– Hm... zaczynamy przedstawienie? – zaczął Jim. Próbował nadać swojemu głosowi agresywne brzmienie, ale nie wypadło to zbyt przekonująco, bo zaschło mu w gardle i musiał odchrząkiwać. – W taki właśnie sposób zło absolutne zaczyna przejmować władzę nad światem, tak? Brada... hm... każdemu, kto stanie mu na drodze!

Miechowata klatka piersiowa Roberta H. Vane'a unosiła się i opadała.

– Niczego złego nie robię... – szepnął. Jego głos przypominał szuranie worka z martwym psem w środku, ciągniętego po chropawym podłożu. – Pokazuję jedynie ludzkiej rasie, jaka jest

naprawdę...

– Jezu... Boże... Jezu... spali nas żywcem... – jęczał Vinnie.

– Rasa ludzka nie składa się z samego zła – oświadczył Jim. – W każdym z nas jest zarówno zło, jak i dobro. Ale ciebie to nie dotyczy.

– Jestem czystością – szepnął Robert H. Vane.

– Ty? Jesteś czystym złem. Ty i wszyscy ci ludzie cienie, których więzisz w swoich dagerotypach. Dobry Robert H. Vane leży w grobie, a tu pozostała jedynie jego paskudna część, czyli ty.

– Jestem oczyszczeniem!

– Nie rozśmieszaj mnie. Jesteś chodzącą zarazą.

– Na Boga, Jim, nie prowokuj go, bo spali nas żywcem! – krzyknął Vinnie.

– Jestem pięknem prostoty i obiektywizmu nieskażonej dobroci oraz nieskażonego zła – oświadczył Robert H. Vane.

Jim wpatrywał się w jego soczewkowane prawe oko i nagle uświadomił sobie, z jak ogromnym złem ma do czynienia. Czuł się jak człowiek, który obudził się w nocy i stwierdził, że w jego sypialni panuje absolutna ciemność. „Patrzę i osądzam, biorę to, co chcę mieć, i niszczą wszystko, czego nie chcę mieć, ponieważ mam do tego prawo”.

Robert H. Vane uniósł prawą rękę, która nie była ręką, ale staromodnym fleszem fotograficznym, wypełnionym zamiast magnezji jaskrawą energią zła. Vinnie miał rację – Vane zamierzał ich skremować, zredukować do popiołu i spalonych kości.

Co mówiła babcia Ruby?

ZŁO NIE LUBI NA SIEBIE PATRZEĆ.

Robert H. Vane zrobił jeszcze jeden chybotliwy krok do przodu. Sue-Marie z całych sił zaciskała oczy i pojękiwała cicho, a Cień modlił się. Nawet Edward powtarzał słowa Psalmu 23:

„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska...”. Vinnie pochlipywał i pociągał nosem.

W tym momencie jedna z okutych mosiądzem nóg Roberta H. Vane’a stanęła na krawędzi leżącego na podłodze dagerotypu i Jim kątem oka dostrzegł krótki błysk.

ZŁO NIE LUBI NA SIEBIE PATRZEĆ.

– Oddział A! – powiedział głośno. – Simon mówi* [*Popularna amerykańska gra, w której grupa robi dokładnie to, co każe wybrany uprzednio „Simon”.] : „Weźcie po dagerotypie.

Natychmiast!”.

– Co... – wymamrotała Sue-Marie, otwierając oczy.

– Róbcie to, co ja! Ale już! – rozkazał Jim.

Pochylił się, podniósł dwa dagerotypy i unióś je na wysokość soczewkowego oka Roberta H. Vane’a. Edward zrobił to samo, a zaraz po nim Cień, Philip i Randy. Tylko Vinnie wyglądał na zdezorientowanego.

– Vinnie! Podnieś dwie płyty i trzymaj je jak my!

Ale Vinnie w dalszym ciągu nie rozumiał, czego się od niego chce. Jim właśnie zamierzał podać mu jedną z płyt, kiedy Robert H. Vane wydał z siebie straszliwy wrzask, zatoczył się do tyłu i zaczął obracać soczewką, próbując uniknąć widoku własnej twarzy. Ale w każdym z czternastu dagerotypów, które trzymali jego przeciwnicy, widział swoje niewyobrażalnie obrzydliwe odbicie.

Pokręcił głową i próbował się odwrócić, jego nogi utknęły jednak w szparze między deskami podłogi i potknął się o rozrzucone dagerotypy. Srebrnoczarni ludzie cienie za jego plecami powpadali na siebie i między nimi zaczęły przeskakiwać poskręcane nitki elektryczności statycznej.

– To nie ja! – zaskrzeczał Robert H. Vane. – To nie ja! Nie ja! Ja jestem pięknem! Jestem

pięknem!!!

Jim przysuwał srebrne płyty coraz bliżej soczewkowatego oka. Jego uczniowie robili to samo, podchodząc coraz bliżej.

Wtedy Vane błysnął. Światło było tak jaskrawe, że przez chwilę Janowi zdawało się, iż z całego świata – a także wnętrza jego własnej głowy – już na zawsze zniknie nawet najmniejsza drobina ciemności. Otoczyła go fala straszliwego gorąca, jakby wylano mu na głowę wiadro płonącej benzyny. Jego paznokcie, nieosłonięte posrebrzonymi płytami, były rozpalone niemal do czerwoności. Stojący obok Jima Vinnie nawet nie miał czasu krzyknąć. Jego włosy zapaliły się, a ciało gwałtownie skurczyło, gdy wyparował zawarty w nim płyn. Po chwili Vinnie zwałił się na podłogę z klekotem suchych kości. Ale to Robert H. Vane otrzymał główne uderzenie. Odbity od czternastu dagerotypów błysk zniszczył jego soczewkowane oko, usmażył twarz i zapalił zakrywający mu plecy czarny materiał. Vane rzucił się do tyłu, wściekle machając rękami, jego trzy nogi płonęły jasnym ogniem. Cieniste ja kłębiące się za jego plecami odskoczyły na podest schodów.

– Jestem... jestem... pięknem! – ryczał. Uniósł ponownie rękę flesz i przytrzymał ją drugą, aby nie dygotała.

– Uwaga! – wrzasnął Jim i w tym momencie Vane znów błysnął, jeszcze bardziej oślepiająco niż za pierwszym razem. Sue-Marie krzyknęła, kiedy gorąco oparzyło jej palce, a Freddy zaklął. Trzymali jednak mocno płyty i większość światła odbiła się od nich.

Robert H. Vane eksplodował z cichym sykiem, jakby uszło z niego powietrze. W całym pomieszczeniu rozprysnęły się kawałki płonącego materiału i drewna, a szczątki Vane'a spadły na podłogę między trzema płonącymi nogami.

Jim wypuścił dagerotypy z rąk i zaczął dmuchać na palce. Płyty nie osłoniły go całkowicie, więc doły nogawek spodni miał spalone, a z butów leciał dym.

Popatrzył na to, co pozostało z Roberta H. Vane'a, a potem przeniósł wzrok na swoich uczniów. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć.

Od strony drzwi doleciał szelest. Zebrały się tam gęstym tłumem srebrnoczarne postacie – ciemne ja zwykłych mężczyzn i kobiet. Pod sufitem migotały nitki elektryczności statycznej, a w powietrzu unosił się odór ozonu, jakby za chwilą miała wybuchnąć burza.

– Niech mnie cholera... – jęknął Freddy. – Jak się stąd wydostaniemy?

Rozdział 18

– Może teraz, kiedy Vane zginął, nic nam nie zrobią? – zapytał Edward. – Może... jeżeli po cichu wyjdziemy... i pozwolimy im wrócić do płyt...

– Chyba żartujesz – powiedział Cień. – Wyglądają jak staromodny teatrzyk lalkowy, ale są zdrowo wkurzeni.

Jim zrobił krok w kierunku drzwi, ale cienie nie cofnęły się. Wręcz przeciwnie – zaczęły wchodzić do pokoju. Trzaski elektryczności stawały się coraz głośniejsze, widać też było skaczące po włosach i palcach srebrnoczarnych ludzi iskry.

– Co oni robią? – spytała Sue-Marie, tuląc się do ramienia Jima.

– Podejrzewam, że kumulują energię, aby spalić nas jednym wielkim błyskiem.

– Powinniśmy wybić okna – oświadczył Philip. – Jeżeli nie znoszą światła...

– Właśnie! – zawołał Freddy. – Widziałem to na filmie z Draculą. Kiedy zerwano zasłony, hrabia się rozpadł.

– Nie damy rady dostać się do szyb, człowieku – mruknął Cień. – Te siatki są nie-do-prze-bi-cia.

– Może powinniśmy zaatakować je jak futboliści? Wszyscy naraz.

– Pewnie... i skończyć jako kubełek z KFC. Jeden z cieni podszedł bliżej, za nim drugi i trzeci.

– Boże... – westchnęła Sue-Marie.

Człowiek cień prowadzący tłum srebrnoczarnych postaci był wysoki i miał poplątane, sięgające do ramion włosy. Pokręcił energicznie głową i jego oczy błysnęły jaskrawo. Kiedy po chwili ponownie pokręcił głową, błysk był jeszcze jaśniejszy. Jim, oślepiony, słyszał narastający powoli szum, jak w ładującym się fleszu. Cieniste ja przygotowywały się do ataku.

– Płyty! – krzyknął Jim. – Podnieście płyty i zasłońcie się nimi!

– Mowy nie ma, człowieku! – odkrzyknął Cień. – Mam tego dość! Żaden czarnogęby świr mnie nie upiecze!

– Sonny, stój! – zawołał Jim, ale Cień już ruszył naprzód jak taran i zepchnął pierwszego cienia na ścianę. Potem pchał następnych i przebijał się do schodów, waląc na boki łokciami i krzycząc głośno:

– Z drogi, świry! Słyszycie?! Spadajcie mi z oczu! Kiedy przeszedł mniej więcej pół drogi, błysnęło. Cień i otaczające go postacie zbieleły. Po sekundzie ponownie błysnęło, po czym zaczęła się kanonada błysków, jakby Cień był witany przez fotoreporterów gwiazdorem, przybywającym na premierę filmu. Z każdym błyskiem buchała kolejna fala gorąca.

– Nie! – wrzasnął Cień. Jego włosy płonęły, spod kaptura wypływał dym, ale on w dalszym ciągu przepychał się przez tłum, aż dotarł do drzwi po przeciwległej stronie korytarza.

Płomienie skakały mu po plecach, wszedł jednak do pokoju naprzeciwko, minął szeregi klatek i machając rękami jak wiatrak, z wrzaskiem szedł dalej. Nie można było zrozumieć, co krzyczy. Jim i jego drużyna słyszeli tylko jęk bólu i desperacji.

Po chwili dotarł do okna. Trzy albo cztery srebrnoczarne istoty trzymały go za ubranie, usiłując mu przeszkodzić, ale on, wijąc się jak piskorz, strząsnął je z siebie, po czym pochylił głowę i rzucił się na pomalowane na czarno szkło. Okno eksplodowało, a Cień zniknął w kuli ognia.

Jak na dany przez złote trąby znak, do środka wpadło światło – prosto na podest schodów.

Fotograficzne istoty wydały z siebie chóralne wycie, zasłoniły oczy dłońmi i zaczęły się odsuwać od światła, nie udało im się jednak dotrzeć do mroku schodów. Padały na podłogę, kładły się jedna na drugiej jak posypywane solą ślimaki. Jim i Oddział A stali pośrodku pomieszczenia i patrzyli z obrzydzeniem, jak się skręcają i wysychają. Srebrnoczarny blask najpierw zamieniał się w lepłą szarość, a potem w brudną biel, która po chwili zniknęła, jak obraz na blaknących na słońcu fotografiach. Ostatnie zniknęły czarne, wyszczerzone zęby.

Jim podszedł ostrożnie do drzwi i rozejrzył się wokół. Na schodach nikogo nie było. Zostali sami. Zniknęła nawet spalona kupka, która jeszcze niedawno była Robertem H. Vane'em, na podłodze leżała tylko poczerniała soczewka, mechanizm migawki i kilka mosiężnych zawiasików.

– Udało się – stwierdził Edward. – Cień nas uratował.

– Cień... – jęknął Randy.

Pobiegli schodami w dół, otworzyli frontowe drzwi i wyskoczyli na zewnątrz. Wokół Cienia zdążył się już zebrać tłumek przechodniów. Leżał na chodniku, przykryty kocem. Jego twarz, paskudnie spaloną, pokrywały czerwono-czarne plamy, a z tyłu głowy leciała krew, która powoli spływała do rynsztoka.

Jim ukląkł obok.

– Sonny? – wyszeptał chrapliwie, ale chłopak nie otworzył oczu.

– Po prostu sfrunął – powiedział siwy mężczyzna w szerokich szortach w kolorze khaki. –

Okno się rozwalilo, a on wyfrunął, cały w ogniu jak wahadłowiec.

– Już dzwoniłem pod dziewięćset jedenaście – oznajmił młody człowiek w długim czerwonym fartuchu.

– Nie żyje? – spytała Sue-Marie.

Jim pomacał puls Cienia. Niczego nie wyczuł.

– Chyba nie...

– Co tu się stało? – spytała kobieta w sukience w kwiaty.

Jim wstał powoli. Miał twarz umazaną sadzą, a jego zlepione włosy sterczały jak grzebień kogucika.

– Nic dobrego, proszę pani – odparł.

Do pokoju przesłuchań wszedł porucznik Harris w towarzystwie detektywów Meada i Brossa. Przysunęli sobie krzesła, usiedli i popatrzyli na Jima z wyraźną udręką.

– Powiem szczerze – zaczął porucznik Harris – nie wierzymy w ani jedno pana słowo.

Jim skinął głową.

– Spodziewałem się tego. Sam w to nie wierzę.

– Problem w tym, że nie ma innego wyjaśnienia. Albo wszyscy powariowaliście.

– Byłoby to jakieś wyjście...

– Pełny raport techników, zabezpieczających miejsce zdarzenia, dostaniemy dopiero za kilka dni, a patolodzy będą potrzebowali jeszcze więcej czasu, nic jednak nie wskazuje na to, aby pan czy któryś z pańskich uczniów był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć Vincenta Boschetto i Sonny'ego Powella – oświadczył detektyw Mead.

– Wygląda to na kolejne dwa przypadki samoistnego zapalenia się ludzi – dodał porucznik Harris.

Jim przyjrzał mu się zza przymrużonych powiek. Porucznik nawet nie mrugnął.

– Biuro patologa już wydało oświadczenie, że Bobby Tubbs i Sara Miller byli ofiarami samoistnego zapalenia, więc zwolnimy Brada Moorcocka. Wszystko wskazuje na to, że pozostałe pożary, jakie miały miejsce w Santa Monica i zachodnim Hollywood, również zostały spowodowane samozapłonami ludzi. Przypuszcza się, że może to mieć jakiś związek

z wybuchami na Słońcu. No i z suchym latem.

– Z wybuchami na Słońcu? – zdumiał się Jim.

– Albo z cienistymi ja – dorzucił detektyw Mead, który wyglądał, jakby właśnie się dowiedział, że zmarła mu matka.

– Śledztwo trwa... No cóż, panie Rook... jesteście wolni.

Jim odwiózł najpierw swoich uczniów do szkoły. Zrobiło się już późne popołudnie, więc prawie w całym budynku było ciemno. Stali na parkingu – wyczerpani i oszołomieni tym, co im się przydarzyło, i obejmowali się, jakby przenikało ich zimno. Milczeli, nikt jednak nie chciał odchodzić. W końcu ciszę przerwał Jim.

– To co, widzimy się jutro? Porozmawiamy o wszystkim na lekcjach. Opowiemy pozostałym.

– Nikt nigdy się nie dowie, co zrobiliśmy, prawda? – powiedziała Sue-Marie.

Jim objął ją.

– Taki jest los wszystkich dobrych ludzi. Nie dostają nagród. Nie udzielają wywiadów dla telewizji. Mają jednak świadomość, że uczynili Ziemię bezpieczniejszą.

Do Jima podszedł Freddy i przybili sobie „piątkę”.

– Dzięki, panie Rook. Chyba czegoś mnie pan dziś nauczył, choć jeszcze nie wiem czego.

Ale myślę, że od dziś będę lepszym człowiekiem.

Także Edward uścisnął Jimowi dłoń.

– Ja też się czegoś nauczyłem: im więcej człowiek się dowiaduje, tym mniej wie.

– Coś zobaczyliśmy, no nie? – powiedział Randy. – To, co widzimy w lustrze, niekoniecznie jest tym, czym jesteśmy.

Jim uśmiechnął się.

– Masz rację. „Umysł człowieka lustrem jest spojrzenia niebiańskiego”* [*Z wiersza *Look*

Home Roberta Southwella.].

Patrzył, jak odchodzą. Kiedy ruszył do samochodu, pojawiła się Karen z Perrym Riltsem.

Podeszła do Jima, a Perry, który sprawiał wrażenie zdenerwowanego tym spotkaniem, zatrzymał się parę metrów dalej.

– Jim... słyszeliśmy o Sonnym i Vinniem. To straszne. A tobie nic się nie stało?

– Nie. Jestem trochę nadpalony, ale poza tym wszystko gra.

– Co się właściwie stało? – spytał Perry. – W wiadomościach nie powiedzieli zbyt wiele.

– Przykro mi, ale jeszcze nie mogę nic mówić. Policja jest jednak na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że to był wypadek.

– Wypadek? Jezus Maria! Vinnie zamienia się w kupkę popiołu, ten chłopak skacze z okna na piętrze i to ma być wypadek? Według mnie to dość dziwna sprawa. Daj spokój, Jim... byłeś tam przecież. Co się naprawdę stało?

– Doszło do starcia między rzeczywistością a iluzją. Między tym, na co coś wygląda, a tym, czym naprawdę jest, to wszystko.

Perry machnął ręką.

– Wiesz, jaki jest z tobą problem, Jim? Mówisz, jakbyś był głęboki, a w rzeczywistości jesteś tak płytki, że nie sięgasz mi do kostek.

Jim ujął dłoń Karen i lekko ją uściśnął.

– Masz rację – powiedział, patrząc na Perry'ego. – Prawdopodobnie masz rację.

Wszedł do mieszkania i potknął się o stertę butów Giovanniego Boschetto. Tibbles, która spała na kanapie, otworzyła jedno oko i ziewnęła.

Podszedł bliżej, by ją pogłaskać, ale po dwóch krokach jego uwagę zwrócił portret nad kominkiem. Czarny materiał zniknął i wreszcie widać było lekko uśmiechniętą twarz Roberta H. Vane'a. Miał delikatny, choć wyraźnie zarysowany nos i długie, błyszczące włosy – tak właśnie

musiał kiedyś wyglądać. Jego oczy były inteligentne i łagodne.

Jim podszedł do obrazu i dotknął twarzy dagerotypisty. Niczego nie przemałowano – farba była tak samo sucha i spękana jak na reszcie portretu.

– No tak... – mruknął pod nosem. – Nic nie trwa wiecznie. Można naprawiać błędy.

Rozejrzał się po salonie. Atmosfera wyraźnie się poprawiła. Niemal dało się wyczuć ulgę.

Kiedy nakarmił Tibbles, wziął do łęki brązową kopertę, którą wyniósł ze szpitala, wyszedł na korytarz i nacisnął dzwonek przy drzwiach Eleanor. Przez chwilę czekał, po czym ponownie wcisnął dzwonek.

W końcu Eleanor otworzyła. Miała na sobie czarny satynowy szlafrok, włosy związała w ciasny kok.

– Jim! – zawołała, jakby jego widok był dla niej zaskoczeniem.

– Mogę wejść?

– Oczywiście. Właśnie zamierzałam się kąpać, ale mogę to zrobić później.

Wszedł do jej mieszkania. Miało identyczny rozkład jak jego, tylko drzwi do kuchni znajdowały się nie po prawej, a po lewej stronie. Było urządzone surowiej niż jego mieszkanie – ściany były białe, wykładzina szara, a zasłony czarne. Umeblowanie stanowiły nowoczesne niemieckie meble z czarnej skóry i chromowanej stali. Regał na książki wypełniały identyczne, oprawione w czarną skórę książki, między którymi stał odtwarzacz płyt CD firmy Bang & Olufsen. Na odtwarzaczu stała biała statuetka nagiej tańczącej kobiety i urna na prochy w stylu Wedgwooda. Nie było kwiatów, na ścianach nie wisały obrazy ani lustra.

– Nie oglądałaś wiadomości, prawda?

– Wiadomości? Dlaczego? Co się stało?

– W starym szpitalu dla zwierząt przy Palimpsest Street był wypadek. Spalił się nauczyciel, a jeden z jego uczniów wyskoczył przez okno.

Eleanor usiadła na czarnej kanapie. Szlafrok podsunał się przy tym do góry, ukazując białe udo aż po biodro.

– To tragiczne – powiedziała cicho.

– Rzeczywiście tragiczne. – Jim obszedł pokój, machając brązową kopertą. Eleanor obserwowała go uważnie.

– Chcesz drinka? – spytała po chwili. – Wyglądasz, jakby bardzo ci się przydał.

– Nie, dziękuję.

– Powiedzieli, jak to się stało... ten wypadek?

Jim podszedł do kanapy i usiadł tak, że patrzyli prosto na siebie.

– Nie, nie powiedzieli i nigdy tego nie zrobią. W każdym razie nie publicznie. Są rzeczy, których nie przełknie nawet naród wierzący w istnienie UFO.

Położył kopertę na stoliku. Eleanor nie spojrzała na nią. Wpatrywała się w Jima, jakby się bała, że skoczy na nią bez ostrzeżenia.

– Stało się to, że ktoś... okazał się kimś innym. Ktoś kogoś zdradził... i w szpitalu została zastawiona pułapka.

– Jak mam to rozumieć?

Jim wziął do ręki kopertę.

– Wiesz, co znajduje się w środku, prawda? Na wierzchu jest twoje nazwisko. ELEANOR SHINE, BENANDANTI BUILDING. I data... dzień po śmierci Giovanniego Boschetto.

Otworzył kopertę i wyjął zawerniksowaną na czarno ramkę, w którą wsunięty był srebrnoszary dagerotyp.

– Widzisz? Pusty. Pusty, ponieważ obraz siedzi przede mną.

– W dalszym ciągu nie rozumiem, o czym mówisz.

– Rozumiesz. Kiedy Giovanni Boschetto zmarł, Robert H. Vane uświadomił sobie, że nie jest

już uwięziony w obrazie, i wyszedł na zewnątrz, aby poszukać kogoś, kto mógłby mu pomagać...

kto by mu zorganizował interes ze staromodnymi fotografiami. Kogoś, kto by go woził i dbał o niego. Najbliższą osobą, jaka wchodziła w rachubę, byłaś ty. Mieszkałaś po drugiej stronie korytarza. Mógł się spokojnie przygotować, bo Giovanni Boschetto miał płyty dagerotypowe i wszystkie potrzebne odczynniki. Co się wtedy stało? Zapukał do twoich drzwi i zrobił ci zdjęcie, zanim zdążyłaś się zorientować? Oślepił cię błyskiem, wciągnął do mieszkania i dopiero potem zrobił zdjęcie? Co stało się z prawdziwą, dobrą Eleanor? Zabił ją? – zapytał Jim.

Wstał, podszedł do regału i wziął do ręki wedgwoodowską urnę. Zdjął pokrywkę i popatrzył na szarawy popiół.

– Tu jest prawdziwa Eleanor, prawda? Dobra Eleanor. Ty jesteś jedynie jej cienistym ja. Jej złą częścią. Założę się, że w ciągu dnia nie odsuwasz zasłon.

– Zwariowałaś.

– Naprawdę? – Podszedł do Eleanor i przeciągnął palcem po jej policzku, tworząc od nosa do ucha czarną smugę. – Biały makijaż... aby ukryć fakt, że twoja twarz jest czarna jak na negatywie. Czarna farba do włosów, ponieważ są białe. Czarne szkła kontaktowe do zamaskowania białych oczu i biała emalia do ukrycia czerni zębów. Kłamałaś i spiskowałaś od dnia, kiedy się tu wprowadziłem.

Eleanor zaczęła ścierać z policzka makijaż.

– Ty głupi karzełku! Powinieneś być wdzięczny Benandantim, że dali ci takie mieszkanie, i trzymać się z dala od spraw, które ciebie nie dotyczą!

– Vane uważał, że nie będę zagrożeniem i nie znajdę sposobu na powstrzymanie go przed wychodzeniem z obrazu, prawda? Ale potem doszedł do wniosku, że wcale nie jestem aż takim nieudacznikiem, i próbował mnie przestraszyć, podpalając autobus z uczniami. No cóż... nie docenił mnie, moja droga, przede wszystkim jednak nie docenił moich uczniów.

Eleanor zaczęła, aż skończy mówić, po czym klepnęła go lekko w dłoń.

– Dobra robota – wycedziła. – Co teraz?

Jim uniósł wyżej pusty dagerotyp.

– Masz do wyboru: albo wrócisz do płyty i zostaniesz w niej na zawsze, albo ją zniszczę i stracisz kryjówkę. Teraz, kiedy nie ma Vane’a, Benandanti przestaną płacić ci za to mieszkanie i prędzej czy później będziesz musiała się wyprowadzić i... wyjść na światło dzienne.

– Jesteś potworem! – syknęła Eleanor.

– Decyzja należy do ciebie. Masz dwadzieścia cztery godziny na zastanowienie.

Wziął dagerotyp i wyszedł. Eleanor na sztywnych nogach podeszła do drzwi i zatrzasnęła je za nim z hukiem.

Następnego dnia wszyscy w klasie pochylili głowy i przez dwie minuty milczeli na cześć Cienia. Popłynęły łzy.

– Sonny był odważny i bezinteresowny. Gdyby nie on, nie stałbym tu dziś, nie byłoby tu też Sue-Marie, Freddy’ego, Edwarda, Randy’ego ani Philipa – powiedział Jim. – Zawdzięczamy mu życie i nigdy nie zapomnimy o tym długu. Tylko wy wiecie, z jak wielkim złem walczyliśmy i jak je pokonaliśmy, i tylko wy wiecie, jak wiele nas to kosztowało. Przeczytam ku pamięci Sonny’ego wiersz Randalla Jarrella, zatytułowany *Rycerz, śmierć i diabeł*.

Śmierć jego własnego ciała rozsiadła się poza nim;

Ciało jego własnej duszy rozsiadło się poza nim -

Śmierć i diabeł – kim są dla niego?

Jego byt go oskarża – twarz pozostaje jednak twarda

W stanowczości, w całkowitym wytrwaniu;

Faldy uśmiechu zapewniają opanowanie;

Twarz jest swym własnym losem -

Mężczyzna robi to, co musi -

A jego ciało mówi: Jestem.

Po południu, kiedy otwierał drzwi do mieszkania, usłyszał, że ktoś go woła.

– Panie Rook! Panie Rook!

Kiedy się odwrócił, ujrzał sunącego szybkim krokiem w jego kierunku dozorcę.

– Panie Rook, widział pan dziś pannę Shine?

– Nie. Dlaczego pan pyta?

– Hydraulik miał dziś naprawiać u niej w łazience rurę, ale jej nie ma. Wszystko jest...

ubrania, wszystko. Światło się pali, telewizor gra, nie ma tylko panny Shine.

– Musimy to sprawdzić – stwierdził Jim.

Pan Mariti otworzył drzwi do mieszkania Eleanor i Jim wszedł za nim do środka. Mieszkanie wyglądało tak samo jak poprzedniego wieczoru, kiedy stąd wychodził. Przeszli od pokoju do pokoju, ale nigdzie nie znaleźli ani śladu Eleanor.

Kiedy doszli do sypialni, Jim zrozumiał, co się stało. Czarne zasłony były zaciągnięte i przybite do podłogi – zostały jednak kilka razy przecięte ostrym nożem i przez dziury do środka mogło wpadać dzienne światło. Nóż, którym to zrobiono, leżał na dywanie, a obok niego satynowy szlafrok, rozlewający się na podłodze jak oleista kałuża. Jim podniósł go i przycisnął do twarzy. Materiał pachniał liliami i zawrotem głowy.

– Panno Shine! – zawołał pan Mariti i w tym momencie do sypialni weszła Tibbles.

Rozejrzała się i pociągnęła noskiem.

– Chyba zdecydowała się na przeprowadzkę – mruknął Jim i powiesił szlafrok na ramie łóżka Eleanor.